

Nie chciej, żeby on napisał coś o Tobie!...
Nawet jeśli nie jesteś celebrytą!



ŚWINKA RYJE W SIECI

czyli z pamiętnika hejtera

WSTĘP

Część 1

ŚWINIA RYJE W SIECI

- 1** A co, jeśli reklamy kłamią?
- 2** Kolejkowy fetysz
- 3** Ratusz się kto może, promocja is coming
- 4** Frajerzy na fejsie
- 5** Ludzie zawsze byli głupcami, ale kiedyś przynajmniej mieli maniery
- 6** Sprzedawcy marzeń
- 7** Korpo to stan umysłu!
- 8** Kontrabanda
- 9** Gdzie się podziała magia kina?
- 10** Nie rozumiem szafu na „50 twarzy Greya”
- 11** Za jakie grzechy, czyli polska muzyka rozrywkowa
- 12** Światowe Dni Młodości
- 13** Jak wspierać WOŚP? Poradnik dla prawidłowych
- 14** Taka piękna katastrofa
- 15** Jak przetrwać sylwestra?
- 16** Najdroższy hotel w stolicy
- 17** Jak przetrwać walentynki?
- 18** Ciężkie życie singla
- 19** Krótka historia o stereotypach
- 20** Jak nie panikować na fejsie?
- 21** Nie nadaję się na blogera

Część 2

ŚWINIA NA CZERWONYM DYWANIE

- 1 Ciężkie życie upadłej gwiazdy
- 2 Jak przegrać karierę?
- 3 Jak rozmienić legendę na drobne?
- 4 Najtańsza dama
- 5 Przegrałem życie, czyli wrażenia po spędzeniu sylwestra przed telewizorem

Część 3

ŚWINIA WE WŁASNYM KORYTKU

- 1 Mój pierwszy raz z internetem
- 2 Najstodsza kimka ever
- 3 Psia subkultura
- 4 PigOut u fryzjera
- 5 Postanowienia noworoczne
- 6 Piątek trzynastego
- 7 Masz tylko jedną szansę na zwycięstwo
- 8 Damskie torebki vs męskie plecaki
- 9 QUO VADIS, modo męska?
- 10 Męski „spalony”
- 11 Odrobina taktu nie zaszkodzi
- 12 Mózgu, przestań!
- 13 Męskie chorowanie
- 14 Męski wieczór
- 15 Ocenianie filmów „na Madzię”
- 16 Zrobiłem to z Chodakowską

17 Znowu zapomniałeś

18 Hajtnąłbym się, ale szkoda mi soboty

Część 4

ŚWINIA W PODRÓŻY

1 Overbooking to najlepsze, co może cię spotkać

2 Jak trafić do tajskiego więzienia

3 Ping Pong Show

4 PigOut na haju

5 Podróżę kształcą

6 Nigdy nie zasypiaj w komunikacji publicznej

7 Męski wypad



WSTĘP

Drogi Czytelniku, skoro czytasz te słowa, to znak, że w moim życiu zdarzyło się coś, co jakiś czas temu uznałbym za najlepszy żart ever – napisałem książkę. Śmieszna sprawa, bo jeszcze niedawno osobiście roastowałem upadłych celebrytów, pogodynki i blogerki modowe za zalewanie księgarń książkami o „dupie Maryni”, a teraz sam to robię. Pamiętam, że rzuciłem wtedy takim zdaniem: „(...) nie da się nie zauważyć, że rozmiar, jaki przybrał ten »literacki rak«, już dawno przekroczył masę krytyczną. Ibisz, Rusin, Rozenek, Cichopek, Felicjańska, Jabłczyńska, Prokop, Minge, Piróg, Biedroń i nawet wróżbita Maciej, a to i tak tylko wierzchołek góry lodowej. Wiem, że papier jest cierpliwy, ale kurwa bez przesady. Rodzi się pytanie, czy w tym kraju jest jeszcze ktoś, kto nie wydał książki kucharskiej albo poradnika mówiącego, jak żyć, być młodym, pięknym, fit, wege, eko i bogatym? Zaczynam wątpić”. Trochę ironia losu, biorąc pod uwagę, jak to się dalej potoczyło. Jednak trzeba uważać, co się mówi, bo każde wypowiedziane słowo może okrążyć Ziemię i kopnąć cię w dupę. Jestem tego najlepszym przykładem.

Zapewne zastanawiasz się teraz, kim właściwie jestem i co mnie podkusiło do popełnienia tej książki. Jerzy Pilch powiedział kiedyś: „Kobiecie trzeba umożliwić publikację, ponieważ w poczuciu krzywdzącego niespełnienia gotowa popaść w kurewstwo”. Okazuje się, że chłopcy mają podobnie. Niedawno minęły dwa lata, od kiedy pod pseudonimem PigOut zacząłem w internecie męczyć bułą sucharami i różnymi bzdurami, które podpowiadają mi głosy w głowie. Z powstaniem PigOuta było trochę jak z powstaniem Atomówek, z tym że cukier, słodkości i różne śliczności zastąpiło upojenie alkoholowe, szydera i potrzeba wypowiedzenia się. Jak każdy Polak jestem specem od piłki, skoków narciarskich, Formuły 1, filmów, żarcia, polityki, Trybunału Konstytucyjnego, medycyny, marketingu i niechybnie pęknie mi żyłka, jeśli nie podzielę się moją opinią. Tajemniczym związkiem „x” okazał się strach przed reakcją pracodawcy, kiedy zobaczy, jaki jestem naprawdę. Stąd pisanie pod pseudonimem.

Pierwotnie miałem na PigOucie poruszać ważne społecznie tematy typu ignorancja, nietolerancja oraz patrzeć na ręce politykom, ale ewidentnie coś mi nie wychodzi, bo ile razy siądę do tekstu, od słowa do słowa kończy się na darciu łacha z „Azji Express”. Sama książka natomiast jest wynikiem braku asertywności w momencie, kiedy dostałem maila od wydawnictwa Edipresse. Leciał tak: „Hej, PigOut, czytaliśmy w redakcji twój sylwestrowy pojazd z matki Stifflera i zębów Piaska. Śmieszniutki. PS Nie chciałbyś napisać książki?”. Odpisałem mniej więcej tak: „Jasne, czemu nie. Zapłaćcie mi 50 tysięcy, a za miesiąc podsyłam gotowy materiał”. Na co oni: „Hehe, PigOut, ty to chyba nigdy nie przestajesz żartować, co nie? 50 tysięcy, dobre, hehe. Zrobimy tak: Ty napiszesz, my wydamy, a jak ktoś kupi, to dostaniesz 50 groszy od sztuki. Wchodzisz?”. Miałem im odpisać, żeby się gonili, ale nie wiedzieć czemu wyszło mi coś takiego: „Jako mistrz chujowych biznesów nie mógłbym spać, gdybym przepuścił taką okazję. Wchodzę”. I tym sposobem narodziła się książka, przy której pisaniu przytyłem ponad 10 kilo i na której prawdopodobnie zarobię max 1,50 zł... i to przy założeniu, że mama i babcie faktycznie kupią ją za gotówkę, zamiast kręcić noskiem, że jako rodzinie należy im się za darmo.

O czym w niej przeczytacie? Ogólnie o tym, jak sobie nie radzę z życiem, przez co raz za razem wpadam w różne niezręczne sytuacje, ale nie zabraknie też komentarzy do głośnych wydarzeń, które działy się „na mieście” oraz fakałów, o których przeczytałem w internecie. Mam świadomość, że nie będą to doznania porównywalne z „Mistrzem i Małgorzatą”, ale zawsze mogłeś skończyć gorzej... np. kupując książkę Kingi Rusin. I pamiętajcie: książka ma charakter satyryczny, jest pełna hiperboli i w żadnym wypadku nie powinna być traktowana jako prawda objawiona.

PS Pamiętaj słynny cytat Liama Neesona z „Uprowadzonej”: „Nie wiem, kim jesteś, ale znajdę cię i zrobię kuku”? Pomyśl o nim, zanim napiszesz negatywną opinię na „Lubimy czytać”. Żart, nie przewiduję negatywnych reakcji.



CZĘŚĆ 1

ŚWINIA RYJE W SIECI



1

A CO, JEŚLI REKLAMY KŁAMIA?



co, jeśli gdzieś w Polsce jest matka, która bezgranicznie ufa reklamom i układa dla swoich dzieciaków jadłospis zgodnie z tym, co pokazują w telewizji i mówią w radiu? Śniadanie jak wiadomo jest najważniejszym posiłkiem dnia, warto zatem zacząć je od bomby witaminowej, czyli kanapek z Nutellą i szklanki mleka w postaci Kinder Czekolady. Drugie śniadanie również powinno być zdrowe, więc wypada, żeby matki poszły za ciosem i wrzuciły do plecaka swojej pociechy Petitki Lubisie. W końcu w TV mówili, że to samo dobro i sama natura w postaci pełnoziarnistej mąki, jaj i mleka. Oczywiście do kompletu Knoppers, bo „o wpół do dziesiątej rano” w Polsce nie ma niczego lepszego, no i obowiązkowo Kubuś Waterrr, czyli woda czerpana bezpośrednio z naturalnie „truskawkowego” źródła. Opcjonalnie można dorzucić kilka cukierków Nimm2, przecież to „łakocie i witaminy” w jednym, więc win-win dla rodziców i dzieci. W porze obiadowej są dwie opcje: dla mamy karierowiczki zestaw Happy Meal z nuggetsami, złapany w biegu z pracy do domu, lub parówki Morlinki dla mam, które mają czas „gotować” (13 g białka piechotą nie chodzi). Na deser Danonki, by dzieci zdrowo rosły oraz Kinder Pingui, co przy okazji będzie drugą i trzecią szklanką mleka w ciągu dnia. W końcu docieramy do kolacji, czyli kolejnego najważniejszego posiłku dnia, zależy, co kto czyta. Czy na kolację można podać coś lepszego niż Nestle Nesquik? Toż to siedem witamin, wapń i żelazo za jednym zamachem. Tylko patologiczny rodzic by się nie skusił.

Teoretycznie odhaczyliśmy już wszystkie posiłki, niestety nie żyjemy w idealnym świecie i nadal nie dostarczyliśmy naszym pociechom odpowiedniej porcji witamin. Na szczęście z pomocą przychodzą suplementy diety. I tak, do każdego posiłku obowiązkowo podajemy następujący pakiet pigułek i syropków: Marsjanki, czyli „odporność i wspaniała zabawa” + Tran Mollers, jako źródło kwasów Omega 3 + Apetizer, żeby „nasz niejadek zjadł obiadek” (kiedyś sprawę załatwiał pasek) + Junical

Zęby, bo wiadomo, że „w okresie wymiany mleczaków na zęby stałe” nic nie robi tak dobrze, jak dodatkowa porcja cukru + Luteina Gold Junior, żeby dzieci nie bolały oczka po 10-godzinnych maratonie bajek na MiniMini. Jako kropka nad „i” Tulleo, potocznie zwane „spokojnym snem”, czyli preparat „wyciszający” dzieci rozbudzone po Apetizerze i Marsjankach.

Tym, którzy nie wierzą, że ktoś mógłby być aż tak nieodpowiedzialny, chciałbym przypomnieć, że Trybson i Eliza z „Warsaw Shore” też są rodzicami.

*

A co z dorosłymi? Spokojnie, przemysł reklamowy o was też pamięta. Pierwsza rzecz, którą powinniście zrobić po przebudzeniu, to odklejenie ze stopy plastra Aikido. Jeśli jest czarny jak węgiel, to znak, że organizm podczas snu brawurowo pozbył się toksyn albo niedokładnie myjesz nogi. Ewentualnie lunatykowałeś w nocy do lodówki, co jest chyba najbardziej prawdopodobną wersją. Wstałeś? Dobrze, bo już najwyższy czas na aplikację dziennego pakietu pigułek: na zdrowe włosy i paznokcie, na plarfusa, na nietrzymanie moczu, na zgagę, na nudności, na kaca, na koła potu pod pachami, na chudnięcie, na grubnięcie, na zatrzymanie wagi w miejscu, na nietolerancję laktozy, na awersję do glutenu. Na wyblakłe tatuaże, na kurz, pyłki, roztocza, uczulenie na sierść, na menopauzę, na andropauzę, na trupi oddech, no i w końcu na, a raczej przeciw niekontrolowanemu puszczeniu wiatrów. Należy pamiętać, aby kupować wyłącznie pigułki wyposażone w sztuczną inteligencję i z wbudowanym GPS-em, bo tylko takie uderzą bezpośrednio w źródło bólu, a nie jakieś plebejskie z przesiadką w żołądku.

Połknięte? Doskonale, możemy przejść do maści i kremów. Na pierwszy ogień najważniejsze, czyli maść na ból dupy. Bez wklepania odpowiedniej dawki kategorycznie nie wychodzimy z domu, o włączaniu internetu nawet nie wspominając. Efekt chilloutu można spotęgować, wciągając kreskę psychotropów na zszargane nerwy. Dalej krem Corega, coby ci szczena nie wypadła podczas robienia pijackiego kebsa. Kobiety dodatkowo smarują się czymś na żylaki, rozstępy, obrzęki, cellulit, popękane naczynka i higienę intymną. Najlepiej tym, co swego czasu reklamowała Żanet Kalyta, czy tam Jeannette Kalyta, a może jednak Żanetka Lyta? Never mind.

Niestety to nadal nie wszystko. Pozostaje suche oko i zapchany nos, więc

wypada coś wkropić, a że od kataru już tylko rzut kamieniem do kaszlu, dla pewności łykamy jeszcze syrop. Pytanie, jaki mamy kaszel? Suchy czy mokry? Lepiej golnąć dwa rodzaje. Skoro idziemy już kompleksowo, warto przy okazji possać coś na chrypkę, zwłaszcza jeśli pracujesz oralnie, np. w call center, no i nie zapominajmy o czymś na grypę, nawet jeśli jej chwilowo nie mamy. Ostatecznie lepiej zapobiegać, niż leczyć, no nie? Co jest bronią masowego rażenia, jeśli w grę wchodzi grypa? Rutinoscorbin, wiadomo. Połykamy trzy listki i zagryzamy czymś na ból zatok.

Teraz pozostają już tylko detale, czyli dziewczyny aplikują sobie kulki gejszy, które dostały gratis do tabletek na menopauzę. Sorry, ale mięśnie Kegla same się nie wyrobiją. Faceci z kolei potajemnie wstrzykują sobie między palce od stóp Penigrę, bo nigdy nie wiadomo, czy w ciągu dnia nie trafi się niespodziewany numerek, a chyba lepiej, żeby konar płonął, kiedy przyjdzie właściwy moment. Przed wyjściem z chaty wkładamy jeszcze do kieszeni Enterol, bo być może przyjdzie nam lecieć tego dnia Ryanairem, a jak wiadomo, piloci lubią wysłać stewardesy, żeby podpytały pasażerów, czy nie mają przypadkiem jakiegoś priobiotyku. Chyba nie chcemy, żeby pilot rozwalił sobie mikroflorę jelita (i przy okazji nas) przez głupi antybiotyk? Nope, niech się skupi na pilotowaniu, zwłaszcza jeśli trasa leci nad Alpami. No i to by było na tyle. Przed snem nie zapomnijcie o ponownym przyklejeniu plastra Aikido. Piguły na bezsenność i niespokojne nogi też nie zaszkodzą. I tak mniej więcej wygląda dzień z życia człowieka, który dba o swoje zdrowie. Można się pogubić, na szczęście na pamięć też znajdzie się odpowiedni specyfik.



2

KOLEJKOWY FETYSZ

Zgóry przepraszam za francuski, ale nie da się tego powiedzieć łagodniej – świat ochujał! Mamy rok 2017 i mimo że nadal nie doczekaliśmy się samowiązających się butów, deskolotek ani latających samochodów, które obiecywał nam Robert Zemeckis w „Powrocie do przyszłości”, to i tak pod względem rozwoju cywilizacyjnego dotarliśmy do tego pięknego momentu, w którym praktycznie wszystko da się załatwić bez wychodzenia z domu. Wystarczy w miarę stabilne połączenie z internetem, a niemożliwe przestaje istnieć. Obecnie leżąc w gaciach przed telewizorem, możemy rozliczyć PIT-a, zorganizować szamkę oraz zamówić dowolny produkt i usługę z dostawą pod drzwi. Wszystko szybciej, taniej i bez konieczności użerania się z trudnymi paniami z okienka. Czy właśnie nie dla takiej przyszłości nic nie robiliśmy? Nie kumam w takim razie, dlaczego ludzkość nagle postanawia zrobić ewolucyjny krok wstecz i na nowo odkrywa w sobie fetysz do stania w kolejkach? Czyżby tęsknota za komuną? Niemożliwe, przecież gimby jej nie pamiętają.

AJFONY

Ile razy debiutuje nowa wersja ajfona, tyle razy pod salonami Apple tworzy się kolejka jak stąd do Katowic, chociaż wszystkie serwisy technologiczne piszą wyboldowanymi literkami, że premierowy model to nawet większy kasztan niż poprzednio: zero innowacji i jeszcze bardziej podatna na wygięcia obudowa. W zasadzie różnice są tylko dwie: wyższa cena i większy ekran, co – o ironio – jest policzkiem dla śp. Steve’a Jobsa, który swego czasu powiedział: „Nikt nie kupi dużego telefonu”. Pomińmy jednak specyfikację techniczną, bo nie ona jest tutaj problemem, a kolejkowy fetysz. W przypadku ajfonów nasi rodacy mają szczególnie przewalone, bo nie mogą sobie, ot tak, pójść z namiotem pod salon

i koczować do momentu otwarcia drzwi. Niestety, ale korpo z nadgryzionym jabłkiem w logo ma nasz kraj głęboko w pompie i jeśli Kowalski chce wyrwać nowiutki telefon w dniu premiery, musi się dodatkowo szarpnąć i pojechać po niego za granicę. Na własne oczy widziałem status na fejsie: „Ej, ma ktoś sprawdzone info, czy iPhone 7 będzie dostępny u polskich operatorów w dniu premiery, bo nie wiem, czy jechać do Drezna?”. Serio? Aيفون 6s, czyli model wypuszczony ledwo rok wcześniej, po który też stałeś w kolejce w Dreźnie, okazał się aż tak fatalny, że nie dasz rady przetrwać z nim do momentu, kiedy „siódemki” da się kupić z godnością? Nie ma to jak płacić cenę premium i być traktowanym jak plebs. Widział ktoś kiedyś namioty pod salonem Porsche? Nope, bo klienci premium nie szlifują krawężników. To sprzedawcy nadskakują klientom premium.

CROCSY

Jeszcze do niedawna panowała opinia, że Crocsy to największy modowy paździerz ever. Nie dość, że są brzydkie jak Multipla, to w dodatku drogie jak „skurwesyn”. Ba! Publiczne pokazanie się w Crocsach było uznawane za większą wtopę towarzyską niż słuchanie Weekendu. W zasadzie jedyna ich zaleta to fakt, że stanowią najskuteczniejszy na ziemi środek antykoncepcyjny. Wystarczy wybrać się w nich na randkę, a potencjalnym partnerom z miejsca wszystko opada. Cóż, okazuje się, że opinia konsumenta zmienna jest niczym kobieta. Wystarczyło zejść z ceną do 75 zeta, a percepcja klientów magicznie przekręca się o 180 stopni. Nagle wszyscy stwierdzili, że Crocsy wcale nie są brzydkie, ot po prostu wyglądają oryginalnie, co zdecydowanie ma swój urok, poza tym są wygodne jak ja pierdolę. Zaczynam wierzyć, że faktycznie robią nieziemsko dobrze stopom, bo to nie może być przypadek, że grupa niegroźnych na co dzień ludzi nagle zmienia się w drapieżców i w poniedziałek o 7.00 rano wywołuje w Lidlu większą zadymę niż kibole na meczach ekstraklasy, a wszystko po to, by wyrwać chociaż jedną parę gumowych lacy. Co najlepsze, ich chęć posiadania jest tak wielka, że kiedy w Lidlu otwierają się drzwi, biegną na złamanie karku do promocyjnych koszy i łapią wszystko jak leci, nie zwracając sobie głowy takimi kwestiami, jak kolor, fason czy rozmiar. Przy takiej cenie są to tematy drugorzędne.

ODPRAWY NA LOTNISKACH

Linie lotnicze generalnie dzielimy na dwa rodzaje: tanie i drogie. W obu przypadkach z wyprzedzeniem dostaje się informację o godzinie odprawy i czasie otwarcia bramek w terminalach. Zazwyczaj między pierwszą a drugą czynnością jest kilkadziesiąt minut różnicy. Parę razy w życiu już leciałem i do dziś nie mogę skumać, na cholere ludzie ustawiają się w kolejki do bramek na długo przed ich otwarciem. Mogliby w tym czasie wygodnie posiedzieć, wyciągnąć nogi, pośmigać w necie, poczytać książkę czy choćby poćwiczyć klaskanie, jeśli w grę wchodzi Ryanair albo czarter do Egiptu. No kuźwa totalny bezsens. Domyślam się, że stanie w kolejce ma na celu zapewnienie sobie pierwszego miejsca w blokach startowych podczas wchodzenia na pokład, ale heloł, to tak nie działa. Tanie linie tną koszty, więc zamiast rękawami, transportują pasażerów do samolotu autobusami. Pierwsi przy bramkach mają jak w banku, że trafią na koniec autobusu. Tu sprawdza się hasło: „Ostatni będą pierwszymi”. Leniwi wygrywają najwięcej, bo przechodząc przez bramki jako ostatni, z automatu lądują na wylocie z autobusu, a co za tym idzie, jako pierwsi wchodzą na pokład. Podejrzewam również, że część osób stoi w kolejce, bo boją się, że samolot odleci bez nich. Cóż, to też raczej się nie wydarzy, a przynajmniej nie bez wcześniejszego wywołania spóźnialskiego przez megafon, więc rilaks. W przypadku drogiej linii lotniczych stanie w kolejce jest jeszcze bardziej idiotyczne niż przy low costach. Co prawda drodzy przewoźnicy zazwyczaj podstawiają pod samolot rękawy i faktycznie pierwsi na bramce są pierwszymi w samolocie, ale jakie to ma znaczenie, skoro bilety są numerowane i nie ma ryzyka, że ktoś cię podsiądzie? Szkoda nóg na stanie.

NALEŚNIKI

Od kilku lat w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej działa naleśnikarnia „Manekin”. Sיעiówa, którą można uświadczyć jeszcze m.in. w Toruniu, Łodzi, Poznaniu i Sopocie. Nie wiem, z czego wynika fenomen tego lokalu, ale kolejki do niego są niesamowite. Ludzi ewidentnie pogrzało, bo potrafią czekać po kilkadziesiąt minut... żeby ostatecznie dostać naleśnika. Powtarzam: naleśnika. Nie chce mi się wierzyć, że dla warszawiaków jest to aż tak niesamowite danie, żeby przez tyle sezonów stali w kilometrowej

kolejce, nie zważając na wichury, deszcze, śnieżyce i upały. Za tym musi się kryć jakaś większa tajemnica, której niestety nie udało mi się jeszcze odkryć. Kiedyś podejrzewałem, że może naleśniki to tylko przykrywka, a w rzeczywistości jest to lokal z kelnerkami tańczącymi na rurze. Niestety nie. Pewnego razu trafiłem na filię „Manekina” w Bydgoszczy i o dziwo pies z kulawą nogą się nią nie interesował. Korzystając z okazji, że nie ma kolejki, postanowiłem wejść i sprawdzić, z czym to się je. Cóż, zamówiony naleśnik był całkiem smaczny, ale nie znowu jakiś cud, który śniłby mi się po nocach. Kelnerki też nie robiły niczego nadzwyczajnego, w związku z czym wciąż się głowią, o co chodzi z tym tłumem zombiaków dobijających się do lokalu na Marszałkowskiej. Ewentualne tropy można podzierać na adres pigoutbox@gmail.com. Z góry dzięki.

EARLY ADOPTERS

Luty 2015. Warszawę obiega plotka, że pod jednym ze stołecznych kiosków z trampkami koczuje 40 osób owiniętych w folię spożywczą. Pogłoski okazują się prawdziwe, kilkunastu hipsterów faktycznie nocuje w środku zimy pod sklepem z butami, a wszystko dlatego, że za trzy dni mają do niego dojechać supermodne cichobiegi sygnowane nazwiskiem Kanye’ego Westa. Z czasem okazuje się, że te tak bardzo pożądane trampki wyglądają jak sprute skarpety i krzyczą aż 850 złotych za parę, w dodatku następuje megazałamanie pogody. Zrywa się halny, wiejący z mocą co najmniej 150 km/h. Koczujących to nie odstrasza, czekają dalej. Internet zaczyna zalewać fala memów wyśmiewających kolejkowiczów. W ich obronie staje znany youtuber, Rafał Masny z Abstrachujów, twierdząc, że wszyscy, którzy nabijają się z koczujących, to cebulaki ze zbyt ciasnym umysłem, żeby zrozumieć społeczność trendsetterów i early adopters, czyli ludzi chcących mieć dany towar jako pierwsi. Ja rozumiem, szkoda tylko, że w pogoni za lansem i modą zapomnieli o adopcji najważniejszej rzeczy: o adopcji mózgu. Pozwólcie, że wytłumaczę wam teraz, jak zostać trendsetterem, tudzież early adopterem.



Krok 1 to wycieczka do Decathlonu i zaopatrzenie się w karimatę, śpiwór, krzeselko wędkarskie, bieliznę termoaktywną, odzież softshellową, termos i pampersa. Z takim wyposażeniem żadne warunki pogodowe nie

będą wam straszne, nie dostaniecie wilka i kłucie w okrężnicy też was nie zaskoczy.



Krok 2 to elastyczność w braniu urlopu, dojścia do lewego L4, a najlepiej status bezrobotnego. Sorry, ale sprzedaż najlepszych fantów schodzi w tygodniu i nikt nie będzie się nad wami litował tylko dlatego, że macie zapierdol w korpo. Chcesz być modny? To się kurwa poświęć. Albo jesteś drapieżnikiem, albo won na bazar.



Krok 3 to brak wstydu. Musisz być gotowy na to, że zazdrośni ludzie będą wytykać cię palcami i pytać: „Co ci odwaliło, żeby tak leżeć na środku zimy na najbardziej ruchliwej ulicy w Warszawie?”. Niektórzy zaczną nawet pstrykać fotki, żeby pokazać innym, co się właśnie odpierdala na mieście. Musisz być zimny jak Chuck Norris w „Strażniku Teksasu” i brać to bez emocji. Pamiętaj, to ty jesteś trendsetterem, a oni to zwykły plebs, uwięziony w zaściankowym myśleniu. Siły doda ci wizualizacja fejmu, który niewątpliwie na ciebie spłynie, kiedy już wyrwiesz wymarzone buty, tudzież tych milionów, które przytulisz, jeśli je sprzedasz na Allegro z niebotyczną marżą.



Krok 4 to dobra praca łokciami i zbroja. Musisz wiedzieć, że kolejka kolejką, ale wraz z przekroczeniem progu sklepu kończy się savoir-vivre i zaczyna obowiązywać prawo dżungli. Na pewno znajdą się cwaniaczki, które spróbują na chama przebić się na czoło peletonu i przejąć żółty plastron lidera. Taaaakiego wała! Odpowiednia praca łokciami załatwi sprawę i pozwoli zachować pole position. Musisz być jednak gotowy na wszelkie dzikie reakcje tłumu, np. na przypadkowe, albo wręcz celowe szarpnięcie za włosy. Chyba tylko palec w oku i w d... bardziej dekoncentruje. Uzbrój się w czapkę, okulary spawalnicze i kolczugę, a na pewno nic cię nie zaskoczy. W końcu przezorny zawsze ubezpieczony, co nie?



Krok 5 to gotowość do kompromisów, wszak lepiej kupić za małe niż nie kupić wcale, a w takim młynie raczej ciężko znaleźć czas na przymierzanie.



Krok 6 to pewność siebie. Kiedy będziesz opowiadał zazdrosnemu

plebsowi, skąd wzięłeś „te” buty i ile za nie dałeś, musisz być stanowczy i faktycznie przekonany, że to naprawdę było zajebiste doświadczenie i dobry interes. Zmierzasz do tego, żeby znajomych poskręcało z zazdrości i podziwu, żeby chcieli być tacy jak ty. Jeśli się zawahasz, ich reakcja będzie odwrotna, zaczną się niewygodne pytania: „Naprawdę? Stałeś aż trzy dni pod sklepem, żeby je kupić? I po takim upokorzeniu z uśmiechem wyskoczyłeś z dziewięciu stów? Grubo”.



Krok 7. Edukacja. Istnieje zagrożenie, że plebs nie ogarnie, że masz na nogach najnowszy krzyk mody, ba, możliwe, że ktoś ci go przydepnie i będzie płacz. Generalnie trendsetterom, podobnie jak dziewczynom z torebkami Dolce & Gabbana, nie wypada poruszać się komunikacją miejską, bo to już samo w sobie przeczy życiu na bogato, założmy jednak, że niefortunnie przyjdzie ci podróżować autobusem. Pierwsze, co musisz zrobić po wejściu, to głośno powiedzieć: „Proszę wszystkich o zrobienie kroku wstecz. Mam na sobie bardzo drogie buty i nie chcę ich skazić waszą cebulą”. Wiem, wiem, trochę chamsko, ale co zrobić? Z prostakami trzeba prosto.

W tym miejscu twoje szkolenie dobiegło końca. Od tego momentu jesteś prawdziwym trendsetterem i early adopterem. Nie spierdol tego.

KINO FEMINA

Niestety swego czasu kolejek zabrakło w jednym z ważniejszych miejsc dla Warszawy, w Kinie Femina. Niegdyś było to popularne miejsce spotkań z kulturą, ale również tych towarzyskich, bo powiedzieć Kino Femina, to tak jakby podać współrzędne geograficzne. Możesz być nowy w stolicy i nie znać poszczególnych ulic, ale Feminę kojarzą nawet świeżaki. I to jedno z najbardziej klimatycznych kin w Polsce musiało zwinąć interes, bo ludzie woleli popcorn z multipleksów. Wielka szkoda. Dodatkowej dramaturgii dodaje fakt, że lokal obecnie zajmuje Biedronka, a w niej kilometrowe kolejki za przecenionymi portfelami Wittchena. Czy można bardziej zbrukać legendę? Tak na marginesie, ostatnim wyświetlanym filmem w Feminie było „Miasto 44”, w którym główna bohaterka miała ksywkę Biedronka. Alanis Morissette mogłaby z tej historii zrobić kolejną zwrotkę do piosenki

„Ironic“.



3

RATUJ SIĘ KTO MOŻE, PROMOCJA IS COMING

Tak sobie myślę jeszcze o „kolejkowym fetyszu”, poruszonym w poprzednim tekście, i wychodzi mi, że w jednym z przytoczonych przykładów chyba błędnie zinterpretowałem sytuację. W przypadku ajfonów i trampek Kanye’ego Westa motywacją do stania w kolejce była chęć dołączenia do elity społecznej, która posiada dany towar jako pierwsza. Kolejki na lotnisku wynikają z lęku przed porzuceniem i byciem ostatnim, z kolei te pod Manekinem to efekt tłumu i myślenia w stylu: „Hmm... skoro wszyscy stoją, to znaczy, że jest ku temu jakiś ważny powód. Na wszelki wypadek też stanę”. Inaczej sprawy mają się w przypadku lidlowych kolejek za przecenionymi Crocsami. Na początku myślałem, że to chęć posiadania tych kontrowersyjnych kapci napędziła tłum, tymczasem okazuje się, że od tamtego czasu dyskonty zrobiły jeszcze kilka podobnych wyprzedaży, ale z zupełnie innymi towarami. Za każdym razem kończyło się tak samo: rozpierzdołem i awanturą. Wniosek jest oczywisty, naród nie tyle łaknie markowych produktów, co promocji. Po prostu w każdym z nas siedzi „Mirek handlarz”, który przejmuje kontrolę, kiedy tylko zwęszy jakąś okazję. To nawet nie byłoby takie złe, gdyby nie fakt, że często w pogoni za dobrym dealem puszczają nam wszelkie hamulce i zaczynamy odpierdalać manianę jak Jarek Kuźniar w amerykańskim Walmarcie. Za dowód niech posłużą przykłady promocji, które odbyły się w odstępie dwóch tygodni, pod koniec 2016 roku.

Zacznijmy od Lidla. Otóż Lidl przygotował długofalową kampanię, która miała na celu wypromować produkty ich własnej marki. Na początku atakował reklamami telewizyjnymi, gdzie Dorota Wellman przekonywała, że czekolada Fin Carre nie jest wcale gorsza od Milki i też idzie w cycki, serki Pilos zabijają małego głoda równie skutecznie, jak te od Danona, a jeśli odkazisz muszlę płynem W5, będzie taki blask, że Domestos może się schować. To był krok pierwszy. W drugim etapie Lidl postanowił jeszcze

bardziej przycisnąć konsumenta i specjalnie na tę okazję wymyślił superpodstępny plan, a przynajmniej tak mu się wydawało. W sklepach wystartowała promocja, która zachęcała do kupowania lidlowych zamienników, a wartością dodaną dla klienta była gwarancja pełnego zwrotu kosztów, jeśli produkt nie przyniesie satysfakcji na tym samym poziomie, co markowy odpowiednik. Pewnie pomyśleliście teraz, że wiele firm tak robi, więc Lidl nie wymyślił niczego oryginalnego. Różnica jest taka, że Lidl zostawił największą w historii ludzkości lukę w systemie, którą momentalnie zwietrzyły „Janusze biznesu”. Mianowicie wprowadził do regulaminu zapis o gwarancji zwrotu gotówki, jeśli klient do paragonu dołączy oryginalne opakowanie z całym, częściowo lub całkowicie zużytym towarem. Teraz rozumiecie? Zarząd Lidla zapewne wyszedł z założenia, że będzie to tylko pusty slogan, bo ludzie z natury są wstydliwi i jak już sięgną po czekoladę Fin Carre, to przecież nie będą się wygłupiać z jej zwrotem po spróbowaniu jednej kosteczki, tylko opierdolą całą tabliczkę z takim samym smakiem, jakby była to szwajcarska Tobleronka z miodem i migdałami. Po wszystkim docenią jeszcze fakt, że w kieszeni ostało się kilka złotych. Typowa opcja win-win, sklep zarabia, klient oszczędza i wszyscy są hepi. Błąd! Nie docenili polskiego genu przedsiębiorczości, który sprawił, że tysiące Andrzejów niemal w tym samym momencie usłyszało szept w głowie: „A gdyby tak zjeść ciastko i mieć ciastko? CHWD Lidla i CHWD barierze wstydu, reklamujemy”. I tym sposobem polskie gospodarstwa domowe przestały pierdolić się w zakupowym tańcu. Grażynki zaczęły wrzucać do zmywarek po dwie tabletki, Jessiki i Keviny tonęły w słodyczach, a Janusz z Andrzejem zgarniali tylko puste opakowania i sru do Lidla, gdzie przy kasie bez żenady wygłaszali: „Ojej, jakie to było niedobre. Proszę o zwrot pieniędzy”, po czym uzbrojeni w hajs z reklamacji ponownie wbijali na sklep po nowy pakiecik lidlowskich produktów. Jaki kraj, takie perpetuum mobile.

Eldorado trwało przez kilka dni, doprowadzając do sytuacji, w której Lidl tracił nie tylko kupę pieniędzy, ale również klientów niezainteresowanych kuźniarowaniem. Ci narzekali, że przy kasach zrobiły się kolejki jak na Kasprowy Wierch w środku sezonu, a sklepy zamieniły się w jeden wielki śmietnik, bo ludzie potrafili zwracać nawet puste słoje po śledziach, resztkę zjełczałego już majonezu czy choćby puste opakowania po mięsie, z których nadal wyciekały różne płyny ustrojowe. I to wszystko w takiej formie jębs na

taśmę. W pewnym momencie do hejtu przyłączyli się również Andrzej z Januszem, twierdząc, że Lidl nie wywiązuje się z obietnic. Przykładowo Pan Łukasz z Białegostoku bardzo się oburzył, po tym jak chciał zwrócić dziesięć pustych opakowań po parówkach, ale kasjer odmówił przyjęcia reklamacji, argumentując, że przywiezienie jednego pustego i dziewięciu pełnych byłoby ok, ale dziesięć pustych to przegięcie. W końcu obrócenie 50 parówek to raczej słaby dowód na brak zadowolenia z produktu. „Oszuści i banda decydentów, nie taka była umowa. Już nigdy nic u was nie kupię” – napisał wzburzony pan Łukasz na lidlowym profilu fejsbukowym, po czym ocenił sklep na 1 gwiazdkę. Podsumowując: Lidl nie tylko nie przekonał klientów do swoich produktów, ale wręcz zniechęcił ich do całej sieci, a gdyby tego było mało, Polska okazała się jedynym krajem w Europie, gdzie promocja została zakończona przed czasem. W Austrii, Niemczech, Belgii, Holandii, Bułgarii, Rumunii, Grecji i jeszcze 18 innych krajach, o dziwo nikt nie wpadł na pomysł, żeby hurtowo zwracać puste opakowania. Amatorzy.

Naprawdę głęboko wierzyłem, że po kompletnej katastrofie, jaką okazała się promocja Lidla, długo, a przynajmniej do czasu, kiedy markety rzucą na święta przecenionego karpia, nie usłyszymy o kolejnej dyskontowej rozróbie. Oesu, ale byłem naiwny. Nie opadł jeszcze lidlowy kurz, a już wybuchła nowa drama. Dla odmiany w Biedronce. Poszło o to, że Biedra zaczęła rozdawać do zakupów naklejki, które można było wymienić na pluszaki w kształcie brokułu, marchewki lub pieczarki, zwane „świeżakami”. Szczerze? Widziałem je na żywo i były brzydkie jak Wayne Rooney. Serio, przeszło mi nawet przez myśl, że to najgorsza promocja ever, bo kto o zdrowych zmysłach chciałby taką poczwarę? Być może nie doceniłem trendu albo sam fakt, że coś jest „gratis”, z miejsca dodaje +50 do zajebistości, w każdym razie maskotki okazały się hitem nad hity i ludzie walili po nie drzwiami i oknami. No i tutaj pojawił się problem, bo Biedra nie doszacowała zainteresowania. Zapewne wyszli z założenia, że skoro jedna naklejka przysługuje za każde wydane 40 złotych, a na pluszaka potrzeba ich aż 60, czyli 2400 złotych żywej gotówki, to nie ma chuja we wsi, żeby zbyt wiele osób dało radę uciuć odpowiednią ilość w miesiąc, czyli przez okres trwania promocji. W tym miejscu Biedra może sobie przybić high five z Lidlem, bo okazała się kolejną marką, która wciąż nie kuma, że w Polsce

słowo „niemożliwe” nie istnieje. Zgadnijcie, co się stało? Ludzie zebrali nie po 60, a po pięćset naklejek. True story. Sam miałem sytuację, kiedy przy kasie podziękowałem za naklejki, na co z tłumu momentalnie wyłoniły się dwie agresywne babeczki i się zaczęło:

- O, pan nie bierze, to ja chętnie wezmę.
- Nie, ja byłam pierwsza.
- A w ryj chcesz?

Jak widać, ludzie różnymi patentami zebrali wymaganą ilość, po czym zaczęli tłoczyć się pod sklepami i domagać maskotek, których nieszczęśliwie już dawno nie było w magazynie. Oczywiście skończyło się przepychankami, hejtem na Biedrę w necie, a nawet listami do rzecznika praw konsumenta i wszystkich świętych z donosem o przekręcie, a to nadal nie wszystko. Otóż kiedy zrobiło się już naprawdę nerwowo, Biedra próbowała jakoś uspokoić sytuację i wpadła na idiotyczny pomysł spisywania klientów, którym wisi świeżaka. Każdy kasjer został wyposażony w zeszyt, gdzie wpisywał imię, nazwisko, PESEL, grupę krwi, numer telefonu i nazwisko chętnego na maskotkę. Po dostawie nowych „cebulaków” kierownik miał obdzwaniać klientów zgodnie z kolejnością z zeszytu i zapraszać po osobisty odbiór. To wciąż nie koniec, bo równoległe powstał czarny rynek obrotu maskotkami i naklejkami. Na fejsbuku, jak grzyby po deszczu, zaczęły wyrastać grupy, na których kwitł lewy handelek. Naklejeczki od złotówki, miśki od pięciu dych. Cycki opadają z żalu, bo kolejny raz okazało się, że chciwe baby z Radomia zwierzyły interes i standardowo podjebały fanty ludziom, którzy bez spiny zbierali naklejki na maskotkę dla dziecka. Józef Piłsudski miał rację, mówiąc, że: „Polacy to dumny naród... o ile nie ma akurat promocji w Lidlu”.

Minął może tydzień od afery ze świeżakami, a w mediach pojawia się kolejny donos o zadymie. Tym razem padło na Mielec, gdzie z pompą miało zostać otwarte nowe centrum handlowe i dla pierwszych klientów przewidziano liczne promocje, np. kurczaki za złotówkę w KFC. Domyślacie się, jak to się skończyło, prawda? Staranowano bramki bezpieczeństwa oraz nie obyło się bez interwencji straży pożarnej, która musiała uwolnić dziki tłum zaklinowany z własnej głupoty i chciwości w drzwiach obrotowych. I tak mniej więcej wyglądała Polska Anno Domini 2016. Niestety 2017 nie rokuje lepiej. Otóż w kwietniu w krakowskim Lidlu odbyły się igrzyska

śmierci o robota kuchennego. W finale zszedł mix, w jednym narożniku stanęła agresywna kobieta, a jej rywalem był mężczyzna, ewidentnie fan równouprawnienia, bo argument, że prawdziwi gentlemani ustępują płci pięknej, zbywał klasycznym „oj tam, oj tam”. Była to typowa walka na wyniszczenie. Starcie trwało pięć pełnych rund, przenosząc się to do parteru, to do stójki. Decyzją sędziego (ochroniarza), która wcześniej została skonsultowana z technicznymi (klienci), zwyciężyła agresywna kobieta, która rzekomo jako pierwsza dotknęła kartonu z robotem. Walka była wielokrotnie retransmitowana w internecie, pozostawiając duży niesmak w widzach. Warto zauważyć, że to nie bieda pchnęła ludzi do tak ekstremalnych rozwiązań. Roboty chodziły po dziewięć stów sztuka, a z relacji naocznych świadków wynika, że chętni przyjechali po nie SUV-ami z przyciemnianymi szybami, czyli burżujstwo pełną gębą. Wygląda na to, że wstawanie z kolan, o którym wspominali politycy podczas ostatnich wyborów, chyba jeszcze trochę potrwa. Standardowo zapalam zniczyk [*] i zarządzam minutę ciszy, a przedsiębiorcom radzę, aby dziesięć razy dobrze się zastanowili, zanim odpalą jakąś „promocję”, bo ta może okazać się gwoździem do trumny.

*

Łatwo mi oceniać ludzi za burdel, który robią w dyskontach, ale to głównie dlatego, że promocyjny towar za bardzo do mnie nie trafia. Mam wywalone na maskotki w kształcie pieczarki, do Lidla mi nie po drodze, a od kurczaków wolę burgery. Jest jednak jeden taki dzień w roku, kiedy gotów jestem spuścić mojego wewnętrznego Kuźniara ze smyczy i stanąć do walki na śmierć i życie o przecenione drony, projektory Full HD, okulary VR i hoverboardy. Tym dniem jest „czarny piątek”, który podobnie jak walentynki przyszedł do nas z USA i z założenia powinien oferować konkretne zniżki na wiele towarów, w tym elektronikę, czyli mój kryptonit. Specjalnie z okazji „czarnego piątku” ustawiłem budzik na 6.00 rano, żeby być szybszy niż konkurencja, szybko odpaliłem stronę z gazetkami promocyjnymi, ręce na myszce w gotowości do kliknięcia „kup teraz” i co? I jajco. Uwaga, podaję najgorętsze deale z polskich sklepów z okazji „czarnego piątku”:

- 1.** Kaufland: lody Kaktus po 50 gr (cholera wie, ile kosztują normalnie)
- 2.** Lidl: płyn nabyłyszczający + sól do zmywarek za 7,58 zł (oszczędzasz aż 5 zł! Krzyczy reklama)
- 3.** Biedronka: dezodorant + żel pod prysznic STR8 za 7,99 zł zamiast 12,99
- 4.** Tesco: jajka rozmiar M, 30 sztuk – 3,20 zł
- 5.** Carrefour: sześciopak Harnasia za 7 zł
- 6.** Oszołom: gulasz angielski taniej o 85%
- 7.** Empik: drożej niż wczoraj, a już wczoraj było drogo jak „skurwesyn”
- 8.** Media Markt: przecenione konsole PlayStation 4 (cena po przecenie nadal wyższa niż u konkurencji bez promocji)
- 9.** Castorama: dwie żarówki LED w cenie jednej
- 10.** Decathlon to już w ogóle oszalał: legginsy męskie (w tym momencie przestałem czytać)
- 11.** Żartuję, więcej nic już nie ma

Podsumowując: Idź pan w chu... z takim „czarnym piątkiem”!* Jedyne, co jest czarne, to moja rozpacz.

*Hejt nie obejmuje gulaszu angielskiego. 75 gr za puszkę! Tylko głupiec by zignorował.



4

FRAJERZY NA FEJSIE

N

a pierwszy rzut oka może się wydawać, że internauci to najbardziej ogarniająca część społeczeństwa. Raz, że muszą mieć przynajmniej jeden zwój mózgowy więcej niż ameba, bo w końcu jakoś sobie radzą z odpaleniem przeglądarki, a ameba nie. Oczywiście tych korzystających z Explorera nie liczymy. Dwa, bo mają w zasięgu ręki całą wiedzę świata. Wystarczy jedno kliknięcie myszką, żeby poszerzyć horyzonty w dowolnej dziedzinie, tudzież zweryfikować, czy to, co TVP i TVN wciskają nam w swoich serwisach informacyjnych, to aby na pewno prawda. Grzech nie skorzystać, co nie? Niestety rzeczywistość pokazuje, że internauci to głupcy, których głównym zajęciem, nie licząc oglądania zdjęć małych, uroczych kotków, jest dawanie się wkręcić w żebrolajki i fejkowe konkursy. Serio. Są łatwowierni jak emeryci, którzy co rusz padają ofiarą przekrętu na wnuczka, z tą różnicą, że internauci nie mogą zasłonić się wiekiem i demencją. Szczególnie jest to zauważalne na fejsbuku, gdzie masa użytkowników zachowuje się, jakby ostatnie 10 lat przeleżeli w śpiączce. Pamiętacie jeszcze Łukasza Berezaka? Śmiertelnie chorego dzieciaka, który mimo że sam w życiu nie ma kolorowo, to rok w rok wychodzi na ulicę kwestować na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy? Swego czasu telewizja zrobiła o nim chwytający za serce materiał, co skrzętnie wykorzystał jakiś „Janusz biznesu” i chwilę później utworzył na fejsie fanpejdż o nazwie „Bijemy rekord polubień dla Łukasza”. Gołym okiem było widać, że to wałek, mający na celu wyłudzenie danych personalnych internautów i ich późniejszą sprzedaż. Ostatecznie empatia okazała się silniejsza niż zdrowy rozsądek i tysiące ludzi dało się wkręcić, co pozwoliło Januszowi przytulić okrągłą sumkę.

Dalej poszło już z górki. Jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać fanpejdże bijące rekordy polubień dla Jana Pawła II, Anny Przybylskiej, Wisławy Szymborskiej i wielu innych. Chwilę później od cholery jeleni dało się złapać na przekręt pt. „koszulki/iphony/ipody/<wstaw tu dowolny

produkt> za lajki”. Internauci jak szaleni klikali ikonkę z kciukiem w górę, po czym tygodniami warowali pod drzwiami w oczekiwaniu na listonosza, który nigdy nie przyszedł. Przyszła za to wiadomość z informacją, że w celu odbioru nagrody należy wysłać SMS-a weryfikacyjnego, kosztującego 35 złotych, chociaż to akurat było małym druczkiem. Szok, co nie? To była lekcja, z której można było wyciągnąć pewne wnioski, niestety kolejna akcja pt. „Nie biegam” udowodniła, że nauka poszła w las. Znowu masa ludzi zacięła się jak tuńczyki. Myśleli, że lajkują pewien styl życia, że są lepsi. Do czasu, aż profil zrobił kolejny krok w swojej genialnej akcji marketingowej i zdradził, o jaką markę chodzi. Boom: STOPERAN.

Mijają lata, a pewne rzeczy pozostają bez zmian. Tym razem trwa łapanka frajerów na sportowe samochody Lewandowskiego, Wojewódzkiego i Popka w zamian za lajka i udostępnienie. I wiecie co? To nadal działa bez zarzutu. Statystyki idą w setki tysięcy. Jak długo trzeba piętnować człowieka, żeby przestał nabierać się na darmowe ajfony bez folii? Ile razy tłumaczyć, że Mark Cukierberg ma w dupie twoje oświadczenie o prawach autorskich do treści udostępnionych na wallu? Zresztą co takiego udostępniasz poza obrazkami z Kwejka, mapką z Endomondo i samojebką z szatni na siłce? Mamy 2017 rok, na litość boską. Amazon dostarcza zamówienia dronami, samochody Tesli jeżdżą bez kierowcy, lekarze rzeźbią protezy kończyn na drukarkach 3D, tymczasem fejsbuczek nadal jest na etapie „1 lajk = 1 posiłek dla afrykańskiego dziecka”. No cycki opadają. Zwłaszcza że teraz za darmo to nawet w ryj niechętnie dają, a co dopiero Lambo. Czas z tym skończyć. Specjalnie na tę okazję przygotowałem instrukcję obsługi „lajka”. Zastosujcie się, a wszystkim będzie żyło się lepiej.

JAK UŻYWAĆ?

Zacznijmy od podstaw. Nazwa guziczka „lubię to” niesie w sobie sugestię: kliknij, jeśli to lubisz. Jego założeniem jest dawanie feedbacku. Widzisz świeży, rześki tekst, zdjęcie, film, ideę, która ci się podoba – klikasz. Aaa, i cycki. Nie zapominajmy o cyckach. Jeśli są cycki, albo samojebka z cyckami, obowiązkowo wciskamy „lubię to”, ewentualnie symbol serduszka. Tym sposobem dajemy informację zwrotną „good job/boobs, rób tak dalej”. Lubisz

markę/organizację/aktora/pisarza/muzyka/sportowca/etc., którego wpisy chcesz śledzić na ścianie? Wciskasz „lubię to”. Proste jak budowa cepa. Jak coś jest śmieszne, od biedy dajemy uśmiechniętą emotkę, ale na tym koniec. Pozostałe buźko-emocje są lamerskie i ich nie tykamy.

JAK NIE UŻYWAĆ?

Na początek – strony „żebraki”. Ich nie lajkujemy. To są farmy, które zarabiają na twoim frajerstwie. Naprawdę wierzysz, że wciskając kciuka, załatwiasz tonę karmy dla psiaków ze schroniska? Że dzięki twojemu lajkowi polskie reggae zostanie zdelegalizowane, Schumacher szybciej wybudzi się ze śpiączki, Macierewicz odzyska wrak tupolewa, a Paul Walker zmartwychwstanie? Jeśli tak, to gratulacje, jesteś kretynem! Chociaż nie przeczę, byłoby miło, gdyby właśnie tak to działało. Farmy lajków poznasz po nazwie. Wszystko, co „bije rekordy polubień” albo nazywa się w stylu „Krzycz Trybson”/„Zimo wypierdalaj” jest hodowlą łosi. Zazwyczaj takie profile nie produkują żadnej treści, ewentualnie ograniczają się do wstawek: „1000 polubień w 5 minut. Czas start”, „Wpisz w komentarz swoją datę urodzenia i zobacz, co się stanie”, „Daj lajka, jeśli wolisz pepsi, zostaw komentarz, jeśli coca-cole”. Darmowe iPhone’y z wadą fabryczną, domy z bali z uszkodzonymi framugami i stare Ferrari celebryty, który kupił sobie już dwa nowsze modele, to – uwaga, uwaga – też ściema. Wiem, że ciężko w to uwierzyć, ale serio.

Biegacze, koksy, fani crossfitu. Screenom z Endomondo i samojebkom z siłowni mówimy stanowcze „nie”. Pierwsze 30 wrzutek wystarczyło, żebyśmy przyjęli do wiadomości, że Karol i Agnieszka regularnie ćwiczą. Nie trzeba nam tego codziennie przypominać. Niech spadają, bo wywołują tylko niepotrzebne wyrzuty sumienia podczas błogiego zamulania na sofie, a i podwójna pepperoni z automatu jakoś gorzej smakuje. CHWD w waszą kaszę jaglaną.

Matki, które dopiero co powiły i tak im odważyło, że dzień w dzień bombardują setką zdjęć swojego Brajaneka. Brajanek śpi, Brajanek je zupkę, Brajanek w wanience, Brajanek na spacerku, Brajanek w nosidełku. Co gorsza, często nie jest to zbiorcza galeria, a seria pojedynczych postów, przez

co dwie godziny scrollujesz walla, a tam kuźwa tylko Brajanek i Brajanek. Generalnie ignorujemy. Lajka można dać wyłącznie raz, przy pierwszej publikacji, i żeby była jasność, robimy to tylko z grzeczności: „Fajnie, że wszystko dobrze, pozdro, nara”. No chyba że jest to zdjęcie prosto z porodówki, ze zwisającą pępowiną i wystającym łóżyskiem, wtedy odpuszczamy. Później już kategorycznie zakręcamy kurek z polubieniami, bo inaczej to się nigdy nie skończy. Każda interakcja w oczach młodej matki jest zachętą do kolejnej sesji. Ona serio myśli, że nie masz nic lepszego do roboty, niż zastanawianie się, co tam u Brajanka. BTW, powyższa instrukcja dotyczy również kociar.

Gry, kalendarze, łańcuszki, zaproszenia do udziału w wydarzeniach i reszta syfu. Lajkując tę kategorię, stajesz się producentem spamu. To m.in. przez takie akcje codziennie mam złamane serce. Wchodzę na fejsa, widzę podświetloną kulę ziemską, myślę sobie, że ktoś docenił mój sarkastyczny komentarz, a tu zonk, bo to tylko zaproszenie do wzięcia udziału w festiwalu bałkańskiej muzyki w Garwolinie, czy tam na szkolenie „Jak zgubić ciężowy fladyr?” skierowane do kobiet z nietolerancją laktozy i uczuleniem na gluten. Fascynujące, ale nadal spam. Jedynym wyjątkiem zasługującym na lajka są wydarzenia heheszkowe, np.: „W 2017 będę szalona jak Brooke z »Mody na Sukces«, tudzież „Twój pierwszy startup – cykl wykładów Janusza Tracza”.

Coache i mówcy motywacyjni. Zdecydowanie największy fejsbukowy nowotwór. Nawet matki Brajanka nie spieprzą ci tak skutecznie dnia jak coache. Wstajesz rano, jeszcze nie za bardzo ogarniasz, co się dzieje, a ten już ci jedzie, żeś przegryw, biedak i łajza, że masz chujową pracę, zarabiasz gówniany pieniądz, żona cię zdradza i nawet pies nie szanuje. Później jeszcze bezczelnie każe wyjść ze strefy komfortu. Raz wyszedłem, nie podobało mi się. Jeśli widzisz na swojej ścianie tego typu teksty, nie tylko nie dajesz lajka, ale obowiązkowo zgłaszasz stronę jako spam, ewentualnie uderzasz bezpośrednio do administratora pod pretekstem obrażania twoich uczuć, bo póki co w sugerowanych powodach nie ma opcji: „Wpis irytuje i obraża moją inteligencję”. Wiecie, co coache robią z naiwniakami, którzy chcą zmienić swoje życie? Zapraszają na cykl szkoleń za 10 kafli, gdzie sprzedają głodne smuty pt. „Jesteś zwycięzcą”, „Jeśli bardzo czegoś chcesz, to na pewno to zdobędziesz”. Kursant wychodzi po nich nakręcony jak

katarynka, intensywnie wizualizując swoje cele, tymczasem mijają tygodnie, a tu dupa, nic się nie dzieje. Wraca więc do coacha z ryjem, że gównem są te jego rady, po czym znowu łapie się na „jesteś zwycięzcą” i wychodzi obłożony audiobookami oraz DVD, stanowiącymi suplement do pierwotnego kursu. I tym sposobem wszystko zaczyna się od początku – ty wizualizujesz, a w tym samym czasie Kołcz Majk, czyli „Frytka” w świecie kołczingu, popuła sobie Teslę i umiera ze śmiechu, bo kolejny frajer dał się złowić.

Dziewczynki próbujące zwrócić na siebie uwagę. Na pewno takie znasz. Wstawiają smutną lub wesołą emotkę i koniec wpisu. Żadnego zajawienia kontekstu, jakiejś refleksji, nic. Najgorsze, co możesz zrobić, to wdać się w dyskusję. Zapytasz: „Co się stało?”. Ta, że nic, nieważne, na co ty: „Taaa nic, a smutna buźka to z księżycy spadła?”, na co ona, że nie chce o tym gadać i tak do zajebania. Pod żadnym pozorem nie lajkujemy i nie komciujemy. Niech napiszą pełnym zdaniem, o co im lotto, a nie męczą bułę. Ignorujemy, niech cierpią.

Fejsbukowi politolodzy i polityczni panikarze. Ci pierwsi mają tendencję do notorycznego męczenia buły długimi rozprawkami, w których diagnozują, a następnie przepisują niezawodną receptę na wszystkie bolączki świata, poczynając od problemu z niepojętą chucią syryjskich uchodźców aż po wpływ programu 500+ na wzrost sprzedaży Lexusów. Niestety, wszystkie złote rady zaczynają się rozmywać, kiedy na jaw wychodzi, że nasz fejsbukowy Frank Uderwood swoją opinię opiera wyłącznie na tweetach Tomasza Terlikowskiego i memach „Soku z Buraka”.

Na drugim biegunie mamy politycznych panikarzy, których nic tak nie kręci, jak rozpoczęcie dnia od tekstu: „Dziś oficjalnie polska demokracja przestała istnieć”, tudzież udostępnienia randomowego artykułu z „Washington Post” wraz z komentarzem: „Co za wstyd, co za wstyd. Największa kompromitacja Polski od czasu hymnu narodowego w interpretacji Edzi Górniak na mundialu w Korei”. Teoretycznie mógłbyś takiemu napisać: „Bartek, przesadzasz”, ale to tylko dodatkowo go nakręci. Przewidywana reakcja to:

- Ja przesadzam? Widać, że nie czytałeś ostatniego numeru

„Newsweeka”!

- A, OK, w ten sposób. To może sobie pójde i zostawię cię sam na sam z twoimi myślami.

Na razie tyle. Proste? No raczej, więc nie rozumiem, dlaczego w rzeczywistości jest na odwrót. Wiele osób kreujących naprawdę zajebisty i oryginalny kontent jest maksymalnie zlewanych. W ich przypadku każdy waży lajka, jakby był co najmniej sztabką złota. Tymczasem przychodzi foczka ze „smutną minką” albo samojebką z cyckami i boom, pierdyliard kciuków. To samo spamerzy i kołcze. Załóżmy, że masz znajomego, którego nie znam i ten znajomy napisał rzeński tekst. Dając mu lajka, sprawiasz, że i ja mógłbym go przeczytać. Takie czary. Niestety, póki co, widzę tylko zdjęcia Brajanka.



5

LUDZIE ZAWSZE BYLI GŁUPCAMI, ALE KIEDYŚ PRZYNAJMNIEJ MIELI MANIERY

Jestem wielkim fanem filmu „Matrix” i to nie tylko z powodu wypasionych efektów specjalnych, od których swego czasu zbierałem szczenę z podłogi. Podobał mi się również motyw, kiedy Keanu Reeves zamiast uczyć się nowych umiejętności, po prostu wgrywał sobie odpowiednie oprogramowanie. Wpinał kabelek USB w tył głowy, wciskał enter i po zaledwie kilku sekundach ogarniał kung-fu i umiał pilotować helikopter. Czad. Zastanawiam się, co by się stało, gdyby każdy człowiek miał możliwość wgrania sobie dowolnej wiedzy? Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że mielibyśmy superwykształcone społeczeństwo, gdzie każdy władałby kilkoma językami, umiał liczyć całki i dostrzegał różnicę pomiędzy słowami „przynajmniej” i „bynajmniej”. Taaaki wał. Mamy przecież internet, który może i nie gwarantuje zdobycia nowego skilla, ale daje dostęp do wiedzy z dowolnej dziedziny, wystarczy wpisać w wyszukiwarce odpowiednią frazę, a później wszystko w naszych rękach. Czy korzystamy z tego dobrodziejstwa? Niby tak, ale do perfekcji trochę nam brakuje. Wystarczy spojrzeć na najpopularniejsze zapytania w googlu: „Czy mogę jeść sernik, będąc w ciąży?”, „Czy biali ludzie mogą mieć czarne dziecko?”, „Czy dżdżownice mają oczy?”, „Czy od luteiny dopochwowej można przytyć?”, „Pocałowałam się z chłopakiem na imprezie i dwa tygodnie później wyszedł mi guz pod kolanem. Czy to może być ciąża pozamaciczna?”. Do tego dochodzi cała masa zapytań natury medycznej, np.: „Co jest przyczyną bolącej głowy/łydki/dupy?”, na które odpowiedzią zawsze jest rak. Obawiam się, że gdybyśmy dysponowali matriksową technologią, IQ społeczeństwa jakoś drastycznie by nie wzrosło. Większość z nas wgrywałaby sobie do głowy najnowszy sezon „Warsaw Shore” i instrukcję „Jak się skaryfikować, żeby wyglądać równie zajebiście, co Popek?”. Po prostu z natury jesteśmy głupcami i nie jest to wcale domena tylko dzisiejszej młodzieży. Nasi rodzice też nie ogarniali życia. Różnica jest

taka, że mieli inne problemy i gdzie indziej szukali odpowiedzi. Przed erą internetu była era pisania listów do „Bravo”, a jeszcze starsze pokolenia pisały do „Przyjaciółki”. Wiem, bo znalazłem na strychu skrzynię ze stosem „Przyjaciółki” z lat 60., a w nich rubrykę „Wypada/Nie wypada”, czyli listy od czytelników z trudnymi pytaniami. Ależ to jest piękny materiał i jak cudownie pokazuje, jaki upadek obyczajowy zaliczyliśmy przez ostatnie 50 lat. Oto kilka przykładowych pytań i moje odpowiedzi dostosowane do obecnych czasów:

Barbara: Czy jedząc drugie danie, wypada popijać je kompotem?

PigOut: Nie, tylko Fritz Cola i John Lemon.

Andrzej: Mam 17 lat. Czy wypada pójść do teatru w teksasach i flanelowej koszuli?

PigOut: Drogi Andrzeju, 17-latek w teatrze jest rzadszym widokiem niż jednorożec na końcu tęczy, w związku z czym będzie ci wybaczone nawet, jeśli pójdziesz w klapkach i bluzie Prosto. (Warto zauważyć, że nie było jeszcze internetu i Andrzej musiał zacząć planować stylówę z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Szacunek dla niego).

(Znowu) **Andrzej:** Mam 17 lat. Czy powinienem w czasie spaceru z dziewczyną nieść jej torebkę?

PigOut: Jeśli nie jest to torebka cukierków, narkotyków lub stawowa, to nie ma takiej opcji.

Ania: Czy wypada w trakcie referatu zapalić papierosa, jeśli ma się tremę?

PigOut: Oczywiście. Dla pewności warto walnąć jeszcze lufę wódki.

Ela: Sympatia w listach do mnie robi błędy ortograficzne. Razi mnie to. Jak temu zaradzić, żeby chłopiec nie poczuł się dotknięty?

PigOut: Poproś, żeby przestał być hipsterem, wszak mamy lata 60-te i dysleksja nie została jeszcze wynaleziona. Przy okazji jesteś pierwszą w historii grammar nazi, gratulacje.

Janek: Kupiłem sobie czapko-beret. Czy kłaniając się, powinienem go zdejmować, czy też wystarczy sam ukłon?

PigOut: Czapko-beret brzmi dumnie. To tobie powinni się kłaniać.

Danka: Kolega z innego powiatu zabrał mi bez pozwolenia parasolkę. W dodatku cudzą. Czy wypada do niego napisać, aby mi ją zwrócił, czy też czekać, aż sam ją odda?

PigOut: Danka, tu nie ma co pisać listów, tu trzeba wsiadać w PKS i zapierniczać do innego powiatu. Przy okazji nasuwa się pytanie, komu ty zajmowałaś rzeczoną parasolkę?

Beata: Czy popełniłam nietakt, naklejając znaczek po lewej stronie koperty, bo kolega nie odpisał na list.

PigOut: Kto cię wychował? Wilki? Nie potrafię wyobrazić sobie większej zniewagi niż naklejenie znaczka po lewej stronie. Też bym w takiej sytuacji nie odpisał. Wstydz się, Beato.

Agnieszka: Czy wypada przyjąć poczęstunek od razu, czy też udawać, że nie jestem głodna i czekać na powtórny propozycję?

PigOut: Osobiście zazwyczaj udaję, ale i tak nikt mi nie wierzy, więc żryj, nie pierdol!

Alicja: Czy wypada listownie zawiadomić znajomego, że zostały mu wysłane życzenia przez radio?

PigOut: Oczywiście, ale niesie to konieczność telegraficznego powiadomienia go o wysłaniu listu.

Danka: Przed wyjazdem mego chłopca do wojska umówiłam się z nim na spotkanie, na które nie mogłam przyjść. On nie zna mojego adresu. Czy wypada, abym ja pierwsza do niego napisała?

PigOut: W żadnym wypadku. Niech się zadręczą myślami, że coś ci się stało albo że zrobił coś nie tak i masz focha. Najlepiej, jakby wymyślił jakiś powód, następnie wyróżył z fusów twój adres i przyszedł przeprosić.

(Ponownie) **Danka:** Gdy zapytał mnie, czy to ja napisałam, nie przyznałam się i nadal do niego piszę, nie podpisując listów. Co zrobić, aby zrozumiał, że to ode mnie?

PigOut: Szczerze mówiąc, podczas całej swojej kariery nie spotkałem się jeszcze z tak skomplikowanym problemem. Naprawdę nie wiem, co mógłbym ci doradzić. Może podpisz list? Nie, bez sensu, idiotyczny pomysł. Przykro mi, nie pomogę.

Elżbieta: Czy wypada 17-letniej dziewczynie samej iść do klubu, jeśli nie pije kawy?

PigOut: Nie bardzo, pigułka gwałtu sama się nie rozpuści.

Mariola: Wychodzę za mąż za mego ciotecznego brata. Jak powinnam się zwracać po ślubie do jego matki: mammo czy ciociu?

PigOut: Też jestem ciekawy.

Franek: Od pół roku chodzę z dziewczyną. Czy wypada ją oblać wodą w lany poniedziałek? Nie chciałbym jej sprawić przykrości i nie chciałbym, aby się na mnie obraziła.

PigOut: Franek, jeśli dalej będziesz się tak szczypał, obawiam się, że skończysz jako dziewica. Twój rówieśnicy z XXI wieku po półrocznej znajomości rozglądają się już za wózkiem i kołyską.

Honorata: Dostałam w prezencie sztuczne rzęsy. Czy wypada nałożyć je na dancing lub zabawę, czy też służą tylko aktorkom na scenie i do filmu? Jestem po trzydziestce.

PigOut: Jeśli w wieku 30 lat nawet rzęsy nie masz sztucznych, o innych rzeczach nie mówiąc, to nie widzę większego sensu wychodzić z domu. I tak nic z tego nie będzie. Czas pogodzić się z sytuacją i kupić kota, a najlepiej od razu siedem.

Prawda, że piękne? Te maniery, takt i niewinność, po prostu „wow!”. Warto zwrócić uwagę również na imiona. Żadnych Dżesik, Kevinów, Brendonów i Brajanków. Dla porównania proponuję wejść na jedną ze stron skierowanych do gimnazjalistek i na własne oczy zobaczyć, jakie problemy odnośnie tego, co wypada na pierwszej randce, ma młodzież dorastająca 50 lat później. Nie mam odwagi publikować tutaj przykładowych zapytań, ale kiedy robiłem research, wielokrotnie przypominał mi się poniższy cytat: „Kiedy umierasz, nie wiesz o tym. Tylko innym jest ciężko. Tak samo jest, jak jesteś debilem”. Strach pomyśleć, co będzie za kolejnych 50 lat.



6

SPRZEDAWCY MARZEŃ

Kojarzycie Aliexpress? Największy na świecie internetowy sklep z chińszczyzną, który jest jak mix Telezakupów Mango z Bazarem Różyckiego, tyle że większy, tańszy i z jeszcze bardziej pokręconymi produktami? Moja przygoda z Aliexpress zaczęła się od dołączenia do fejsbukowej grupy „Aliexpress – cebula, okazje i superdeale”, gdzie ludzie codziennie podrzucają linki do różnych niesamowitych i często totalnie absurdalnych towarów. Na początku siedziałem tam dla tak zwanej „beki”, ale z czasem stałem się autentycznym fanem chińskiej inwencji. Nie oceniajcie, aliexpressowe wynalazki naprawdę urywają cztery litery. Weźmy na ten przykład obieraczkę do ananasa. Niby mała rzecz, a o ile prostsze życie. I jeszcze dziewczyna doceni, mówiąc, że jesteś słodki... „if u know what I mean”.

Pewnego dnia stwierdziłem, że już dość biernego przyglądania się tym wspaniałym gadżetom, czas złożyć zamówienie. Tak na serio motywacją był Churchill, czyli mój szalony pies, który od ludzkiego jedzenia bardziej lubi tylko elektronikę użytkową. Zresztą spytajcie UPC, które ostatnio musiało przesłać nam nowego pilota, bo poprzedni został potraktowany przez Churcha jak Scooby-Snacky. Poza tym wszamał mi jeszcze kilka par słuchawek. Stwierdziłem, że nie ma sensu kupować kolejnych markowych, bo nigdy nie wiadomo, kiedy znowu odwali mu elektroniczna furia. I w tym momencie do gry wchodzi Aliexpress. Zamówiłem tanie słuchawki bezprzewodowe, po czym pomyślałem, że trochę głupio zawracać Chińczykom głowę tematem wartym 5 dolców, więc dorzuciłem jeszcze kilka pierdół, żeby rachunek dobił do 15 zielonych (zaszalałem niczym Manchester United w okienku transferowym, kiedy kupili Paula Pogbę). Potwierdziłem transakcję, zapłaciłem i czekałem. Czekałem tak długo, że w sumie zapomniałem o sprawie, aż tu po trzech miesiącach przychodzi takie coś!

Próbując rozgryźć „WTF is this?“, przeanalizowałem od początku cały proces kupna i okazało się, że już na dzień dobry zajebałem się w akcji bardziej niż Macierewicz na autostradzie pod Toruniem (Uwaga suchar: dlaczego Macierewicz spowodował karambol? Bo puściły mu hamulce, hehehe). Otóż wyszedłem z błędnego założenia, że Aliexpress to sklep. Jeden. Duży. Tymczasem to coś w stylu Allegro i tak naprawdę wcale nie podbiłem rachunku do 15 dolców, a dokonałem kilkunastu groszowych zakupów. Na przykład za to zielone coś zapłaciłem 60 centów i aż mnie brzuch rozboleł, kiedy zrozumiałem, że za te 60 centów jakiś niewinny Chińczyk musiał wstać od komputera, przejść przez 100-hektarowy magazyn, znaleźć półkę z „zielonym czymś“, ściągnąć wózkami widłowym „zielone coś“ z najwyższego regału, zapakować, zawieźć do portu i wrzucić „zielone coś“ na statek. Następnie ten statek przez trzy miesiące kolebał się na falach różnych mórz i oceanów, aż w końcu dopłynął do Szwecji, gdzie „zielone coś“ przechwyciła tamtejsza służba celna i przez tydzień sprawdzała, czy nie jest to przypadkiem broń masowej zagłady, zamówiona przez uśpioną komórkę ISIS. Po tygodniu skomplikowanych i niezwykle kosztownych analiz wydano werdykt, że „zielone coś“ nie stanowi zagrożenia i może ruszyć w dalszą podróż. Tym sposobem „zielone coś“ zalicza checkpointy w Tallinie, Rydze, Wilnie, aż ostatecznie dociera do Warszawy. Dalej trafia w ręce listonosza, który jakimś cudem nie daje rady zmieścić „zielonego czegoś“ w skrzynce, w końcu paczka 3 x 3 centymetry to nie w kij dmuchał wymiar, co nie? W ramach zastępstwa zostawia awizo. I teraz do gry wchodzi ja... cały na biało. Zgarniam awizo i lecę na pocztę niczym Petru na Maderę, czekam ponad pół godziny w kolejce i to tylko po to, żeby usłyszeć, że na paczki zagraniczne jest osobne okienko. Przechodzę zatem do kolejki obok, po czym znowu czekam. Z nudów zaczynam obczajać kosmiczny asortyment dostępny w placówce. Tu podpałka do grilla, tam zraszacz ogrodowy, do tego pościel z kory, kolekcja jaj Fabergé, etui na ajfona z Ojcem Mateuszem i inne tego typu tematy. Zastanawiam się, na cholerę mi była ta cała zabawa z Aliexpress, skoro poczta oferuje to samo od ręki? Z zadumy wyrzywa mnie babka nawołująca mój numer. Podbijam do okienka, wyskakuję z dowodu, zapodaję autograf do zeszytu i w końcu dostaję upragnioną paczkę. Zajarany niczym Lord Vader swoją pierwszą Gwiazdą Śmierci szybciotko wracam na chatę. Walę w drzwi z buta i zwalam wszystko ze stołu, robiąc godne miejsce dla długo oczekiwanego pakunku.

W tym samym czasie za moimi plecami wyrasta Madzia, czyli moja lepsza połówka.

- Co tam masz? - dopytuje.

- Magię - odpowiadam.

Rozcinam paczkę... emocje sięgają zenitu... na wstrzymanym oddechu zaglądamy do środka... i w tym momencie naszym oczom ukazuje się zielone chuj wie co.

- Co to niby ma być? - pyta Madzia z szyderą w głosie.

- Jak to co? Pazur do obierania pomarańczy. Największy wynalazek od czasu żarówki - odpowiadam z udawaną pewnością siebie.

- Dzięki niemu już nigdy nie będę się kaleczył przy obieraniu cytrusów. Wkładasz palce w otwory, nakłuwasz pomarańczę i delikatnie suniesz w dół. Skóra odchodzi jak zaschnięte strupy. Koniec z sokiem tryskającym w oko - przekonuję Madzię i siebie.

- Głupi jesteś - odparowuje Madzia.

- Taa? No to pacz! - ripostuję, po czym biorę pomarańczę i wbijam w nią zielony pazur, który w tym momencie przestał być zwykłym kawałkiem plastiku, a stał się przedmiotem, w którego polimerowych wiązaniach spoczęła cała moja reputacja.

No i wbijam ten pazur... a on się łamie jak pierdolona listwa z Ikei, sprawiając mi ból, jakbym co najmniej zaliczył czołowe zderzenie z rozpędzonym Pendolino. I właśnie tak wyglądał mój pierwszy raz z Aliexpress: niespełnione nadzieje, łzy, utrata szacunku i trauma do pomarańczy. Na szczęście kilka dni później zaczęły docierać kolejne zamówienia, które okazały się już całkiem w pytkę, więc foch na chińskich braci minął. Mamy tu m.in. obieraczkę z sześcioma ostrzami (można skrobać marchewki i regulować brwi... jednocześnie), poduszkę do samolotu z printem arbuza (prawda, że zajebista?), starwarsowy otwieracz, który wygląda epicko, ale z kapslami radzi sobie jeszcze gorzej niż zielony pazur z pomarańczami i okulary Ray-Ban, z których co prawda wypadło już szkielek, ale za to gratisowa ściereczka z mikrofibry daje radę. Nadal czekam na słuchawki, wodoodporną empetrójkę, łyżkę do kiwi, foremkę do hamburgerów, maskę konia i lodówkę na USB o pojemności jednej puszki. Can't wait.

Zastanawiam się jeszcze nad kupnem aliexpressowej podróbki BMW.

Nic tam, że wygląda jak Toyota Yaris z rocznika '95 i do setki rozpędza się w 7 minut... Żart, maksymalna prędkość to 55 km/h, ale nadal wychodzi taniej niż Dacia Logan i dostawa gratis. Epic win.

*

Moja przygoda z Aliexpress miała ciąg dalszy, zaczynamy jednak od początku. Pewnego dnia wychodzę z psem na poranne siku, patrzę, a pod blokiem stoją dwie policyjne suki. Z miejsca odpływa mi krew ze wszystkich członków, bo już wiem, że przyjechali po mnie. Otóż jakiś czas wcześniej internety donosiły, że w całej Polsce trwa wielka łapanka piratów, którzy nielegalnie zaciągali z sieci polską, przepraszam za wyrażenie, komedię „Wkręceni”. Na czele polowania prawdopodobnie stał jakiś prokurator cierpiący na bezsenność, bo obława polegała na tym, że skoro świt na chatę jegomościa, który pobrał to wiekopomne dzieło polskiej kinematografii bez uiszczenia odpowiedniej opłaty, wbijali smutni panowie, każąc wszystkim domownikom stulić ryje i położyć się na glebie z rękami na głowie, po czym rekwirowali wszelkie sprzęty wyposażone w wyświetlacz, czyli laptopy, tablety, smartfony i mikrofalówkę. „Wkręconych” widziałem i chociaż nie mam pewności, czy było to w telewizji, czy faktycznie „spadło z ciężarówki” wprost na mój dysk, na wszelki wypadek wolałem uniknąć porannego wjazdu na chatę. Raz, bo nie lubię przyjmować gości w piżamie i dwa, według mnie jest to podwójne karanie za to samo przewinienie. Naprawdę wystarczająco już się upodliłem, oglądając ten październik. Zabranie kompa byłoby przegięciem, zwłaszcza że moje życie w realu ogranicza się do jedzenia i sikania. Resztę aktywności prowadzę w internecie, czyli kara niewspółmierna do zbrodni. Niedziwne więc, że w momencie, kiedy dostrzegłem pod blokiem policyjne radiowozy, mój umysł z automatu przełączył się na najwyższe obroty i po chwili podrzucił mi plan ucieczki. Pies pod pachę, bieg do mieszkania, otwieram drzwi, wrzucam psa, zabieram plecak, po czym znowu wybiegam na podwórze, skręcam w boczną alejkę, którą bezkolizyjnie omijam policję i sru na przystanek. Wsiadam w pierwszy tramwaj i gratuluję sam sobie przebiegłości, bo jakoś nie wydaje mi się, żeby za taką pierdołę policja specjalnie fatygowała się po mnie aż do roboty. Mija kilka godzin, podczas których totalnie się luzuję i zapominam o sprawie, wtem telefon.

- Dzień dobry, młodszy aspirant Katarzyna Motyl z komendy coś tam, coś tam. Czy rozmawiam z PigOutem zamieszkałym przy ulicy XYZ w Warszawie?

- Yyy... Tak.

- Czy oczekuje pan dwóch paczek z zagranicy?

- Yyy... No tak - odpowiadam, chociaż w rzeczywistości oczekuję 17 z Aliexpress.

- Mamy te paczki u siebie i mamy w związku z nimi kilka pytań. Niezbędne będzie pana osobiste stawiennictwo na komendzie w celu złożenia wyjaśnień.

- Ale dzisiaj?

- Tak i to najlepiej przed 14.00.

- Ale ja nie mogę, pracuję. Nie da rady załatwić tego zdalnie?

- Nie, bo tylko pan może je otworzyć.

- Yyy... I co zrobimy z tym fantem?

- Hmm, dobrze, to niech mi pan powie, co jest w środku i pomyślimy, co dalej.

No to się wpieprzyłem. Czekam na 17 paczek, z czego o 9 nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, bo nie da się ich racjonalnie wytłumaczyć, skłamałem, że są tylko dwie i teraz muszę precyzyjnie wskazać ich zawartość, żeby dodatkowo się nie pogrążyć. Typowy ja.

- W pierwszej są słuch...

- Pierwsza paczka jest miękka i prostokątna - przerywa mi w pół zdania młodszy aspirant Motyl.

(Wiem, to koszulka. Zamówiłem jedną z full printem hamburgera. Jesteśmy w domu - pomyślałem)

- To koszulka.

- Tak, to może być koszulka.

- A jak wygląda druga?

- Twarda, podłużna i chyba gumowa.

- A wibruje, hehe?

- Nie, hehe. A chce pan, żeby przysłała po pana radiowóz?

- Przepraszam, w drugiej paczce jest selfie kijek.

- Co?

- Wie pani, taki kijek, na którym zaczepia się aparat i cyka sobie samemu fotki. Dzięki niemu nie trzeba gadać z obcymi ludźmi, którzy swoją

drogą i tak spieprzyliby zdjęcie. Jak nie utną nóg, to palcem zasłonią obiektyw. Z selfi kijkiem niestraszna mi cudza niekompetencja.

- W sumie racja. Faktycznie może to być selfi kijek.

- Czy to ułatwia sprawę?

- W zasadzie tak, proszę mi jeszcze tylko powiedzieć, ile kosztowały te towary?

- 5 dolców sztuka - kłamię, na wypadek, gdyby jakieś cło chcieli mi dowalić, czy coś.

- Ile to będzie na złotówki?

- Po dzisiejszym kursie? 19,31 złotych.

- Obie?

- Obie.

- Ok, to chyba będzie wszystko, ale zaraz, panie PigOucie, czy na pewno czeka pan tylko na dwie paczki?

- Tak, tylko na dwie. Na koszulkę i selfie kijek - odpowiadam, trzymając za plecami skrzyżowane palce.

- Hmm, dziwne, bo kolega właśnie przyniósł trzy kolejne zaadresowane do pana, z chińskimi znaczkami na kopercie. W tej sytuacji jestem zmuszona jednak zaprosić pana na komendę. I to jeszcze dzisiaj.

(Dźwięk przełykanej śliny)

- Yyy... Ok.

Oczywiście nie poszedłem, przez co w ciągu kilku kolejnych dni popadłem w totalną paranoję. Zaczęło się wielkie czyszczenie dysków i utylizacja obciążających materiałów, Madzi zakazałem reagować na domofon i dzwonek do drzwi, jeśli ktoś się wcześniej nie zapowiedział, a z psem wychodziłem tylko pod osłoną nocy. Sytuacja rozwiązała się po tygodniu. Sama. Madzia spotkała na klatce listonosza, który wręczył jej pięć paczek ze słowami: „To te zarekwirowane, PigOut będzie wiedział, o co chodzi”. Nie wiedziałem, ale po krótkim śledztwie okazało się, że wcale nie byłem poszukiwany za „Wkręconych”, a zamawianie rzeczy z zagranicy nadal nie jest przestępstwem. No chyba, że zamawia się narkotyki, jak pies Kory. Wtedy faktycznie może być to problematyczne. W każdym razie poprzedni listonosz miał tendencję do dostarczania co niektórych paczek do siebie do domu zamiast do adresata. Został złapany przez policję na gorącym uczynku. Po przeszukaniu jego chaty zarekwirowano kilkanaście nieotwartych jeszcze przesyłek i zaczęło się wielkie wzywanie

poszkodowanych na komendę w celu spisania strat i zwrotu towaru. Stało na tym, że przez swój urojony strach przed policją przepadło mi kilka zamówień i nie mogłem wnieść roszczeń do listonosza-kleptomana, bo z zeznań wynikało, że wszystko już zostało odzyskane. Wnioski z tej historii są następujące: jedno kłamstwo generuje kolejne kłamstwa, piractwo jest złe, polskie „komedie” jeszcze gorsze, za to policja czasami chce dobrze.



7

KORPO TO STAN UMYŚLU!

Jak byłem mały, bardzo chciałem zostać piłkarzem. Przeszło mi dopiero, kiedy rodzice zaprowadzili mnie na trening do lokalnej drużyny, a tam zamiast grać, kazali mi biegać 20 okrążeń wokół stadionu. Gdzieś przy trzecim kółku przeszedłem największy w życiu atak kolki, który uzmysłowił mi, że jestem jednak stworzony do pracy umysłowej, a nie fizycznej. Teraz, kiedy widzę, jakie kokosy zgarnia Lewandowski, żałuję, że nie mogę cofnąć się w czasie i porządnie kopnąć nastoletniego siebie w dupę. Ech, błędy młodości. Ostatecznie poszedłem na studia. Na stosunki międzynarodowe, wiadomka. Co prawda jedyne stosunki międzynarodowe, z jakimi miałem do czynienia w tamtym czasie, to te odbyte na Erasmusie, mimo to po pięciu latach odebrałem dyplom i stanąłem oko w oko z rynkiem pracy. Niespodziewanie okazało się, że w naszym kraju nie ma pracy dla ludzi z moim wykształceniem. Szok. Musiałem aktywować plan B. W pierwszym momencie chciałem zaczepić się w McDonalddie, niestety dałem ciała na rozmowie kwalifikacyjnej i zapytany o ulubionego burgera, odpowiedziałem: „Whooper”. Później wywinąłem jeszcze orła, niosąc dopiero co wyciągniętą z gorącego oleju fryturę, chociaż to akurat mogło się przydarzyć każdemu. Podziękowano mi z obietnicą oddzwonienia, lecz telefon nigdy nie zadzwonił. Może to i lepiej, bo praca w gastro wymaga dostarczenia książeczki Sanepidu, z kolei zdobycie książeczki Sanepidu wiąże się z obowiązkiem oddania „dwójeczki” do badań laboratoryjnych. Wizja, w której jadę ZTM-em uzbrojony w próbkę ze stolcem jakoś mnie nie pociągała, w związku z czym na zawsze przekreśliłem branżę restauracyjną. Zacząłem się zastanawiać, gdzie mógłby zatrudnić się człowiek, który nie posiada żadnego unikalnego skilla, przebalował cały okres studiów, a z języków zna tylko polski i to zaledwie na poziomie średnio zaawansowanym? Ta droga dedukcji zaprowadziła mnie do korporacji. Praca jak praca, ma lepsze i gorsze momenty, ale cała otoczką jest niesamowita. Pozwólcie, że wymienię rzeczy, za które kocham korpo.

DOJAZD

Zacznijmy od tego, że pracuję w wypasionym biurowcu położonym w samym centrum stołecznego zagłębia korporacyjnego, zwanego potocznie „Mordorem na Domaniewskiej”. Wraz ze mną pracuje tu pół Warszawy, a miejsca parkingowe są tylko cztery, z czego trzy mają namalowaną kopertę, a czwarte przeznaczone jest dla niepełnosprawnych. Strażnik miejski pracujący w „Mordorze” ma najłatwiejszą robotę ever. Nie dość, że w ciągu dnia wyrobi półroczną normę w wystawianiu mandatów, to jeszcze obśmieje się jak norka, bo korpuludkom kreatywności w parkowaniu nie brakuje – chodniki, zatoczki, alejki, krzaczory, ścieżki ewakuacyjne, a nawet środek ronda – zaparkują wszędzie. Jeśli nie jara cię wizja samochodu z założoną blokadą na kole, musisz dojechać inaczej. Teoretycznie masz jeszcze do wyboru tramwaj i autobus, ale tak się składa, że od dwóch lat wszystkie ulice dojazdowe są remontowane, a tabor modernizowany. To może rower? W końcu budynku wyposażono w szatnie i prysznice. Problem w tym, że do korpo wypada się jako tako ubrać, a życie to nie serial „Suits”, gdzie prawnicy dojeżdżają do roboty w garniakach, po czym są świeżsi niż oddech po Tic Tacu. Fake. Prawdziwi ludzie puszczają soki, więc garniak nie przejdzie. Niby można go spakować w plecak i przebrać się na miejscu, z tym że po wyciągnięciu będzie wyglądał, jakby prasował go epileptyk. Poza tym do przewiezienia masz jeszcze laptopa i kilka innych towarów pierwszej potrzeby, a nie jesteś wielbłądem.

STREFA EURO

Niezabieranie do korpo drugiego śniadania może drogo kosztować. W okolicy nie ma żadnych sklepów, więc jeśli człowieka dopadnie mały głód, zdany jest na korpostołówkę, korpokiosk lub korpopiekarnię. Jeśli komuś się wydaje, że sklepy na lotniskach i bary w multipleksach są drogie, to znaczy, że nigdy nie przyszło mu kupować w korpokiosku. Za pierwszym razem człowiek ma wrażenie, jakby teleportował się do strefy euro. Wszystko z marżą 300%. Przy takich cenach na pytanie ekspedientki „Czy mogę być winna grosika?” odpowiada się stanowczo „Ni chuja”. Z kolei wchodząc na stołówkę, można odnieść wrażenie, że w budynku pracuje dynastia Windsorów, a nie ludzie w większości zatrudnieni na umowie śmieciowej.

Korpostołówki są tak samo oderwane od polskich realiów, jak Księstwo Monako od francuskich. Po przekroczeniu ich progu zaczyna się jakaś alternatywna rzeczywistość. Z jednej strony rolujący na żywo sushi master, z drugiej gorący bufet, a tam krewetki tiger, mule i steki z wołowiny argentyńskiej. Myślałem, że przywykłem i już mnie to nie rusza, ale kiedy wczoraj zobaczyłem w menu gulasz z jelenia za 55 zeta, znowu odruchowo przybiłem sobie high five z czołem. Dorzuc do tego sok ze świeżo wyciskanych cytrusów i bye bye 70 złotych za „lunch” (w korpo nie jada się obiadów), który prawdopodobnie będziesz musiał zjeść oparty o śmietnik, bo wszystkie miejsca już od dawna są zajęte przez młodych, pięknych i wykształconych, których jedynym zmartwieniem jest niepewność, czy ich koktajl z nasion chia aby na pewno jest glutenfree. Czasami śni mi się, że wchodzę na korpostołówkę, a tam zamiast tarty schabowy z pomidorówką za 12 zeta. Eh, marzenia.

Trochę taniej wyjdzie, jeśli zdecydujemy się na korpopiekarnię, chociaż tam też trzeba przejść drogę krzyżową. Raz wszedłem i poprosiłem o bagietkę z szynką, na co ekspedientka oschle rzuciła: „Nie ma”. „No jak nie ma, jak jest?” – odpowiadam, wskazując paluchem przez szybkę konkretną sztukę.

– Proszę pana, to nie bagietka, to NIZZA!

– The fuck? Zresztą nieważne, niech będzie nizza z szynką.

– Proszę. 15,99 złotych.

– Umrzyj.

Na szczęście dla ludzi z moim stanem posiadania jest jeszcze „Pan Kanapka” handlujący bardziej przyziemnym żarciem, którego kupno nie wymaga zaciągnięcia chwilówki w Providencie. Problem w tym, że nigdy nie wiadomo, w jakim skrzydle budynku aktualnie koleś przebywa, a po godzinie 13.00 ma już praktycznie szyszczony cały towar. Zostają mu tylko niedobitki w postaci burgerów z bocznikiem. Raz próbowałem i uważam, że kucharz powinien za nie spłonąć na stosie.

CHĘĆ BYCIA COOL

Polskie korporacje nie chcą być już postrzegane jako molochy, w których panuje pogrzebowy klimat. Chcą być cool niczym zagraniczne startupy i w tym celu pozwalają sobie na takie ekstrawagancje, jak graffiti na

ścianach, czy choćby wzorem googla wyposażają swoje budynki w chill roomy, czyli pomieszczenia, gdzie zestresowane korpoludki mogą chwilę odsapnąć od presji niewyrobionych targetów i wiszących nad głową dedlajnow. Co prawda w moim korpo graffiti brak, mamy za to na ścianach cytaty znanych ludzi. Na przykład za moimi plecami wymalowany jest aforyzm Donalda Trumpa: „To, co odróżnia zwycięzców od przegranych, to to, jak reagują na zmiany w ich życiu”. Głębokie, prawda? Niestety pracownicy zamiast poczuć się zmotywowani tymi słowami, złośliwie dopisali poniżej trochę nowszą wypowiedź Trumpa: „Skoro Hillary nie potrafi zaspokoić męża, to jakim cudem zaspokoi Amerykę?”. Mamy również chill roomy. W naszym przypadku są to duże pomieszczenia wyposażone w sofy, express do kawy, automat z napojami i stół bilardowy. Niestety nikt nie ma odwagi z niego korzystać. Wyobraźmy sobie sytuację, kiedy niespodziewanie do chill roomu wchodzi prezes, żeby zrobić sobie swoje ulubione latte macchiato, a ty akurat stoisz przy stole i ostrzysz kij tą zieloną kredą. Trudno o większą ekstrawagancję i bardziej niezręczną sytuację.

OŁPENSPEJSY I PARYTET PŁCI

Skoro jesteśmy przy niezręczności, warto wspomnieć o dwóch. Pierwsze to ołpenspejsy, czyli otwarte przestrzenie biurowe, które sprawiają, że ludzie zaczynają zachowywać się jak potłuczni, byle tylko zyskać odrobinę prywatności. Głównie „rozchodzi się” o ustawianie monitorów w kształt odwróconej litery „V”, czyli mniej więcej tak „/\”. To taka ściema, która ma sprawiać wrażenie, że niby korpoludek zajmuje się megaważnymi i poufnymi rzeczami, chociaż i tak wszyscy wiedzą, że chodzi o swobodę w scrollowaniu Pudelka. W ogóle ludzie w korpo po pewnym czasie wyrabiają sobie refleks pantery i po usłyszeniu najdrobniejszego szmeru wystarcza im zaledwie 0,1 sekundy, aby przykryć przeglądarkę fejkową tabelką excelową. Druga niezręczność dotyczy głównie mojej firmy (jak jest gdzie indziej, nie wiem), która zatrudnia o wiele więcej facetów niż kobiet. Nie wiem, czy to świadoma zagrywka, czy przypadek, w każdym razie generuje sytuację, kiedy w jednym openspejsowym skrzydle pracuje ponad 90 facetów i zaledwie 10 kobiet. Mimo takiej różnicy w rozkładzie płci, liczba toalet jest równa: po jednej. Przychodzi poniedziałek, chłopaki wpadają do pracy, chcą się odgruzować po weekendzie, bo w domu nie zdążyli, a tu zonk

i zajęte. Żebyśmy byli precyzyjni, permanentnie zajęte. Nie dziwi zatem, że na zewnętrznych drzwiach w męskim kiblu wydrapane są ślady po pazurach, a kobiety chodzą zadowolone, bo kwestię „jedyńki” i „dwójki” załatwiają „od ręki”. Zdecydowanie jestem za wprowadzeniem parytetu płci w miejscu zatrudnienia.

KOMUNA

Podjmując pracę w korpo, należy liczyć się z faktem, że przyniesione jedzenie w momencie włożenia do firmowej lodówki przestaje być prywatne i staje się dobrem wspólnym. Można próbować podpisywać pojemniki i opakowania, ale da to tylko tyle, że po pewnym czasie współpracownicy wyrobią sobie opinię, że najlepsze spaghetti przynosi Bartek, a do pierogów Kasi nikt nie ma startu. Ze wszystkich lodówkowych podpierdalaczy zdecydowanie najgorsi są kawosze. Nawet palacze „cudzesów” nie idą tak bardzo po bandzie. Palacze będą męczyć bułę, żebyś kopsnął szluga, ale bez pozwolenia sami z paczki nie podbiorą, za to kawosze bez mrugnięcia okiem opierdolą cię z ostatniej kropli mleka. Zazwyczaj działa to tak, że zostawiasz w korpolidówce niemal pełen karton Łaciatego, a po powrocie znajdujesz już tylko jakieś popłuczyny. Co się dzieje w tak zwanym międzyczasie? W międzyczasie przychodzi kawosz nr 1, wyciąga swoje chciwe witki po twoje mleko, waży w ręce karton i dochodzi do wniosku, że jest go na tyle dużo, że nie ma bata, aby prawowity właściciel zauważył brak kilku kropel. Chwilę potem mleko pada łupem kawosza nr 2, który również ocenia objętość kartonu przed planowanym przestępstwem, ale na dzień dobry popełnia błąd logiczny, nie biorąc pod uwagę, że mleko zostało już skrojone przez kawosza nr 1. Proceder powtarza się kilkukrotnie, a koniec zawsze jest taki sam: wcinasz płatki zalane powietrzem. To naprawdę interesujące zjawisko, że im bardziej kawosz ceni kawę z mlekiem, tym mniej jest chętny do jego kupna. A jak trafi się na kawosza i palacza w jednej osobie, to już w ogóle przewalone.

SZKOLENIA

W moim korpo jest niepisana reguła, że każdy pracownik w ciągu roku odbywa minimum dwa szkolenia. Jedno z kompetencji miękkich, czyli jakaś

tam asertywność, albo praca w zespole, oraz drugie z twardych i tu prym wiedzie „Excel dla średnio zaawansowanych”. Kiedy przychodzi co do czego, nagle okazuje się, że nie ma kasy na tyle szkoleń, więc wszyscy machają ręką na tego Excela, ale na kompetencje miękkie z reguły się chodzi, bo są tanie. Ogólnie szkolenia korporacyjne są i fajne, i gówniane równocześnie. Fajne, bo zazwyczaj dzięki nim wypadają dwa dni robocze i dostaje się darmowy obiad, a beznadziejne, bo po wejściu na wykłady okazuje się, że to jedna wielka ściema. Jak inaczej nazwać sytuację, kiedy dorosły człowiek zmuszany jest do rysowania szlaczków, lepienia figurek z plasteliny, budowania wieży z makaronu i odgrywania scenek? Dla mnie każdorazowo jest to olbrzymi stres, bo nie potrafię na trzeźwo odpowiednio się zaangażować, przełamać bariery wstydu i udawać, że choć trochę mnie to obchodzi. W dodatku odgrywane scenki są totalnie oderwane od rzeczywistości. Przykładowo na szkoleniu z asertywności prowadząca wybiera dwóch kursantów i każe im przeprowadzić symulację rozmowy, w której pracownik odmawia szefowi wykonania jakiegoś zadania, bo rzekomo wykracza ono poza zakres jego obowiązków. W prawdziwym życiu do takiej dyskusji w ogóle by nie doszło albo zostałyby bardzo szybko ucięta śmiechem przełożonego. Na szkoleniach zawsze kończy się happy endem. Otóż udawany pracownik oznajmia udawanemu szefowi, że nie podejmuje się wykonania zadania, gdyż nie leży ono w zakresie jego obowiązków („nie moja brocha”) oraz godzi w jego uczucia (LOL), na co fejkowy szef ze zrozumieniem przytakuje głową, przyjmuje odmowę i dodatkowo przeprosza pracownika za doprowadzenie do sytuacji, w której poczuł dyskomfort. Wszyscy uczestnicy szkolenia obserwują to żenujące przedstawienie z niesmakiem, tymczasem pani prowadząca klaszcze jak szalona i oznajmia, że teraz posiadamy umiejętności, które wywindują nasze kariery na sam szczyt. Takiej fantastyki to nawet w książkach Lema nie uświadczysz.

WYJAZDY INTEGRACYJNE

Jeśli pracownicy korporacji od dłuższego czasu nie dostają podwyżek, spada im motywacja i rośnie odwaga do podważania autorytetu przełożonego. Teoretycznie można taką sytuację uciąć, dokonując pokazowej egzekucji, czyli odstrzelić jedną osobę dla przykładu, ale na dłuższą metę to nie działa. W końcu przychodzi moment, kiedy

pracownikom trzeba posmarować forszą, żeby zamknęli swoje chciwe ryje... albo zabrać ich do jakiegoś w miarę fajnego hotelu na integrację i pozwolić się upić. To rozładowuje napięcie i w ogólnym rozrachunku dla pracodawcy wychodzi znacznie taniej niż podwyżki. Integracje zawsze wyglądają tak samo, czyli w drodze do hotelu 1/3 załogi wysypuje się pijana z autobusu już na pierwszym przystanku. Reszta robi się dopiero po przyjeździe. Kolejnego dnia z rana są szkolenia i zabawy integracyjne, ale z powodu kaca mało kto na nie dociera. Pełna frekwencja jest dopiero na kolacji, po której był obiecany występ jakiejś wielkiej gwiazdy polskiej piosenki, ale ostatecznie z braku hajsu na scenie pojawia się Gosia Andrzejewicz. Kiedy Gocha odśpiewa już cały swój repertuar, czyli raptem dwie piosenki, następuje gwóźdź programu: libacja, a po niej skandal goni skandal. To pani z HR, która ledwo miesiąc temu wróciła z macierzyńskiego i jeszcze nie wszystko jej się zrosło, przeliże się z księgowym, po czym uciekną na pięterko. To pan z logistyki nawrzuca dyrektorowi przy setce świadków, to ktoś inny w wyniku upojenia alkoholowego wywinie orła i próbując się ratować przed upadkiem, złapie za stół, który ostatecznie polecie na glebę razem z nim, rozbijając przy okazji w drobny mak całą zastawę. To zazwyczaj zwiastuje koniec imprezy, a przynajmniej jej oficjalnej części. Następnego dnia wszyscy wstają z moralnym kacem, cichaczem rozjeżdżają się do domów i przez następne pół roku chodzą na palcach, byle tylko nie rzucać się w oczy i nie oberwać dyscyplinarką za chryję odwaloną podczas integracji. Tym sposobem pracodawca kupił sobie kilka miesięcy spokoju od pytań o podwyżkę. Właśnie tak to się robi w korpo.



8 KONTRABANDA

Poniższy tekst napisałem w Wielkanoc, zainspirowany świątecznym przedzeniem.

Funkcjonariusze warszawskiej Izby Celnej przeprowadzili dziś rano lotne kontrole na wszystkich drogach wjazdowych do stolicy. W ciągu kilku godzin przechwycono kontrabandę liczącą ponad 40 ton sernika, 8 tysięcy litrów żurku oraz 25 tysięcy słoików z sałatką jarzynową.

„Zatrzymywane pojazdy miały podejrzenie niskie zawieszenie oraz nietypowe spawania. Po odkręceniu części podwozia okazało się, że przerobiono je tak, by uzyskać dodatkową przestrzeń ładunkową” – opisuje Joanna Kępa, rzecznik prasowy Izby Celnej w Warszawie.

„Do wyjaśnienia zatrzymano kilkaset osób z całej Polski. Ze wstępnych ustaleń policji wynika, że za przemytem może stać zorganizowana grupa przestępcza kierowana przez znanych mafiozów, »Mamę« i »Babcię«. Nie jest to pierwsza sprawa, w której wszystkie tropy prowadzą do »Mamy« i »Babci«. Od Bożego Narodzenia zebraliśmy bardzo obszerny materiał dowodowy i ich ujęcie to już tylko kwestia czasu” – tłumaczy komisarz Alex.

Zatrzymanym grozi nie tylko „wytykanie palcami” przez prawdziwych warszawiaków, ale również utrata słoików i pojemników próżniowych. Szacuje się, że po wprowadzeniu przemycanego jedzenia do lodówek warszawskie cukiernie i restauracje jak nic straciłyby kilka milionów złotych.



9

GDZIE SIĘ PODZIAŁA MAGIA KINA?

N

ie wiem, czy to kwestia starości i po prostu widziałem już wszystko, czy to przemysł filmowy jakiś czas temu wpieprzył się w ślepą uliczkę i nie może się wydostać, bo w międzyczasie podjechała śmieciara i blokuje wyjazd? Owszem, nadal zdarzają się bardzo dobre filmy, tak że dwa razy do roku, ale to raczej kwestia farta i w miarę spójnej historii. Fajerwerków brak. Nie pamiętam, kiedy ostatnio przechodziłem ten przyjemny stan, gdy na ekranie pojawiały się napisy, a ja siedziałem zajarany niczym znicz olimpijski i po omacku skanowałem podłogę w poszukiwaniu szczeny, która opadła mi w trakcie seansu. „Star Wars” (miecze świetlne), „Powrót do przyszłości (deskolotka, DeLorean, samowiążące się buty), „Terminator 2” (płynny T-1000, „I’ll be back”), „Toy Story” (pionierska animacja w 3D), „Siedem”, „Podziemny krąg” (wykręcający umysł plot), „Forrest Gump”, „Szeregowiec Ryan”, „Skazani na Shawshank” (mistrzowski storytelling), „Matrix” (rewolucyjne efekty specjalne). Kurde, to dopiero były uczty filmowe. Tęsknię za czasami, kiedy szło się do kina z „czystą” głową, nieskałaną spoilerami, teaserami i trailerami. Zresztą zwiastuny oglądało się wtedy tylko przed główną projekcją. Stanowiły wartość dodaną do seansu. Dzięki temu, że nie można ich było obejrzeć nigdzie indziej, miały swoją magię i nikt nie liczył, ile czasu przesiedział w kinie, zanim puścili film. A teraz? Wszechobecne teasery, teasery trailerów, oficjalny trailer nr 1, 2, 3, 4, 5 i na to wszystko jeszcze klip zmontowany przez fanów. Każdy pokazujący najlepsze sceny i spoilerujący fabułę. Nie ma elementu zaskoczenia. Z kolei na ekranach niemal same rimejki, sequele, prequele i prequele rimejków sequeli. Nawet miecze świetlne potrafią się znudzić, jeśli dostaje się je rok w rok. Do tego dochodzi zalew artykułów, dzięki którym, a raczej przez które, już na pół roku przed premierą wiadomo, że w filmie X gościnnie pojawił się aktor Y (co pierwotnie miało być niespodzianką dla fanów), ile będzie scen po napisach i że twórcy od dawna pracują nad dwiema kolejnymi częściami.

Zajebicie, już na dzień dobry wiem, że większość głównych bohaterów przeżyje, aby pojawić się w kontynuacji, czyli emocje z punktu kulminacyjnego do piachu.

Kiedy piszę te słowa, po internecie hula 5-minutowy fragment najnowszego filmu Nolana, „Dunkierka”. Trzy miesiące przed premierą. Prawdopodobnie jest to najbardziej efektowna scena, nakręcona metodą bez cięć. Nie oglądam, nie chcę wiedzieć, ale naprawdę ciężko się przed tym uchronić, skoro udostępniają ją wszystkie duże portale i fanpejdże. Kina też nie pomagają. Ja rozumiem, że hajs musi się zgadzać. Ogarniam, że Polsat katuje mnie 40-minutowym blokiem reklamowym, żebym nie musiał płacić abonamentu za oglądanie ich chujowej ramówki, ale totalnie nie łapię, dlaczego kino zmusza mnie do obejrzenia 30 minut reklam, skoro za bilet zapłaciłem 39 złotych (sobota wieczór)? No chyba nie chcecie mi powiedzieć, że gdyby nie one, niezobowiązujący wypad na film kosztowałby 70 zeta? Do tego absurdu w stylu: kupuję bilet przez internet i za jego samodzielne wydrukowanie muszę dopłacić złotówkę ekstra! Że jak? Z kosztów kina odchodzi obsługa kasjera, tusz oraz pusty blankiet biletowy i za tę przysługę „nagradzany” jestem dodatkową opłatą? Walcie się na cycki. Powiem więcej. Jestem wielkim fanem „Mrocznego rycerza”, ale dopiero od drugiego obejrzenia. Na premierę poszedłem do IMAX-a i pech chciał, że jedyne wolne miejsca były w pierwszym rzędzie. Wziąłem, bo co mam nie brać? Okazało się, że pierwsze trzy rzędy totalnie nie nadają się do oglądania. Są za blisko ekranu. Trzeba mieć cały czas łeb skierowany w górę, przez co po kwadransie wysiada szyja i w ogóle z takiej odległości rozpieprza się perspektywa – postaci są zwężone i wydłużone. Wyszedłem wkurwiony jak Magda Gessler po zjedzeniu rosołu z kostki, ale przecież trzy dodatkowe rzędy „z dupy”, to dla kina kilkaset złotych zarobku górką, więc pierdolić komfort widzów, co nie?

Ostatnio jeden z multipleksów wprowadził kolejne udogodnienia. Fotele VIP, dzięki którym nie trzeba dzielić się podłokietnikami z plebsem siedzącym po sąsiedzku. Pomysł byłby super... gdyby kino w takie fotele wyposażyło wszystkie sale od dołu do góry. Nope, na każdej jest tylko jeden rząd takich siedzeń i krzyczą prawie 5 peelenów ekstra. Czyli w ekstremalnym wariancie wyjście do kina może kosztować 39 zeta za bilet + złotowa za jego samodzielny wydruk + piątak za fotel VIP + kolejna piątka za użyczenie okularów, jeśli wypadł nam akurat seans 3D. Łącznie 50 zeta od

łebka za obejrzenie kilkudziesięciominutowego bloku reklam i prawdopodobnie rozczarowującego filmu, który dodatkowo zostanie skażony spieprzonym (i często niechcianym) dubbingiem, szelestem, chrupaniem, mlaskaniem i śmieszkowaniem koleśki, którzy przyszli w większej grupie i myślą, że komentowanie na głos jest superzabawne. Taaa, niemal tak śmieszne jak grubas ubrany w koszulkę „Sex instruktor” na nadmorskim deptaku. Pozostaje współczuć rodzinom wielodzietnym, które raz na jakiś czas postanowią grupowo wyjść do kina. W końcu im też należy się coś od życia. Dżizas, aż mi się w głowie kręci, kiedy pomyślę, że dzieciaki na miejscu poproszą o jakiś popcorn, colę i żelki. Powszechnie wiadomo, że przy multipleksowych barach chowają się nawet lotniskowe butiki, a przecież tam już jest cenowy kosmos. 500+ rozchodzi się szybciej niż Crocsy w Lidlu. Wiem, wiem, wyjdziecie mi teraz z tekstem, że taniej będzie, jak wybiorę się na seans w środku tygodnia przed południem, najlepiej do kina studyjnego, a Snickersa zawsze mogę przemycić w rękawie. Problem w tym, że pracuję i średnio mam czas na takie zabawy w tygodniu, bez popcornu przeżyję, aczkolwiek myślę tu o rodzicach z dziećmi, którzy niekoniecznie chcą „kuźniarować”, a co do kin studyjnych, to niestety średnio mnie kręcą niskobudżetowe, pakistańskie melodramaty. Bogu dzięki, że dał nam Netflix, HBO GO i torrenty. Z tym ostatnim oczywiście żartuję, wspierajmy legalną kulturę, aczkolwiek jest trochę prawdy w powiedzeniu, że pirat to po prostu źle obsłużony klient. Kina, ogarnijcie się! Reżyserzy, scenarzyści i producenci, wy też!



10

NIE ROZUMIEM SZAŁU NA „50 TWARZY GREYA”

Ten tekst jest już trochę stary, ale to właśnie od niego zaczął się PigOut, więc nie mogło go zabraknąć w tej książce. Napisałem go chwilę przed kinową premierą pierwszej części, ale chyba nadal jest aktualny (druga część też rozbiła bank, więc fanklub Szarego wciąż jest mocny).

Siedzę właśnie na YouTube i czytam komentarze rozhisteryzowanych lasek na temat zjebistości trailera do „50 twarzy Greya” oraz dramatu, jakim jest czekanie na premierę. Gdzieś w odmęcie tych wywodów trafiłem na teksty w stylu „szkoda, że nie ma takich kolesi jak G.”, „faceci powinni iść na ten film, może się czegoś nauczą”, itd. etc.

Śmieszna historia, bo kiedyś miałem nieprzyjemność czytać ten paździerz i jeśli dobrze pamiętam, to w książce było tak: niejaki Kryszcian Grey przy okazji wywiadu poznaje niestabilną psychicznie dziennikarkę (nie pamiętam, jak miała na imię, ale pamiętam, że miała wbudowaną wewnętrzną boginię, która co pięć minut albo robiła salto, albo rozpadała się na tysiąc kawałków), po czym zachowuje się jak na każdego dżentelmena przystało, czyli proponuje układ: bzykanie bez zobowiązań. To znaczy bez zobowiązań z jego strony, za to ona musi być transparentna w każdym aspekcie swojego życia. Daje jej służbowe Blackberry, MacBooka i Audi, żeby móc ją stale kontrolować, ewentualnie wezwać w dowolnym momencie. Podpisują nawet umowę o dzieło, co w książce zostało nazwane kontraktem.

Może jestem jakiś dziwny, ale dla mnie wygląda to na prostytutkę. Stawki co prawda trochę wyższe niż w „Galeriankach” (stosunek za lot helikopterem vs fellatio za parę dzinsów) i na wyłączność, ale to nadal prostytutka. Nie kumam w takim razie, dlaczego pojawiają się komentarze, że nie ma takich gości jak Kryszcian. Jest ich na pęczki. Problem leży w dziewczynach, które

słyszając od koleśki tekst w stylu: „Wiesz, lubię cię, ale jestem teraz na takim etapie mojego życia, że nie interesuje mnie stały związek. Może po prostu pobzykamy się od czasu do czasu?”, nie potrafią zrozumieć, że właśnie trafia im się szansa na przygodę jak w „50 twarzach...”, tylko strzelają focha i biegną napisać na Samosi „wszyscy faceci są tacy sami i chodzi im tylko o jedno”.

Książka vs prawdziwe życie, przykład nr 2: Babeczka poznaje faceta, który po kilku randkach zabiera ją na chatę. Oprawdza po mieszkaniu: tu salon, tam sypialnia, ooo... a to mój pokój gier. Otwierają się drzwi, a tam ściany pełne dild, haków, pejczy, knebli, zatyczek, lateksowych wdzianek i tego typu zabawek. Co robi babeczka?

A) Spierdala w trymiga.

B) Mówi: „Uff! przez chwilę bałam się, że mówiąc pokój gier, masz na myśli PlayStation albo Xboxa. Nie mogłabym być z niedojrzałym człowiekiem, który ma skończone 30 lat i wciąż gra na konsoli! Na szczęście to tylko kolekcja dild, dilda zawsze spoko. Ooo... a tę żelazną dziewicę to gdzie kupiłeś? W Ikei? O, jakie fajne klamerki na suty, mogę przymierzyć?”.

Książka vs prawdziwe życie, przykład nr 3. Nazywanie „50 twarzy Greya” gorącym porno to obraza dla porno. Nie dość, że jest zimne jak ryba, to nawet Wiedźmin częściej chędożył u Sapkowskiego. Opisy „tych” scen według E. L. James są żenujące i zawsze wyglądają tak samo: ona rozpada się na tysiąc kawałków, a on krzyczy jak kierowca tira do leśnego ssaka „poczuj to dla mnie, mała”. Wiem, że czytelniczki Szarego lubią sobie wizualizować scenariusz, w którym podczas smażenia kotleta na chatę zamiast ich starego, wpada jakiś małomówny milioner, wrywa z rąk łopatkę, podwija fartuch i zaczyna smagać po tyłku, jakby jutra miało nie być, ona z kolei wspomaga go w głośnym liczeniu, a po wszystkim przypomina sobie, że była dziewicą, więc strzela focha i w pośpiechu wybiega z chaty, zapominając, że cała akcja rozegrała się u niej na kwadracie. Oczywiście kluczowy w tym wszystkim jest tajemniczy milioner, bo przecież nie zrobi tego z gwizdzącym za nią na ulicy budowlańcem-troglodytą, w dodatku bez helikoptera, szanujmy się!

Cóż, to tak nie działa. Widzieliście w ogóle kiedyś pornola? Ja nie, bo

chcę iść do nieba, ale wiem, co i jak, bo koledzy opowiadali. No więc, czy widzieliście kuźwa kiedyś pornoła, w którym gadają przez 3/4 filmu, negocjują warunki i jak już praktycznie wszystko jest klepnięte, to babeczka w ostatniej chwili wynajduje nowe problemy? Śmiem wątpić. W pornołu każda okazja jest dobra do chędożenia. Dostawa pizzy: „ojej, nie mam jak wydać reszty, ale spoko, mam pomysł, jak inaczej możemy wyrównać rachunek”. Wizyta u lekarza: penetracja na fotelu ginekologicznym. Serwis fury u mechanika: wymiana płynów i to nie tylko w autku. Zapchany zlew: rura pierwszorzędnie przepchana, tymczasem zlew nadal zapchany, przypadek? Kominiarz: przeczyszczony komin, a nawet dwa. Masaż: wiadomo, ręce od oliwki lubią się omsknąć, a skoro już powiedziało się A, wypada przerobić też resztę alfabetu. Korepetycje: praktyczny kurs anatomii w wykonaniu gorącego MILF-a w rogowych oprawkach. Rozmowa o pracę: skórzana sofa, a chyba wszyscy wiedzą, jak to się kończy. Przejazd taksówką bez pieniędzy: „spoko, dogadamy się” („hej, a co to za świecąca lampka na podsufitce? Czy ty to nagrywasz?” „Nie, to tylko czujnik cofania. Spokojnie, nikt się nie dowie”). I tak to właśnie działa, a co najlepsze, wcale nie są do tego potrzebne łapówki z iPadów i Blackberry, ba, nawet przedstawiać się nie trzeba. Niestety drogie panie, ale wasze wyobrażenie porno jest błędne. Zresztą tak samo jak wyobrażenie milionera, który nie ma nic lepszego do roboty niż wzięcie na celownik jakiejś szarej myszki z zaburzeniami łaknienia i uwodzenia jej tygodniami. Nope. Prawdziwy multimilioner zostaje Batmanem albo Iron Manem. W skrajnych przypadkach kupuje jacht i pływa po Karaibach w towarzystwie aniołków Victoria's Secrets. Przykro mi.

*

Tak przy okazji muszę się przyznać, że fenomenowi „Zmierzchu” też nie rozumiem. Co prawda w tym wypadku akurat książki nie czytałem, ale niedawno obejrzałem pierwszą część filmu w TV. Skusiła mnie zajawka, w której lektor rzucał tekstem: „Każda kobieta smakuje inaczej”. Łysy z Brazzers powiedziałby, że trudno się nie zgodzić. W każdym razie sam film był mega... dziwny, ale na swój sposób fascynujący. Autentycznie wbiło mnie w fotel i nie mogłem się oderwać. Każda scena była tak bardzo angażująca i przesiąknięta patosem, że z nerwów obgryzałem paznokcie. Niestety przy

okazji wyłapałem kilka fuckupów. Akcja jest tego typu, że młode dziewczę o imieniu Bella sprowadza się do jakiejś wioski, gdzie wiecznie jest ponuro i po której grasują wampiry oraz wilkołaki. Nie no, typowa amerykańska pipidowa. W babeczce zakochuje się Edłord, czyli 108-letni, świecący brokatem wampir (który został ukąszony w wieku 18 lat, więc z pysia nadal wygląda jak młodzieniaszek) oraz koleś w idiotycznej fryzurze, przedstawiający się jako Dżejkop, który w stresowych sytuacjach zmienia się w wilkołaka, rozrywając przy tym ciuchy niczym Hulk, a że stresuje się dość często, to zazwyczaj chodzi z gołą klatą. Dziewczę trochę się waha, ale ostatecznie wybiera na boyfrienda wampira Edłorda, co powoduje szereg dramatów, bo Dżejkop jest zazdrosny, ale zostawmy to i skupmy się na logice.

Pierwsze moje pytanie brzmi: dlaczego Edłord nadal popyla do szkoły? Z moich skomplikowanych obliczeń wynika, że gość od 90 lat jest uwięziony w ciele 18-latka i chcecie mi powiedzieć, że przez cały ten czas nagina się do liceum? I co dalej? Po zdaniu matury jego rodzina musi przenosić się do nowej, zacienionej wioski, gdzie blady kolejny raz zaczyna edukację od I klasy? Bitches, please! Dlaczego w ogóle chodzi do szkoły, skoro może siedzieć na chacie, grać na PlayStation i oglądać „Szpital”? Mój kumpel rzucił liceum w trzeciej klasie i nikt mu z tego powodu tyłka nie zawracał, więc jakby Edłord zrobił sobie rok przerwy, też by nie było dramatu. Drugie pytanie: dlaczego mając 108 lat, koleś leci na taką młodą, problematyczną foczkę? Ja ledwo co przekroczyłem 30 i już nie mam cierpliwości do gimbusów, a ostatnia rzecz, o jakiej marzę, to zagłębianie się w ich rozterki. Gdyby dziewczę chociaż cyckami rekompensowało brak osobowości, ale niestety, jedyne, co ma do zaoferowania, to foch i histeria. I w ogóle dlaczego nikt nie zadaje pytań odnośnie do bladości Cullenów (tak się nazywa ród Edłorda)? Cała rodzina wygląda, jakby przez ostatnie dwa lata zarywała nocki na granie w Minecraftera. Szanujący się pedagog zapytałby Edłorda, czy nie ma przypadkiem anemii i zaproponował pięćdziesiątkę glukozy, a tam wszyscy mają wyjebane. Swoją drogą, świecenie brokatem też jest niepokojące i może warto by było zrobić jakiś rezonans. No i ile wilkołaki wydają na ubrania? Jedna nerwowa sytuacja i boom po T-shircie. W polskich realiach o 9.30 wszyscy łaziliby już na waleta. Sorry, ale nie kupuję tego.



11

ZA JAKIE GRZECHY, CZYLI POLSKA MUZYKA ROZRYWKOWA

Słuchanie Radia Zet podczas kilkugodzinnej jazdy samochodem grozi nieodwracalnym uszkodzeniem mózgu i utratą szacunku wśród bliskich. True story. Samą czynność słuchania komercyjnego radia mógłbym porównać z chodzeniem po trawniku na osiedlu, gdzie mieszka od cholery psów – zawsze coś się przyklei. Zawsze. Za dowód niech posłuży moja weekendowa przygoda. Otóż w piątek wybrałem się z wizytą do rodziców, gdzie przy okazji udało mi się rozpić flaszeczkę z młodszym bratem, w którego oczach uchodziłem zawsze za niedościgniony wzór, jeśli chodzi o darcie łacha, wbijanie szpilek i poprawne posługiwanie się sarkazmem. Czas przeszły nie jest tu przypadkowy. Zrobiła się już pierwsza w nocy, siedzimy lekko upodleni i tniemy w Fifę, wtem ni stąd, ni zowąd doznaję totalnego zaćmienia umysłu i wyskakuję z tekstem: „Redzi, ja cię bardzo przepraszam, ale jeśli natychmiast nie zapuszczę sobie na jutubie kawałka „Kiedy zapomnisz o mnie w piątek”, jak nic popadnę w szaleństwo!”. Później dołożyłem jeszcze do pieca Natalią Nykiel i jej „Bądź dużym chłopcem”, na szczęście następnego dnia, w myśl zasady „po pijaku się nie liczy”, mój wyskok był tematem tabu. Przez chwilę łudziłem się nawet, że sprawa rozejdzie się po kościach i przy odrobinie szczęścia wyjdę z tego bez szwanku. Taaaaki chuj. Redzi zabrał się ze mną w drogę powrotną do Warszawy. Zrobiliśmy 300 kilometrów, w zasadzie byliśmy już na ostatniej prostej przed jego kwadratem, Redzi coś tam bredził na odchodne, wtem w radiu rozbrzmiał Grzegorz Hyży, a ja znowu doznaję ataku niczym gość z zespołem Tourette'a i wyskakuję na całe gardło: „Zamknij na chwilę oczy, nie myśl o tym, czy boisz się czy nie”. Panie, to był moment, chwilowe zaćmienie, podczas którego straciłem kontakt ze statkiem matką, ale weź się z tego wyplącz. To spojrzenie Redziego: jak matka, która przyłapała syna na fapowaniu do RedTube'a, jak dziecko, które dowiadyuje się, że Święty Mikołaj nie istnieje,

jak ja, kiedy znajduję w zamrażarce pudełko lodów, a po otwarciu okazuje się, że w środku mrozi się koperek. W dodatku Grzegorz kurde blaszka Hyży. Domyślam się, że nikt nie uwierzy, ale przysięgam, że nie znam typa i nie mam pojęcia, skąd wiedziałem, jak leci tekst! Redzi, wiem, że z takiego gówna nie da się wyjść i tej relacji raczej już nie odratujemy, ale wiedz, że byłeś dobrym braciszkiem. Może za 20 lat, kiedy kurz trochę opadnie i rany się zabliznią, znowu się spotkamy i może nawet będziemy się z tego śmiać. Tymczasem decyduj, w który dzień świąt Bożego Narodzenia odwiedzasz parentsów. Pierwszy czy drugi? Zrobmy to bezkolizyjnie.



12

ŚWIATOWE DNI MŁODZIEŻY

Tekst powstał w lipcu 2016 roku, tuż przed startem Światowych Dni Młodzieży w Polsce. Większość przedstawionych sytuacji wydarzyła się naprawdę.

Kolega namawiał mnie dzisiaj, żebym napisał, o co chodzi ze „Światowymi Dniami Młodzieży”, bo według niego nie wszyscy ogarniają. Cóż, ja też do końca nie wiem, ale byłem kiedyś na „Spotkaniu Młodych” w Lednicy, które koniec końców okazało się katolickim Woodstockiem, więc podejrzewam, że ŚDM, ze znacznie większym rozmachem, to taki chrześcijański odpowiednik Tomorrowland, z tym że w finale zamiast Davida Guetty na scenę wbija Papa Francesco. A z tą Lednicą to był taki patent, że kiedy ksiądz zarzucił pomysł na religii, żeby jechać, byłem bardziej niż bardzo na NIE. Uprzedzenia odrzuciłem, dopiero kiedy okazało się, że wyjazd jest w piątek z rana i na legalu można odpuścić szkołę. No i pojechaliśmy. Autobus pełen ministrantów, przyszłych zakonnic i kilku gości z przypadku, w tym ja. Ledwo ruszyliśmy, ksiądz wyciągnął gitarę i zarzucił nutę: „Taki mały, taki duży może świętym być”. Ministranci i przyszłe zakonnice nie tylko podchwycili melodię, ale zaczęli też odtwarzać choreografię z teledysku. W tym momencie przeszło mi przez myśl, że przy pierwszym przystanku na siku damę w długą, łapię stopa tudzież pekaes i robię azymut na dom. Niestety okazało się, że Lednica jest na tyle blisko, że dojechaliśmy bez przystanków. No i wysiadam z plecakiem pełnym słoików (w końcu wyjazd na dwa dni), karimatą i wielką pretensją do siebie, że dokonałem najgorszego deala w życiu, czyli sześć godzin lekcyjnych w zamian za zmarnowany weekend, i w tym momencie dostaję strzał w bark, który totalnie wybija mnie z fazy użalania się nad sobą. Paczę, WTF? A to zakonnica daje ostro w pogo i rzuca nią jak karpim wyciągniętym z wody, co kończy się taranowaniem przypadkowych przechodniów, w tym mnie.

Po krótkim spacerze docieramy na miejsce przeznaczenia. Rozglądam

się po terenie, a tam w pip namiotów. Przed każdym stoją grupki ludzi i bawią się w Jezusa. W sensie, że dzielą się chlebem i winem... i wódką i kabanosami. To była 12.00 w południe, a sama impreza (ta religijna) miała startować od 17.00. Chętnie opowiedziałbym, jak wyglądała, ale niestety nie dotrwałem. Podejrzewam, że było megagrubo, bo droga powrotna do autobusu prowadziła przez główną scenę (taką z symbolem ryby), a że była ona na podwyższeniu, miałem doskonały widok na całe pole, gdzie jeszcze kilka godzin temu stały namioty. Pobojojwisko, które zobaczyłem, wyglądało jakby ministranci Legii Warszawa starli się z ministrantami Lecha Poznań. Przewrócone toi toie, gdzieś tam w błocie błyszcząły pogubione różańce i zawiewały rozdarte habity, gałęzie przyozdabiały prezerwatywy i koloratki, a za pozostawione butelki w skupie pewnie można było dostać równowartość małego Fiata. Taki balet. Nie pamiętam, czy wróciłem bardziej uduchowiony, za to doskonale pamiętam, że w niedzielę na „Śmiechu warte” wciąż „chorowałem”, co bardzo mnie stresowało, bo w poniedziałek miałem mieć sprawdzian z przyrki. Z dzisiejszej perspektywy „Spotkanie Młodych w Lednicy” wspominam na tyle miło, że na „Światowe Dni Młodzieży” wbiłbym choćby zaraz, a po informacji, że Beata Kempa zawarła pakt z Janem Pawłem II, to już w ogóle nie mam pytań. Niestety praca koliduje.



13 JAK WSPIERAĆ WOŚP? PORADNIK DLA PRAWILNYCH

Z Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy już tak jest, że ci, którzy są do niej przekonani, będą wspierać akcję do końca świata i jeden dzień dłużej, z kolei ci twierdzący, że to wielki wałek, będą ją hejtować do końca świata i dwa dni dłużej. Nic z tym nie zrobimy, serio. A co, jeśli ktos w głębi serca czuje, że WOŚP jest spoko, ale znajduje się w prawidłym klinchu? W sensie, że w domu wszyscy jadą po Owsiaku, a ty się z tym nie zgadzasz, ale wolisz siedzieć cicho, bo nie chcesz kręcić dymu? Oto jak bezkolizyjnie rozwiązać taką sytuację:

Wychodzisz z domu, na przykład pod pretekstem pójścia do Biedry po bułki, po drodze spotykasz kwestujących, zasilasz puszkę dyszką, bierzesz serduszek, po czym ostentacyjnie wyrzucasz je do najbliższego kosza i ignorując oceniające cię spojrzenia, jak gdyby nigdy nic, wracasz do domu. Na chacie odwalasz standardowy dialog:

Ojciec (wstaw osobę, która robi presję): Zbierali na WOŚP?

Ty: Zbierali!

Ojciec: Pogoniłeś?

Ty: Pogoniłem!

Ojciec: Moja krew!

I teraz możesz iść pograć w Minecrafta z czystym sumieniem. Ja to nazywam opcją win-win.



14

TAKA PIĘKNA KATASTROFA

Inspiracją do napisania tego tekstu był artykuł przeczytany na jednym z dużych portali internetowych, opisujący problemy, z jakimi zmagają się lotnisko w Radomiu. Pisałem go w czasach, kiedy jeszcze nie wszyscy wiedzieli, że Radom ma własny port lotniczy i aktualizowałem w 2017 roku, po upublicznieniu kosztów jego utrzymania.

Standardowo scrollowałem sobie wczoraj fejsa i już miałem pociąć się z nudów, bo jak nie gif z kotem, to zdjęcia dzieci, wtem, nagłówek, po którym prawie spadłem z krzesła. Szedł tak: „Loty do Pragi odwołane. Czy to już koniec lotniska w Radomiu?”. WTF? To Radom ma lotnisko? I w dodatku połączenie z Pragą? W pierwszym momencie pomyślałem, że to idealny materiał do darcia łacha i powielania miejskich stereotypów, w końcu żart o zagranicznych wojażach „chciwej baby z Radomia” zawsze na propsie. Niestety, to, co miało być heheszkową wrzutką, po zgooglowaniu okazało się najsmutniejszą historią ever. Serio, spłakałem się bardziej niż na „Królu Lwie”, przez co mam teraz olbrzymie wory pod oczami i muszę udawać przed kolegami, że to przez alergię. Zaczniemy jednak od początku, czyli od fazy pomysłu. Załóżmy, że ktoś wyjeżdża do was z tekstem: „Ej, mam zajebisty pomysł, zróbmy lotnisko w Radomiu”. Co byście odpowiedzieli? Najprawdopodobniej: „Człowieku, ochujałeś? Skąd weźmiesz szmal, chętnego przewoźnika i pasażerów w liczbie pozwalającej zapełnić samolot? A to tylko początek problemów. Zmień może dealera albo bierz połowę tego, co teraz, bo sam widzisz, jak to się kończy”. Teoretycznie taka wymiana zdań powinna wystarczyć, żeby pomysł trafił do kosza, ale o dziwo nie trafił. Okazuje się, że ktoś decyzyjny w Radomiu wziął sobie do serca powiedzenie Mateusza Grzesiaka: „Wszystko jest możliwe, jeśli czegoś bardzo chcesz” i uparł się na to lotnisko, totalnie ignorując fakt, że w pobliżu są już porty w Warszawie, Łodzi i Krakowie. Pomysł ultratrudny do realizacji, ale jakimś cudem temu komuś

udało się go przeforsować i zebrać naprawdę potężną górę forsę na realizację. Podejrzewam, że ten ktoś nosi spodnie à la MCHammer, bo tak wielkich jaj raczej nie da się upchnąć w standardowe džinsy. Szanuję za odwagę.

W 2012 roku prace budowlane ruszyły pełną parą i według szacunków miały potrwać około dwóch lat. O dziwo, wszystko poszło zgodnie z planem, port został ukończony w terminie, a do jego obsługi zatrudniono 141 osób z regionu, czyli same pozytywy. Pozostało już tylko wielkie odliczanie do 19 czerwca 2014 roku, czyli dnia, kiedy miał się odbyć pierwszy lot do Egiptu. No cóż, nie odbył się. Pierwotny przewoźnik w ostatniej chwili się wycofał, a innego, podobnie jak chętnych pasażerów, nie znaleziono. Prawdopodobnie dlatego, że w pobliżu są porty w Warszawie, Łodzi i Krakowie, ale co ja tam wiem. W sumie dobrze się stało, bo jakiś czas później kontrola wykazała, że pas startowy ma konsystencję budyniu, ponadto lotnisko tak jakby zapomniało, że przy lądowaniu przydają się urządzenia nawigacyjne i ich nie zainstalowało. Dość duże „fopa”, biorąc pod uwagę, że żyjemy w kraju obciążonym traumą katastrofy lotniczej. Powiedzieć, że otwarcie radomskiego portu było niewypałem, to nie powiedzieć nic. Niejeden biznes by się zachwiał po dwóch tak potężnych ciosach na dzień dobry, ale nie lotnisko w Radomiu. Władze radomskiego lotniska wzięły to na klatę, ot pierwsze śliwki robaczywki, po czym bez krzty żenady poprosiły miasto o kilka baniek dotacji na dwuletnie utrzymanie portu, bo jak wszystkim dobrze wiadomo, nie zarobiło jeszcze ani złotówki. Miasto bez zbędnych pytań wyskoczyło z kasy, dzięki czemu 141 osób nadal mogło codziennie przychodzić do pracy i rozwiązywać sudoku na pełen etat. Generalnie plan był taki, że jeśli lotnisko pozostanie czynne, to coś się w końcu urodzi. No i się urodziło. Co prawda ciąża nietypowa, bo noszona ponad rok, jednak 1 września 2015 roku następuje szczęśliwe rozwiązanie. Tego dnia otworzono połączenie Radom–Ryga realizowane przez linię Air Baltic z częstotliwością trzech lotów w tygodniu. Grubo. Jeszcze radomianie nie przestali klaskać, a tu kolejny epic win, bo lotnisko przyklepuje deal z Czech Airlines, w wyniku którego 18 września otwarte zostaje połączenie Radom–Praga. Normalnie sukces goni sukces, szampany strzelają, konfetti się sypie, lotnisko zapierdala na pełnych obrotach, bo wykonuje aż jeden lot dziennie. 141 zatrudnionych osób praktycznie nie wyrabia się z sudoku, o fejsie nawet nie wspominając i teraz, w momencie kiedy już jest tak

pięknie, kiedy są na fali, kiedy Radom wita się z gąską, kiedy już tylko 98 osób brakuje do świętowania jubileuszu 100 odprawionych pasażerów, Czech Airlines zadaje śmiertelny cios i kasuje połączenie z Pragą. Po zaledwie miesiącu od otwarcia. No powiedzcie, czy to nie jest skurwysyństwo? Na tym nie koniec kłopotów, bo chwilę później wycofuje się też Air Baltic, co sprawia, że przez kilka miesięcy w porcie znowu hula tylko wiatr. Gwoździem do trumny jest sprawozdanie przedstawione podczas sesji rady miasta, z którego wynika, że w okresie od stycznia do sierpnia 2016 roku lotnisko odprawiło łącznie 5386 pasażerów, generując przy tym 11,5 miliona złotych kosztów utrzymania. Oznacza to, że mieszkańcy Radomia dopłacali 4,4 złotych do każdego biletu. Słabo? Normalnie zapalam zniczyk [*], bo umarłem od tej historii. Najgorsze, że znowu cała Polska zamiast jeździć „do”, będzie jeździć „po” Radomiu, a przecież intencje były szlachetne. Łączę się w bólu, bo wiem co nieco o złej karmie. Ja też zawsze chcę dobrze, a kończy się fiłakiem na skórce od banana.



15

JAK PRZETRWAĆ SYLWESTRA?

Przed nami sylwester, czyli drugi najgorszy dzień roku, który pod względem presji „zrobienia czegoś wyjątkowego” ustępuje tylko walentynkom. Możesz 100 lat kombinować, jakby tu zadziałać, aby sylwestrowa noc okazała się najlepszą w twoim życiu, lecz prawo Murphy’ego podpowiada, że i tak nic z tego nie wyjdzie.

PRZEANALIZUJMY POTENCJALNE OPCJE:



Impreza plenerowa – odmrażasz sobie paluchy, zostajesz stratowany przez tłum, gubisz znajomych, trzeźwiejesz, próbując zrozumieć, co właściwie śpiewa Cleo („Są takie mi się chce”? WTF?), a na końcu dostajesz butelkę w głowę.



Domówka u siebie – ludzie narzekają, że zrobiłeś przekąski z glutenem, kupiłeś za mało popitki, po dwóch godzinach niemiłosiernego męczenia buły przejmują jutuba, po czym każdy zapuszcza prześmieszne filmiki z tekstem „obczajcie to, buehehe”. Wiecie, jak to się kończy, prawda? Filmiki, które bawiły was do łez w czterech ścianach, pod wpływem waszej rekomendacji i oczekiwań znajomych nagle stają się suche jak pięty Cejrowskiego. O północy, uzbrojeni w ruskiego szampana, idziecie odpalić petardy... Wróć! Popatrzeć, jak inni odpalają, bo wy poskąpiliście kasy, wtem widzisz, że jedna petarda nie wypaliła, więc jako najodważniejszy z grupy idziesz odpalić ją jeszcze raz. Po powrocie z ostrego dyżuru okazuje się, że znajomi już się zmyli, a ty zostałeś sam na sam ze zdemolowaną chatą, zarzyganą łazienką i poparzeniami trzeciego stopnia.



Domówka u znajomych – chcesz się zachowywać godnie i trzymać fason, ale kumpel wyjeżdża z tekstem „ze mną się nie napijesz?”, w wyniku czego mieszasz 12 Harnasi z Żołądkową Gorzką i jeszcze przed 21.00 rzygasz

dalej, niż widzisz (wersja oficjalna: zatrucie sałatką jarzynową).



Domówka u znajomych znajomych – wbijasz jako piąte koło u wozu, nie łapiesz z nikim tematu, spędzasz noc, gapiąc się w ścianę, wracasz do domu, udajesz, że było epicko.



Bal w eleganckim lokalu – wydajesz kupę siana na wjazd, jeszcze więcej na supermodną stylówkę, po czym odkrywasz, że podali szpitalne żarcie, grają beznadziejną muzykę, przyszli sami drętwi ludzie, a alkohol jest płatny extra.



Party Hard w Zakopanem – stoisz w korku na zakopiance, pijesz lampkę szampana w dzikim tłumie na Krupówkach, lżejszy o dwa tysie, i z kacem gigantem stoisz w korku na zakopiance.



Randka w ciemno – chyba ktoś tu przedawkował „Listy do M. 2”.



Sylwester z Jedyką/Dwójką/TVN-em/Polsatem – przy występie Kombi zdajesz sobie sprawę, że przegrałeś życie, po czym idziesz wziąć kąpiel z włączoną suszarką.

Do tego doliczyć trzeba bonusowe katastrofy i kompromitacje, np. trafienie na izbę wytrzeźwień, przypadkowe przelizanie się z najgorszą dziunią w powiecie, tudzież poświęcenie kilku godzin na supermodny makijaż podpatrzony w „Pytaniu na Śniadanie”, który na końcu i tak wszyscy wyśmieją. Ja odpadam, będę grał w grę... „Tomb Raider”.



16

NAJDROŻSZY HOTEL W STOLICY

Pozostańmy jeszcze przez chwilę w klimatach sylwestrowych, bo tak się składa, że przed chwilą przeczytałem ciekawą statystykę, z której wynika, że najpopularniejszym stołecznym hotelem w sylwestra okazała się Izba Wytrzeźwień na ulicy Kolskiej 2/4. 160 miejsc, którymi dysponuje ten „pensjonat”, rozeszło się na pniu. Ostatni klient zameldował się 31 grudnia o godzinie 21.00 i od tego momentu przestano przyjmować kolejnych gości, chociaż zainteresowanie wcale nie malało. Był to spory problem dla straży miejskiej, bo odpowiedzialność za niedysponowanych spadała właśnie na nich. Z kłopotu wyszli sprawdzonym patentem: ładowali wszystkich chętnych na pakę dostawczaka, podjeżdżali na Kolską, wysypywali ich na wycieraczkę, dzwonili do drzwi, po czym brali nogi za pas i dawali w długą, zanim ktokolwiek zdążył dokulać się do drzwi. Właśnie tak wygląda mistrzowska psychologia, korpuludki, uczcie się.

Nocleg na Kolskiej do tanich nie należy, bo życzą sobie aż 300 złotych za noc, ale kiedy przeanalizuje się, co jest w pakiecie, okazuje się, że to deal życia. Otóż za marne 300 złotych dostaje się podwózkę Uberem w barwach straży miejskiej z dowolnego miejsca w stolicy pod samiuskie drzwi „hotelu”. Następny w kolejce jest erotyczno-uzdrawiający zabieg biczami wodnymi. Kilku typów rozbiera cię do rosołu i oblewa zimną wodą ze szlauchu, nie omijając przy tym stref intymnych. Dalej to już etap zakwaterowania do wieloosobowej sypialni, który daje szansę na poznanie nowych, ciekawych osobowości, a nawet przelotny romans. Do wyboru są dwie opcje kimki: pod kocem, jeśli klient decyduje się pozostać we własnych ciuchach, lub w pościeli, ale tu warunkiem jest wskoczenie w firmową piżamkę. Śpi się na wyrze żywcem wyciągniętym z „50 twarzy Greya”, czyli skórzane pasy, kneble, rozpórki na nogi i tego typu tematy, co też można uznać za atrakcję, a przynajmniej za przygodę. Catering może dupy nie urywa, bo do dyspozycji są tylko wspólne termosy z kawą i herbatą oraz wiadro z wodą mineralną, ale z drugiej strony na mieście jest wiele hosteli, które w tej cenie

poza noclegiem nie oferują niczego więcej, pozostawiając klienta o suchym pyszczku. Przed wymeldowaniem, bez dodatkowych kosztów, można jeszcze skorzystać z konsultacji z terapeutą, czyli całkiem cenny gratis, biorąc pod uwagę, ile na rynku kosztuje wizyta u kołcza. Niestety na booking.com jest też kilka nieprzychylnych opinii, z których wynika, że na Kolskiej dochodzi do częstych kradzieży. Na szczęście złodzieje są na tyle przyzwoici, że zawsze pozostawiają w portfelu 5 złotych na bilet autobusowy. Warto już teraz zastanowić się nad rezerwacją na sylwestra 2017. Może przy takim wyprzedzeniu będzie jakaś zniżka.



17

JAK PRZETRWAĆ WALENTYNKI?

Kiedy piszę te słowa, wielkimi krokami zbliżamy się do najbardziej traumatycznego dnia roku, do walentynek! Już sam fakt, że nazwa pochodzi od św. Walentego, czyli patrona chorych na padaczkę, jest wystarczająco wymowny. To nie przypadek, miłość po prostu bardzo często mylona jest właśnie z padaczką. Objawy są niemal identyczne: płytki oddech, przyspieszone bicie serca, rozbiegany wzrok, bredzenie bez sensu, nieskoordynowane ruchy, dreszcze, piana z ust itp. W teorii walentynki to dzień wyznawania uczuć swojej sympatii, w rzeczywistości to jedno wielkie pasmo rozczarowań. Pod względem presji „zrobienia czegoś wyjątkowego” przypominają trochę sylwestra, z tą różnicą, że w sylwestra nikt nie ma pretensji, jeśli przeszarżujesz z alkoholem. Dla niektórych walentynki skończą się pierwszorzędnym wychędożeniem... z kasy, dla innych epickim daniem dupy... przez niezadbanie o odpowiedni prezent. Generalnie nikt w tym dniu nie ma lekko, no może poza sklepikarzami, którzy zbijają fortunę, czyszcząc magazyny ze wszystkiego, co różowe, pluszowe, słodkie i tandetne. Rozczarowane będą gimbusy, które widzą w tej dacie potencjał na odbycie pierwszego razu, ale z braku lokalu skończą na publicznym uprawianiu tarła w ZTM-ie. Chociaż oni to jeszcze nic, odkują się na szkolnej przerwie podczas gry w słoneczko. Bardziej przewalone mają single, którzy zamiast wyjechać na snowboard, spijać driny i cieszyć się wolnością, złamią się psychicznie pod ciężarem oceniających spojrzeń „zakochanych” i spędzą dzień na kanapie, zawinięci w koce, zjadając smutki powiększonym kubelkiem z KFC i oglądając po raz setny „Bezsenność w Seattle”. Oczywiście głównie tyczy się to dziewczynek, bo chłopcy generalnie mają wyjebane i wolą wbijać level w „Tibii”, chociaż i wśród nich znajdują się kamikadze, którzy postanowią w tym dniu wyznać komuś uczucie. Ich również czeka zawód. Moment, kiedy po wręczeniu prezentu usłyszą: „Dziękuję, jesteś moim najlepszym przyjacielem”, będzie dla nich

druzgocący.

Nie lepiej maluje się sytuacja par z krótkim stażem. Niestety one nie dotarły jeszcze do tego pięknego etapu, kiedy można być już sobą, więc zamiast pójść na najnowszego „Deadpoola”, będą cierpieć na jakimś badziewiu z Karolakiem, wyprodukowanym przez twórców „Listów do M.”. Najgorzej jednak mają pary z wieloletnim doświadczeniem, tzw. weterani, którzy postanowią w ten wieczór opuścić swoją strefę komfortu i wbić do jakiejś knajpy, udając, że jeszcze nie popadli w rutynę. Co prawda ciepła strawa zawsze na propsie, ale trzeba za to zapłacić wysoką cenę: zrzucić dresy, wydepilować wąsik i klatę (dziewczyny) oraz mosznę i plecy (chłopcy), a co gorsze, wyjść z domu i podtrzymywać rozmowę podczas oczekiwania na jedzenie. Brrr. Do tego, jako ukoronowanie wieczoru, odświeżne zbliżenie, czyli takie z grą wstępną, bez skarpet i przy wyłączonym telewizorze. Po wszystkim broń Boże nie wolno odpalać PlayStation. Nope, trzeba leżeć na łyżeczkę, patrzeć w sufit i celebrować.

Powszechnie wiadomo, że walentynki najlepiej obchodzić szerokim łukiem, ale na dłuższą metę tak się nie da. Jak je przetrwać? Zapytałem o to czytelniczki mojego bloga i okazało się, że temat nie jest aż tak traumatyczny, jak to przedstawiłem we wstępie. Czytelniczki nie przywiązują aż tak wielkiej wagi do pluszowych miśków, baloników i czekoladek, jak to mówią w telewizji. Wręcz przeciwnie. Mają proste marzenia w stylu dobrze zjeść i nie musieć potem sprzątać, z kolei rodzice nie pogardziliby, gdyby ktoś na jeden dzień przejął dzieciaki i dał im pobyć sam. Film owszem, ale najlepiej w domu. Gatunek nieważny, bo i tak rozchodzi się o to, żeby w trakcie przejść do przytulasów. Dziewczyny stwierdziły, że nie razi ich nawet, jak facet nie zdejmuje skarpet, bo ponoć lepsze czarne podkolanówki niż zimne stopy. I w ogóle okazało się, że skarpety to mały pikuś przy tendencji do zostawiania majtek na jednej nodze, coby później nie szukać. Powiedziałem o tym kolegom i każdy reagował w stylu „Kurde, myślałem, że tylko ja na to wpadłem”. Tak że jedzcie i nie zmywajcie, sprzedajcie komuś dzieciaki, panowie, pozwólcie paniom zdecydować, jaki film obejrzyjecie wieczorem: z Uniwersum DC czy Marvela, a później majtki sru na jedną nogę i leżenie na łyżeczkę, jakby jutra miało nie być. Czy muszę dodawać, że z walentynkami jak z tłustym czwartkiem? Nie chodzi o to, żeby zrywać się od wielkiego dzwonu, tylko celebrować codziennie. Idźcie i siejcie miłość.



18 CIĘŻKIE ŻYCIE SINGLA

Omówiliśmy sobie walentynki, tymczasem zaledwie dzień później świętują single. Yep, 15 lutego obchodzimy Międzynarodowy Dzień Singla. O jego randze niech świadczy fakt, że nie ma z tego tytułu wolnego. I to ma być święto? No dobra, żarty na bok, czego single mogą się spodziewać z tej okazji? Mniej więcej tego, co w walentynki, czyli niczego. Nikt nie da wam prezentu, nikt się nie przejmie i nawet herbaty nie poda. Powiedzmy, że chciałbym przełamać ten impas i złożyć wam życzenia, ale nie bardzo wiem, co można powiedzieć, żeby nie pogorszyć sprawy – gratuluję samotności, jestem pewien, że to z własnego wyboru? Tak serio, to jest wiele rzeczy, których wam zazdroszczę (Madzia, to nieprawda, tak tylko mówię, żeby nie było im przykro). Możecie robić, co chcecie i kiedy chcecie, na przykład zamówić frytki i zjeść całą porcję bez dzielenia się, mimo że ona zarzekała się, że nie chce własnych. Chrapać bez obaw, że w najlepszej fazie snu dostaniecie cios w grdykę, puścić cichacz bez konieczności zagłuszania go fejkowym kaszlnięciem, chodzić w rozciągniętych dresach i bez mejkapu, bo kotom i tak wszystko jedno. Poza tym nie ma ryzyka, że połowica przypali wam twarz żelazkiem za rzucenie skarpet w złym miejscu, a wasz luby zamknie was w komórce za dotknięcie PlayStation bez pozwolenia.

Jest jednak pewien aspekt, którego zajebicie wam współczuję: randkowanie. W życiu każdego singla, nawet tego z wyboru, przychodzi etap, kiedy brudne naczynia zaczynają wysypywać się ze zlewu (chłopcy), a w warzywniaku kończy się sezon na ogórek zielony, długi (dziewczyny). Wtedy tak jakby wzrasta motywacja, żeby kogoś sobie znaleźć i podzielić się niewygodnymi obowiązkami. Niestety w tym celu trzeba iść na randkę, co zazwyczaj kończy się poznaniem jakiegoś psychola. Każdy ma jakiś fetysz, każdy. Kwestia, jak głęboko drążycie. Na samą myśl, że miałbym wrócić do randkowania, dostaję dreszczy. Musiałbym ubrać się jak człowiek, od zera nauczyć zasad zachowania w miejscu publicznym, opowiedzieć, co robię

i udawać, że mam jakieś zainteresowania, a co najgorsze, wysłuchać tego samego od drugiej strony (zabijcie mnie od razu). Z randkami jest ten problem, że zamiast iść samemu, wysyłamy na nie sfotoszopowaną wersję siebie. Mniej więcej tak Kaczyński wygrał prezydenturę – wystawił do wyborów swojego avatara, a sam na czas kampanii schował się pod kamieniem. Podobnie jest z randkami, zwłaszcza tymi z internetu, a tak się składa, że po przekroczeniu pewnego wieku tylko na takie możecie liczyć. Stąd już tylko jeden krok do katastrofy. Zresztą sami wiecie, jak to działa. Zaczyna się od podrasowanych zdjęć profilowych, dalej jest: „No hejka, co tam?”, po czym schodzą niesamowite opowieści o podróżach autostopem przez Azję i nartach w Aspen, a później przychodzi czas spotkania w realu i nagle szok, niedowierzanie i szukanie alibi do ucieczki, bo okazuje się, że ten superprzystojny, elokwentny i dobrze rokujący biznesmen z internetu, w rzeczywistości jest absolwentem Wyższej Szkoły Bansu i Lansu, zatrudnionym w firmie „Szlachta nie pracuje”, nadal mieszka z rodzicami, uwielbia pizzę hawajską i śmiał się na „Kac Wawa”. Dokładnie tak to działa. Kolesie, którzy jarają się filmami ze Stevenem Seagalem, na randce powiedzą, że najbardziej cenią trylogię „Ojca Chrzestnego”, z kolei tlenione blondyny, które co sobotę wywijają odkrytymi pośladkami w klubie Viva przy hitach „Weekendu”, ściemnią, że najbardziej trafia do nich „Coldplay”, a ich ulubiony moment dnia to wieczór, kiedy mogą się od wszystkiego odciąć i oddać lekturze. Taaa, jasne. Jak to mawiał dr House: „wszyscy kłamią”. Randkowiczom nie wolno zamulać przed telewizorem, randkowicze muszą mieć pasje. Z pracy prosto na squasha, zumbę albo paintballa. Zimą obowiązkowo snowboard w Livigno, a latem kite na Rodos. Randkowicze nie mogą lubić kanapek z paprykarzem szczecińskim, randkowicze jedzą sushi i zapijają Prosecco. Randkowicze notorycznie muszą grać w rosyjską ruletkę przy płaceniu rachunku: dzielić nie dzielić? Należy do tych, które potrzebują opieki? Czy może się obrazi, bo w swoim mniemaniu jest kobietą niezależną? Randkowicze muszą ściemniać, że miło było poznać i że na pewno oddzwonią. Randkowicze mają przewalone. Współczuję. Oczywiście bywają wyjątki, ale zazwyczaj zanim trafi się na księcia z bajki, wcześniej trzeba pocałować kilka żab. Przykładowo mam kolegę, który zaliczył ekstremalnie długi etap randkowania przez internet i z jego opowieści wynika, że co drugi dzień chodził napruty, bo w pewnym momencie nie mógł już na trzeźwo zdzierżyć życiowych historii swoich

randek, z kolei przy własnej przysypiał, bo opowiadać po raz 30. to samo potrafi ostro zmęczyć. Mówił, że wielokrotnie nadział się na minę: umawiał się z dziunią, która miała superwymuskane zdjęcia na profilu, a w rzeczywistości straszyla zrosniętą brwią tudzież owłosieniem jak u kierowcy tira. W pewnym momencie skończyły mu się nowe lokale, przez co zaczął wracać do starych, co kilka razy kończyło się sytuacją, kiedy on siedział ze swoją randką przy jednym stoliku, a przy drugim Karyna, z którą spotkał się tydzień wcześniej, z którą na do widzenia powiedzieli sobie: „Było super, musimy koniecznie to powtórzyć”, a później kontakt się urywał. Po prostu żadne z nich nie chciało się przyznać, że było beznadziejnie i do końca próbowali być mili. Mówił jeszcze, że jak się już człowiek wkręci w randki przez internet, to ciężko przestać, bo nawet jak jest fajnie, to gdzieś z tyłu głowy czai się myśl, że na następnej może być jeszcze fajniej. I tak w nieskończoność. No i na koniec fun fact: Randkowiec internetowy na każdym spotkaniu mówi, że to jego pierwszy raz: „Normalnie takich rzeczy nie robię, dla ciebie zrobiłem/am wyjątek”, a w domyśle „nie spierdol tego”. Single, myślami jestem dziś z wami.



19

KRÓTKA HISTORIA O STEREOTYPACH

Siedzę na zajęciach z angielskiego, wtem lektorka rzuca pytanie od czapy: „Po czym poznać Polaka w Anglii?”. Nikt nie wyczuwa prawdziwej intencji, więc się zaczyna: „No jak po czym? Po reklamówce z Biedry, po białej skarpecie i sandałach, po Kubocie, wąsach, zasiłku, popylaniu z buta środkiem ścieżki rowerowej, używaniu konstrukcji „No to how I can tejk, kurwa?” i „Fenkju from the montajn”. To była pułapka. Babka pokręciła z pogardą głową, po czym z rozczarowaniem w głosie powiedziała, że w zasadzie to chodziło jej o używanie formy „I will” tam, gdzie powinien być „present continuous” lub „going to”, ale w sumie już nieważne, nie było tematu. Morał: Możesz odstawić czerwone mięso, dawać na WOŚP, być za przyjęciem uchodźców, segregować śmieci, ale w środku i tak jesteś hejterem zatrutym stereotypami.



20

JAK NIE PANIKOWAĆ NA FEJSIE?

N

a jednym z blogów kulinarnych przeczytałem dzisiaj następujący wpis: „Hej, zrobiłam dla was perfekcyjny wegański mus czekoladowy i wiecie co? Nie dostał żadnego lajka, ani jednego!”. Dalej dziewczyna rozwodziła się jeszcze nad tym, że brak lajków strasznie podcina skrzydła i że ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, ile pracy wymaga przygotowanie takiego przepisu. „Najpierw intensywnie myśli się nad składnikami, co czasami wręcz nie daje spać, następnie jest faza eksperymentowania z proporcjami, co przecież też chwilę trwa, aż w końcu przechodzimy do etapu zdjęć, ich obróbki, napisania tekstu oraz zjawienia gotowego przepisu na fejsie, Instagramie, Snapchacie i Naszej Klasie. Łącznie kilka dni ciężkiej harówki i wszystko po to, żeby nie dostać ani jednego lajka, wielkie dzięki!”. Wiem, że nie powinienem się śmiać z tego blogerskiego dramatu, ale nic nie poradzę, że od zestawienia w jednym zdaniu perfekcyjnego wegańskiego musu i braku lajków prawie nakryłem się nogami. Na pocieszenie koleżanki po fachu mogę powiedzieć, że też coś takiego przerabiałem, więc dobrze znam ten ból. To działa tak: publikujesz jakiś rześki (w twoim mniemaniu) tekst, spodziewając się pozytywnego feedbacku, a tu dupa blada, bo następuje tylko niezręczna cisza. Mija 5, 10, 15 minut i wciąż nic. Po 20 minutach bezowocnego odświeżania strony w końcu stwierdzasz, że nie potrzebujesz lajków – „Jestem skałą, jestem ponad to” – i idziesz zająć myśli czymś innym, np. scrabblami. Układasz jakieś słowo, wtem w tle rozchodzi się dźwięk powiadomienia na fejsie. W głowie pojawia się myśl „Oho, zaczęło się!”. Z miejsca wywracasz scrabble razem ze stołem i na złamanie karku lecisz do kompa. Z bananem na pysiu patrzysz na podświetloną kulę ziemską, zastanawiając się, czy to lajk, czy komentarz, po czym klikasz, a tam taaaaki chuj, bo to tylko Magda Gessler robi transmisję na żywo i przesyła besoski. W tym momencie dotarłeś do punktu, w którym zostały ci już tylko dwie opcje:

Pograćzyć się – w tym celu piszesz dramatycznego posta, w którym szantażujesz, że zamkniesz bloga i publika zapłacze się z tęsknoty. Wiem, że taki scenariusz kusi, ale szczerze odradzam. Prawda jest taka, że wszyscy mają to w dupie, poza tym i tak wiadomo, że nie usuniesz blogaska, a smród będzie się ciągnął latami.


Opcja numer dwa to mój autorski pomysł i polega na tym, że pod osłoną nocy usuwasz „olany” wpis i udajesz, że nie było tematu. Działa zajebiście, polecam.




21

NIE NADAJĘ SIĘ NA BLOGERA

Teoretycznie mam wszelkie zadatki na blogera: przeczytałem wszystkie poradniki z tej dziedziny, lubię lajki i gratisy, mama jest polonistką, więc zdania wielokrotnie złożone nie powinny być mi straszne, z kolei ojciec od zawsze interesował się nowymi technologiami, dzięki czemu od dziecka byłem otoczony komputerami. Czym w takich okolicznościach jest napisanie linijki kodu HTML? Cóż, to nie do końca tak działa. Język polski do dzisiaj potrafi mnie niezłe zaskoczyć, o czym niech świadczy fakt, że kiedyś popełniłem trzy błędy w słowie „chomąto”, a to i tak nic wobec przecinków, przy których po prostu zamykam oczy i wstawiam na chybił trafił. Równie mocno kuleję w kwestii komputerów. Uznajmy, że moja wiedza kończy się na znajomości kombinacji klawiszy „ctrl + C, ctrl +V”. Zrobienie cracka w grze to już za wysokie progi. Wystarczy powiedzieć, że wolałem kupić konsolę, niż zmierzyć się z tym problemem, więc możecie sobie wyobrazić, w jaką panikę wpadam na widok Wordpressa. Tymczasem okazuje się, że elementarna znajomość gramatyki i obsługi komputera to zaledwie mały procent umiejętności, jakie powinien posiadać bloger. Otóż szanujący się bloger powinien znać się jeszcze na marketingu i reklamie, w końcu teksty sponsorowane same się nie napiszą, co nie? Ogarniać modę, trendy i popularne knajpy. Sorry, ale bez tego influencerem nie zostaniesz. No i oczywiście musi mieć czarny pas w robieniu samejebek, bo co to za bloger bez dziubków na Instagramie? Niestety ja takich umiejętności nie posiadam, przez co moje zeszłoroczne osiągnięcia blogerskie wyglądają następująco:

 Pominięty w rankingu TOP30 blogów, tworzonoego przez samozwańczego króla blogosfery, czyli Kominka vel Jasona Hunta

 Pominięty w zestawieniu ShareWeek, tworzonoego przez księcia blogosfery, czyli Andrzeja Tucholskiego

 Pominięty w konkursie na Bloga Roku

 Pominięty przy Blog Forum Gdańsk



Pominięty przy See Bloggers Gdynia

Pominięty w Blogowigilii

To, że o połowie tych eventów nie miałem pojęcia, a drugą szczerze gardzę, nie ma najmniejszego znaczenia. Ewentualne zaproszenia i tak bym odrzucił. Żart, gnałbym na złamanie karku, ale lubię sobie wmawiać, że jest inaczej, bo wtedy łatwiej oswoić się z porażką. Do listy „sukcesów” dopisuję jeszcze fakt, że pizzeria, którą promowałem na fanpejdżu (tak z czystej sympatii), zbankrutowała oraz wydruk mojego artykułu w gazecie. Jarałem się tym wydarzeniem jak hipsterzy nową płytą Taco Hemingwaya. Ba! Zdążyłem wypucować wszystkim znajomym, po czym okazało się, że wydrukowali tekst z błędami (ej, to, co im wysyłam po pijaku to jedno, szanująca się gazeta powinna zarzucać korektę przed drukiem), przez co doszło do kuriozalnej sytuacji, że podstępem musiałem zdobyć cały nakład i całkiem przypadkowo wrzucić do niszcarki. Na szczęście tych wacików, które kupiłem Madzi za honorarium, już nikt mi nie odbierze. Podsumowując, rok 2016 był dla mnie megarozwojowy, bo przekroczyłem barierę dźwięku i ze średniej 8 lajków pod wpisem wskoczyłem na poziom 11, a czytelników nie liczę już w dziesiątkach... czasami przekraczam dwudziestkę. Długo zastanawiałem się, jak mógłbym odwrócić tę tendencję, niestety im bardziej kombinuję, tym bardziej mi wychodzi, że totalnie nie nadaję się na blogera.

Nie mogę być blogerem fitnessowym, bo z diet uznaję tylko dietę poselską, ewentualnie dietę Kwaśniewskiego. Aleksandra Kwaśniewskiego. Poza tym bloger fitnessowy powinien chodzić na siłkę i mieć mięśnie. Mięśnie owszem, mam, z tym że chwilowo przykryte są kołderką tłuszczu, z kolei w temacie uczęszczania na treningi mam identyczne stanowisko jak Szymon Wydra w jednej ze swoich piosenek: „Na siłkę nie chodzę, bo jest mi nie pod drodze”. Dodatkowo wypadałoby, żebym pił odżywkę białkowe, czego, nie będę ukrywał, trochę się obawiam. Legenda głosi, że schodzą po nich takie wiatry, że tatrzański halny może się schować. Moja kamienica to przedwojenne budownictwo, nieprzystosowane do walki z żywiołami, więc mogłaby nie wytrzymać. Wolę nie ryzykować.

Nie mogę być blogerem od oszczędzania pieniędzy, bo tych akurat odczuwam wieczny deficyt. Jak to się mówi, całe życie na kredycie. A nawet jeśli mam jakiś luźny szmal, to w pięć minut przepuszczam go na maskę

konia na Aliexpress, ewentualnie kupuję drona, którego rozbijam jeszcze przed spłaceniem ostatniej raty (historia oparta na faktach).

Nie mogę być blogerem modowym, bo jestem za gruby, żeby zmieścić się w rurki, za brzydki, żeby ktoś chciał mnie śledzić na Instagramie i zbyt biedny, żeby pozwolić sobie na kolekcję od projektanta. W zasadzie o ekskluzywne marki otarłem się tylko raz w Tajlandii, o czym niedawno przypomniała mi mama. Pewnego dnia do mnie zadzwoniła i ani „dzień dobry”, ani pytania, czy przymieram głodem, tylko od razu z grubej rurki:

Mama: Czy możesz załatwić mi nową Pradę?

Ja: Halo, mama? Chyba jakieś zakłócenia na linii, bo zrozumiałem tylko „Pradę”.

Mama: No tak, bo stara mi się spruła.

Ja: Ale co Prady ci się spruło?

Mama: Portmonetka. Na brzegach się spruła.

Ja: Mamo, mogę ci załatwić nową, ale czy to koniecznie musi być Prada? Wiesz, mnie to nawet na gacie z Reserved za bardzo nie stać, a co dopiero Prada! W ogóle skąd masz portfel Prady?

Mama: No przywozłeś mi dwa lata temu ze swojej wycieczki do Azji.

Ja: Aaaa... to wiele wyjaśnia. Wkrótce znowu tam lecę, więc dostaniesz portfel Prady i nawet torebkę Dolce & Gabbana dorzucę.

Nie mogę być blogerem kulinarnym, bo nie wiem, co to spirulina i otręby, a jak dostaję gluten, to zamiast panikować, proszę o dokładkę. Poza tym wstydzę się fotografować żarcie w knajpach, bo jednak rozstawić blendy i oświetlenie to nie jest znowu takie hop siup, a sam gotować nie potrafię. Jedyne danie, które opanowałem do perfekcji, to spaghetti à la „3 x pół kilo”, czyli pół kilo makaronu, pół kilo mięcha i pół kilo sera, a całość hojnie polana sosem ze słoika. Smakuje obłędnie, ale słabo prezentuje się na zdjęciach. Co prawda za czasów studenckich nawet trochę eksperymentowałem, ale bez większych sukcesów. Kiedyś dostaliśmy z bratem książki kulinarne na Gwiazdkę. Ja „Makaron na 100 sposobów”, brat „Ziemniaki na 100 sposobów”. Całe kieszonkowe puszczałyśmy na piwo i papierosy, więc cięliśmy koszty na żarciu. Raz był już taki dramat, że przez tydzień żyliśmy na kostkach rosółowych, wtem z głodu zacząłem przeglądać moją książkę, a tam przepis na makaron z serkiem topionym. Całość opisana tak plastycznym językiem, że z miejsca zapragnąłem osobiście

spróbować tego rarytasu, który w dodatku okazał się być w zasięgu mojej kieszeni: makaron 1 zł, serek topiony 1,20 zł, no żyć nie umierać. Szybciutko pobiegłem do sklepu, kupiłem co trzeba i już po kilku minutach miałem odtworzone danie z książki. Powiedzieć, że było paskudne, to nie powiedzieć nic. Brachol nawet nie próbował, po samym zapachu kazał wypieprzyć do śmieci. I mniej więcej w taki sposób nie zostałem polskim Gordonem Ramseyem.

Nie mogę być blogerem lifestylowym, bo to wymaga mówienia ludziom „jak żyć”, a z tym akurat średnio sobie radzę. Poza tym mam alergię na lifestylowe pierdu pierdu. Weźmy dla przykładu pierwszy z brzegu wpis od popularnej blogerki: „7 sposobów na udany poranek”. Serio? Nie szkoda czasu na taki bullshit? Zajrzyjmy jednak do środka:

- 1.** Przed snem zrób sobie kąpiel z bąbelkami, to pozwoli się zrelaksować.
- 2.** Zanim się położysz, przygotuj drugie śniadanie do pracy/szkoły, oszczędzisz czas rano.
- 3.** Połóż się spać o 22.00. Wypocznij.
- 4.** Przed zaśnięciem pomyśl o czymś przyjemnym. Nastrój się.
- 5.** Ustaw na alarm łagodną muzykę. Oszczędzisz sobie szoku.
- 6.** Wstań 10 minut wcześniej. Twoja chwila oddechu przed ciężkim dniem.
- 7.** Po przebudzeniu wypij szklankę wody z cytryną. Niech organizm się nawodni.

Kto to pisał? Szafiarka na glutenowym haju? Po pierwsze życie jest za krótkie, żeby kłaść się o 22.00, po drugie, jeśli tak dalej pójdzie, to zaraz będziemy ludziom tłumaczyć, jak wiązać sznurowadła, bo w końcu to rocket science, a po trzecie, bitch, please! Powiem wam, jak wygląda poranek prawdziwego blogera:

- 1.** Obiecujesz sobie, że położysz się max o północy, po czym do gry wchodzi Netflix i PlayStation.
- 2.** Idziesz do wyra o 2.30 i to tylko z (resztek) rozsądku.
- 3.** Kładziesz się, myślisz „luzik, mam jeszcze cztery godziny snu, więc nie jest tak najgorzej”, po czym próbujesz zasnąć, ale nie możesz, bo twój mózg uznaje, że to idealny moment, aby zacząć hurtowo podrzucać zajebiste pomysły: startup, apka na smartfona, nokautująca riposta do rozmowy

sprzed dwóch dni, tego typu akcje. Gdzieś pomiędzy kołaczę się jeszcze myśl o siku. Zastanawiasz się, czy wstać, czy przetrzymasz do rana? Wstajesz. Wracając, bierzesz łyżeczka coli i robi ci się niesmak w pysiu, bo zaszła reakcja coli z pastą do zębów.

4. 3:40 na zegarze, ale jakimś cudem w końcu odpływasz.

5. Ignorujesz trzy budziki i pięć drzemek. Budzisz się dopiero, kiedy luba dźga cię palcem w boczek tak głęboko, że dotyka śledziony. Niczym rażony paralizatorem zrywasz się do pozycji siedzącej.

6. Uspokajasz oddech, drapiesz się po mosznie, próbujesz ogarnąć, gdzie jesteś, co się stało i jaki mamy dzień tygodnia.

7. Zbierasz w sobie całą energię wszechświata i powłócząc nogami, przenosisz do łazienki. Zgodnie ze starą prawdą ludową: „Kto rano wstaje, ten leje jak z cebra”, sikasz przez dwie minuty, następnie ścierasz mocz ze ścian i szafek (poranny drąg), aż wreszcie przechodzisz do poważniejszych tematów, czyli podmycia pachy, szczoty i zębów. Podczas tej ostatniej czynności patrzysz w swoje lustrzane odbicie i odliczasz, który to już dzień twojego życia, kiedy wstajesz do roboty, bo potrzebujesz pieniędzy, a nie z pasji.

8. Wychodzisz z psem, spotykasz sąsiada, który wyszedł w tym samym celu. Odbywacie niezręczny small talk. Dwie minuty później ciągniesz psa z powrotem na chatę, wyciągasz przypadkową rzecz z lodówki i zapierniczasz na przystanek, wkurwiony, że zaspasłeś i dwójkę przyjdzie ci robić w robocie (najgorzej). Dalej to już tylko korki, ZTM i przytulasy z obcymi ludźmi, którzy w przeciwieństwie do ciebie uznali, że jak się dzisiaj nie podmyją, to przecież świat się nie przestanie nagle kręcić. Na koniec przyjmujesz zjebę od szefa za kolejne w tym tygodniu spóźnienie, ale jest ci z tego powodu tak bardzo wszystko jedno, że odpuszczasz nawet klasyczną ściemę: „To nie moja wina, wypadek był na Jerozolimskich”. Następnie przez kilka godzin zawijasz w te sreberka, hejtując w myślach cały świat, aż w końcu wracasz na chatę i masz to swoje wymarzone pięć minut, żeby rozsiaść się jak król na sofce i... a nie, jednak nie masz, bo nie wiadomo skąd zrobiła się już 22.00, czyli czas, kiedy powinienes pójść spać według lajfstajlowych blogerek. Spadajcie na drzewo ze swoimi radami za dychę.

Jeśli do tego wszystkiego doliczymy moją niewyparzoną mordkę,

upośledzenie w kwestii autopromocji i aspołeczność, śmiało możemy uznać, że raczej nie czeka mnie blogerska świetlana przyszłość. Z drugiej strony, gorzej już nie będzie.



CZĘŚĆ 2

ŚWINIA NA CZERWONYM DYWANIE



1

CIĘŻKIE ŻYCIE UPADŁEJ GWIAZDY

Przyznaję bez bicia, że w sobotnie poranki lubię zawiesić się na „Dzień Dobry TVN”. Taka lajtowa strawa dla umysłu, kiedy z ciała wyparowują resztki alkoholu i jeszcze nie wszystkie synapsy pracują na 100%. W programie najbardziej fascynuje mnie cykl „Mikrowyprawy”. Polega on na tym, że pan podróżnik w każdym odcinku zabiera jakąś podupadłą polską gwiazdę na superwyprawę. Clue jest takie, że gwiazda przeżywa przygodę życia, a widzowie mają szansę zobaczyć jej prawdziwą twarz, czyli jak się zachowuje w ekstremalnych warunkach. Jezu, jakie to jest dobre, dobre dla widza, który lubi drzeć łacha z naszych pseudocelebrytów, ale dla samych gwiazd raczej supertraumatyczne. O ile rozumiem motywację pana podróżnika, to żal patrzeć na cyrk, jaki muszą odstawić nasi celebryci, żeby przytulić te kilka złotych jałmużny od TVN-u. Weźmy na ten przykład Katarzynę Figurę, która wystąpiła w pierwszym odcinku. Chyba wszyscy pamiętamy jej lata świetności, kiedy grała w bardzo dobrych filmach, np. „Kingsajz”, „Pociąg do Hollywood”, czy choćby wybitny, 3-minutowy występ w „Prêt-à-Porter”, po którym zagraniczni producenci zaczęli pytać: „Kim jest ta blond piękność obdarzona niesamowitym talentem, a nawet dwoma? Chcemy ją na czerwonych dywanach w Los Angeles”. Figura miała u stóp cały świat, brylowała na okładkach prestiżowych magazynów i reklamowała luksusowe marki. Co się stało, że w pewnym momencie jej kariera przesiadła się z pociągu do Hollywood do pociągu do Kuluszek? Czy pani Katarzyna ma jakiegoś specjała od PR? Jeśli tak, to powinna go zwolnić, a nawet jak to swego czasu powiedział Wojciech Kowalczyk (znany piłkarz) o Macieju Skorzy (znany trener): „Jego trzeba wypierdolić dyscyplinarnie” i sądzić o odszkodowanie za straty moralne: jak nie akcja z biciem przez męża i płacze w programie Tomasza Lisa, to maraton po wszystkich szmatławcach i smutne sesje okładkowe z dziećmi, a teraz wyprawa z jakimś podejrzanym typem w góry, gdzie musiała wykopać dziurę w śniegu (w programie powiedzieli, że to igloo) i spędzić

w niej noc, udając, że to fajna zabawa. Patrzenie na ten upadek sprawiało ból. Ciekawe, jaką pani Katarzyna miała minę, kiedy po obejrzeniu własnego występu przełączyła na TVN Style, a tam program z jej koleżanką po fachu, Anną Dereszowską, która jeździ po najbardziej wypasionych hotelach świata i byczy się na Bora Bora.

W drugim odcinku „Mikrowypraw” pan prowadzący wziął na warsztat Tymona Tymańskiego i kazał mu się wykąpać w Bałtyku... w styczniu. No, atrakcja w chuj, że tak powiem. Z kolei w ostatnim epizodzie, jaki widziałem, gościem była niejaka Jula. Podobno gwiazda młodego pokolenia, której piosenki podobno podbijają internet. Nie wiem, nie znam się i jest mi z tego powodu wszystko jedno. W każdym razie Jula została zabrana na wycieczkę do kopalni. Wszystko ładnie pięknie, przeżywamy z Julą ekstremalne przygody: zjazd windą pod ziemię, pływanie tratwą po podziemnej rzece, piłowanie drzewa w kopalni (WTF? Kto to wymyślił? Minister Szyszko?), po czym nagle Jula wyjeżdża z tekstem: „O ja cię, Łukasz, ale tu jest superakustyka”, ni stąd, ni zowąd wyciąga gitarę (bo przecież każdy zabiera gitarę do kopalni) i zaczyna śpiewać swój ostatni hit. Grubiej poszedł Polsat, który wyciągnął z celebryckiego czyścica: Mikołaja Krawczyka, Sylwię Juszcak, Michała Kwiatkowskiego, Ulę Dębską, Leszka Stanka, Ewę Pacułę (kojarzycie wszystkich, co nie?) i zaangażował do programu „Celebrity Salon”. O co w nim chodzi? – zapytacie. Otóż wyżej wymienione gwiazdy zostają zatrudnione w salonie kosmetycznym, gdzie depilują klientów woskiem, serwują im opalanie natryskowe, malują paznokcie i tego typu tematy, a w międzyczasie opowiadają ckliwe historie: Stanek o biednych pieskach, Kwiatkowski o ciężkim życiu homoseksualisty, a Krawczyk o tym, jak uroda przeszkadza w karierze, bo „ludzie szufladkują”. Na Ipli można obejrzeć sześć odcinków tego „wybitnego” show, polecam wszystkim masochistom. Puenta jest taka, że przez długi czas wydawało mi się, że ciężko jest być „upadłym” blogerem bez lajków, dopiero teraz wiem, że prawdziwy dramat to być „upadłym” celebrytą bez fejmu.



2

JAK PRZEGRĄĆ KARIERĘ?

Podoba mi się kierunek, w jakim rozwija się kariera Macieja Zienia. Kiedyś uznawany za jednego z najbardziej obiecujących polskich projektantów młodego pokolenia, ulubieniec celebrytek i byłej prezydentowej, typowany przez branżę na przyszłą gwiazdę paryskich tygodni mody. Maraton sukcesów trwał nieprzerwanie do połowy 2015 roku, kiedy to Maciek z niewyjaśnionych przyczyn postanawia „pożegnać się” ze współnikami i uciec z chłopakiem do Brazylii, a co za tym idzie, z dnia na dzień stać się persona non grata światka modowego. Przez kilka miesięcy nie dawał żadnego znaku życia, co sprawiło, że kolejne magazyny lajfstajlowe postawiły na nim grubą krechę, Małgosia Kożuchowska usunęła ze znajomych na fejsie, a Łukasz Jemioł z otwartymi rękami przejął porzucone klientki. Można powiedzieć, że chłopak został przez branżę „pochowany” jeszcze za życia. Jak się okazuje, przedwcześnie. Właśnie wraca i to w wielkim stylu, bo z ekskluzywną kolekcją. Przynajmniej tyle dowiedzie się z nagłówków na różnych portalach internetowych. Wystarczy jednak kliknąć „czytaj dalej”, a dowiedzie się jeszcze, że ta ekskluzywna kolekcja to tekstylia łazienkowe w postaci ręczniczków, szlafroczków, kapci i dywaników pod kibelek, a całość zaprojektowana na wyłączność dla Biedronki. Czujecie ten splendor? Te zawistne spojrzenia Karla Lagerfelda i Ralpha Laurena? Kiedyś ubierał Kręglicką, Torbicką, Steczkowską i Cichopkową, a teraz jego nazwiskiem będzie mógł się podetrzeć byle Janusz. Przypierdolenie Titanica w górę lodową przy przypierdoleniu kariery Macieja Zienia w dno to zaledwie drobna stłuczka. Strasznie smutna historia, ale co by nie mówić, to jego dywanik sobie kupię. Raz zasiedziałem się na tronie podczas gierki w „Angry Ptaki” (wiadomo, jak czas ucieka przy dobrej zabawie) i tak mi nogi ścierpły od zimnych płytek, że już wstać nie dałem rady, musiałem wypęłzać. Jednak dywanik to dobra rzecz, a od projektanta to już w ogóle. Mam nadzieję, że dorzuci do niego jeszcze przykrycie na klapę i limitowaną kolekcję bereł, bo lubię mieć pasujące do

siebie komplety.



3

JAK ROZMIENIĆ LEGENDĘ NA DROBNE?

W kwietniu 2017 we wszystkich mediach hitem była plotka, że Tomasz Adamek wraca do boksu. Chciałem osobiście sprawdzić u źródła, czy to prawda, niestety jestem zbyt leniwy, więc napiszę po prostu, jak wyobrażam sobie przebieg takiej rozmowy:

PigOut: Panie Tomaszu, prasa donosi, że planuje pan powrót na ring, czy to prawda?

T.A.: Owszem.

P.: Serio? Przecież kończył pan karierę już trzy razy, a po ostatnim wpierdolu, kiedy pana nos wyglądał jak pomidor zrzucony z ostatniego piętra Pałacu Kultury, wręcz zarzekał się pan, że to już definitywny koniec.

T.A.: Ehh, młody byłem i głupi.

P.: A no właśnie, teraz jest pan stary jak węgiel i pomarszczony niczym psy rasy shar pei. Skąd pomysł na kolejny powrót do boksu?

T.A.: Jak dzwoni do pana Mateusz Borek i proponuje walkę o najbardziej prestiżowy pas świata, czyli pas Polsatu, to się pan nie zastanawiasz, tylko pytasz, gdzie i kiedy masz się stawić.

P.: No powiedziałbym, że dyskusyjna motywacja. W końcu 41 wiosen na karku to już nie przelewki.

T.A.: Oj tam, oj tam, forma jak ta lala. Od kilku dni jestem w cyklu treningowym i już widać efekty, np. wczoraj udało mi się dotrzeć na salę gimnastyczną bez balkonika.

P.: Gratuluję. Kto będzie pana przeciwnikiem w ringu?

T.A.: Demencja, ryzyko zawału i poczucie żenady, a jeśli chodzi o boksera, to jeszcze nie ustalono. Rozmowy trwają.

P.: A jak na propozycję walki zareagowała pańska żona?

T.A.: Ucieszyła się, że w końcu ruszę cztery litery sprzed telewizora. Twierdzi, że od ostatniego łomotu strasznie skapciałem i poza zamulaniem na „Dlaczego ja?” nie robię niczego pożytecznego. To teraz zobaczy, że jak trzeba, to kapeć nadal potrafi przylutować w ryj.

P.: Nie boi się o pana zdrowie?

T.A.: Wychodzimy z założenia, że co mnie nie zabije, to mnie wzmocni.

P.: Akurat w tym przypadku warto wziąć ten pierwszy scenariusz pod uwagę.

T.A.: E tam, YOLO i do przodu. Dobra, lecę, bo mam dzisiaj kontrolę zastawki serca. Nara.

PS Ta rozmowa mogła odbyć się naprawdę, ale nie odbyła. Podobieństwo do prawdziwych osób i sytuacji całkiem przypadkowe.



4

NAJTAŃSZA DAMA

Za każdym razem, kiedy w Pałacu Prezydenckim następuje zmiana warty, przez media przetacza się gorąca dyskusja pt.: „Czy pierwsza dama powinna dostawać pensję?”. Kwestia na tyle skomplikowana, że do dzisiaj nie ma na nią jednoznacznej odpowiedzi, chociaż już niejedna tęga głowa próbowała to rozkminić. Jak to zwykle w życiu bywa, ile osób, tyle opinii. Jedni krzyczą: „Nie dawać!”, bo niby jak to ma wyglądać? Nie dość, że każda jej zachcianka jest spełniana na skinienie, to jeszcze mamy jej gotówkę wypłacać? Za co? Za to, że bywa na bankietach i spija herbatkę z możnymi tego świata? Taki wał! Inni z kolei twierdzą, że bycie pierwszą damą to regularna praca, a za pracę się płaci, więc pensja się należy, po czym zmieniają zdanie, bo wybory wygrywa kandydat PiS-u. Pozwólcie, że podzielę się z wami moją opinią na ten temat. Otóż ostatnio przeczytałem sobie to i owo, i okazało się, że posada pierwszej damy jest równie atrakcyjna, co staż w korpo, czyli zasuwasz jak mały samochodzik, a w zamian dostajesz wielkie nic, zwane przez niektórych splendorem i wpisem do CV. Serio uważacie, że chce jej się bywać na „świętecznych kiermaszach Stowarzyszenia Współmałżonków Szefów Misji Dyplomatycznych”? Ja umarłem z nudów od samej nazwy, a ona naprawdę musi tam jechać i udawać, że się dobrze bawi. Też mi wielki splendor. Różnica między stażem w korpo a byciem „prezydentową” jest taka, że z korpo w każdej chwili można się wymiksować i rozejrzeć za robotą, w której naprawdę płacą. Tymczasem pierwsza dama ma odgórny zakaz podejmowania jakiegokolwiek pracy zarobkowej przez całą kadencję męża, co może prowadzić do wielu absurdów. Wyobraźmy sobie sytuację, w której pierwsza dama dostojnie kroczy przez parking pod Tesco, odwalona w taki prima sort żakiet, że wygląda jak chodzący milion dolarów, a przynajmniej 500+, przed nią wózek wypchany po brzegi rarytasami, wtem na jej drodze wyrasta drobny pijaczek:

- Hej, kierowniczo, poratuj piątkiem.

- Przykro mi, ale nie mam, jestem zwykłą prezydentową.
- Taa... jasne, prezydentowa i nie ma?! No nie bądź taka, daj chociaż wózek odprowadzić.
- Niestety w środku jest żeton.
- Nie, to nie, żyło! - i w tym momencie schodzi rzut puszką z reszką niedopitego Żubra, który ląduje na świeżo zakręconej trwałej pierwszej damy.

A co, jeśli dojdzie do sprzeczki między parą prezydencką i Andrzej z braku argumentów zacznie szantażować Agatę odcięciem kieszonkowego, jeśli ta nie przestanie stroić fochów? Niby najbardziej wpływowa kobieta w kraju, a w praktyce jej wpływy kończą się przy automacie z przekąskami. Sorry, ale na piękne oczy jeszcze nikt Snickersa z maszyny nie wyciągnął. Teraz już wiecie, dlaczego ja bym jej tę pensję jednak dał. Ale nie 12 tysięcy, jak chcą co niektórzy, a tyle, żeby starczyło na puszkę coli w Żabce, kebasa w razie nagłego ataku gastro, publiczną toaletę, bo z kebabem jak z przeszczepem, nigdy nie wiadomo, czy się przyjmie, no i kilka złotych extra na jakąś większą zachciankę raz na kwartał, w końcu prezydentowa też człowiek i w „Wiedźmina” ma prawo popykać. Powiedzmy, że max 1200 złotych miesięcznie. I niedożywotnio. Nie widzę powodu, dla którego nie miałyby pójść do prawdziwej pracy, kiedy wyborcy już wywiozą ją i jej męża na taczkach gnoju. Kończy się kontrakt, to i kurek z hajsem zakręcamy. To nic osobistego, tak po prostu działa rynek. Dorzuciłbym jeszcze świadczenie emerytalne, bo szczerze mówiąc, obecny stan to trochę kurewstwo. Babeczka ani nie zarabia, ani nie ma odprowadzanych składek, co oznacza, że jeśli prezydentura Andrzeja przedłuży się na drugą kadencję, pierwsza dama będzie miała 10-letnią dziurę nie tylko w życiorysie, ale i finansach. „Zaraz, zaraz, przecież jej mąż godnie zarabia”, powiecie. Niby tak, ale co jeśli pewnego dnia Andrzej kopnie ją w tyłek i da dyla z młodszą, tak jak zrobił to Sarkozy, albo starszą jak Macron? Nie będzie jej stać nawet na adwokata, więc o połowie majątku może zapomnieć, a przez ostatnie 5-10 lat nie miała z czego odłożyć. Serio, warto to uregulować, bo już teraz przegrywamy walkę ze smogiem i ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to kolejna osoba, która z biedy zacznie palić w piecu śmieciami. Pensji dla pierwszej damy mówię stanowcze „chyba tak!”.



5

PRZEGRAŁEM ŻYCIE, CZYLI WRAŻENIA PO SPĘDZENIU SYLWESTRA PRZED TELEWIZOREM

Inspiracją do napisania tego tekstu były koncerty sylwestrowe relacjonowane przez TVP, Polsat i TVN 31.12.2016 r. Jestem takim nolifem, że obejrzałem je wszystkie.

Jak tam po sylwku? U mnie kac gigant. Z tym że nie po nadmiernej alkoholizacji, a przez imprezy zaserwowane przez Dwójkę, Polsat i TVN. Zabawa była na tyle przednia, że w pewnym momencie w głowie urodziła mi się myśl: „A gdyby tak odkręcić wszystkie kurki z gazem i zatkać ręcznikami szpary w drzwiach?”. Serio, takie złooo, że nawet nie wiem, od czego zacząć. Muzycznie był to wielki festiwal odkopywania trupów. Jedno kichnięcie i Dr Alban niechybnie rozsypałby się na kawałki. W Boney M. tyle życia, że osobiście zamiast statywu na mikrofon dałbym jej wieszak na kroplówkę, z kolei Izabela Trojanowska wyglądała, jakby tylko cud mógł ją uratować przed zwianiem peruki... i cud nastąpił. Zagadką pozostaje, czy w Katowicach wystąpiła Beata Kozidrak, czy matka Stifflera? Jednak to i tak nic przy pokazie najbardziej żenującej konferansjerki ever. Już sam nie wiem, która para prowadzących wysuszyła najbardziej. Na początku myślałem, że nikt nie przebijie Bożenki z „Klanu” i czarnulki z „Rodziny zastępczej”, ostatecznie udało się to Halince Młynkowej wspieranej przez sztywnego jak kij od mopa Staszka Karpiel-Kajzerkę, jednak tytuł „tragedii wieczoru” ostatecznie wygrał dzieciak z Rodzinki.pl i prezenter Radia Zet, którzy niemiłosiernie męczyli bułę na bekstejdzu w TVP2 („Dajcie 70 tysięcy lajków, a Adaśko przebierze się za starą góralkę i zaśpiewa”. Bossz... taaaaaakiej migreny dostałem). Do tego dochodzi „subtelny” produkt plejsment. Kabanosy na TVN, „Zbyszko 3 cytryny” na TVP2 i creme de la creme w wykonaniu Polsatu, czyli konkurs dla publiczności, w którym do wygrania był bon na dostawę gazu Tauron wraz

z opieką serwisanta. Nawet loty z Radomia cieszą się większym zainteresowaniem niż ta nagroda. To wszystko pięknie uzupełniały paski z życzeniami od widzów: „Rodzina Pawlaków pozdrawia rodzinę Karguli z Koziej Wólki”, czyli Polska na 100%. Kropką nad „i” były żenujące próby rozgrzania publiczności przez artystów: „Jak się bawicie?” – cisza, „Zróbcie hałas” – cisza, „Wszystkie ręce w górę” – olewka. W zasadzie tylko Zenek Martyniuk wyszedł zwycięsko z tej nierównej walki, ale to akurat oczywiste, bo jeszcze się taki nie urodził, co by nie tupnął nóżką przy „Oczach zielonych”.

Tytuł najbardziej zblazowanej publiczności jednogłośnie zdobywa Warszawa, która zachowywała się, jakby brała udział w Manekin Challenge, ale w sumie ich rozumiem. Niby co mieli zrobić w sytuacji, kiedy na scenę wbił Antek Smykiewicz i kazał im śpiewać refren? Gościu, kim jesteś i z jakiej planety przyleciałeś? Stolicę rozświetlił dopiero Piasek... swoimi zębami. Jebaniutki, wyglądał, jakby zrobił sobie protezę z drażetek gum Orbit. Blask taki, że bez Ray-Banów nie podchodź (poszukajcie zdjęcia na googlu, jeśli nie wierzycie). Cytując Borata: „Zdecydowanie best sylwek ever... NOT!”.



CZĘŚĆ 3

ŚWINIA WE WŁASNYM KORYTKU



1

MÓJ PIERWSZY RAZ Z INTERNETEM

N

iedawno obchodziliśmy 25. rocznicę pierwszego logowania do internetu na terenie Polski. Rozdziewiczył nas Grzegorz Polok, który w marcu 1990 roku bez pozwolenia skorzystał z komputera należącego do krakowskiego Instytutu Fizyki Jądrowej i wysłał do szwajcarskiej organizacji CERN maila o treści „What’s up bitches? ” (no dobra, tego nie wiem, ale ja bym pewnie tak napisał). Połączenie trwało spektakularne 60 sekund, po czym epicko się zesrało, więc nie do końca było pewne, czy wiadomość dotarła do odbiorcy. Sprawa wyjaśniła się dopiero następnego dnia, kiedy pan Grzegorz ponownie się zalogował i znalazł na skrzynce odpowiedź od CERN-u: „Yo, slut, who are you calling a bitch?”. Powyższa historia przypomniała mi o moich początkach z internetem. Ojciec oporowo jarał się technologią, więc w domu zawsze byliśmy na bieżąco z nowinkami. Co prawda, kiedy pan Grzegorz słał pierwszego maila, padre był jeszcze totalnym fanatykiem radiostacji i wraz z sąsiadem całymi dniami przesiadywał w piwnicy, lutując jakieś płytki, procesorki, bateryjki i cewki anten. W końcu udało im się zbudować amatorskie CB Radio i od tego momentu cały wolny czas poświęcali na skanowanie eteru i słuchanie szumów, oczekując, że może ktoś się odezwie. Coś jak Jodie Foster w filmie „Kontakt”. Pasji tej niestety nie rozumiała moja mama i dzień w dzień kręciła dym, podejrzewając, że ojciec urządza sobie w piwnicy kilkugodzinne maratony sex czatów z jakimiś lafiryndami. Staruszek w pewnym momencie miał dość notorycznego suszenia głowy i dla świętego spokoju porzucił ukochaną radiostację. Przez kilka dni toczył ciężkie boje z syndromem odstawiennym. Kręcił się nerwowo wte i wewte, aż w końcu nie wytrzymał psychicznie i poleciał do sklepu po modem. Po powrocie podłączył, co trzeba i przeprowadził pierwsze w historii naszej rodziny logowanie do internetu. Przez telefon, z wybieraniem tonowym, gimby nie pamiętają. Trwało to wieczność, ale ostatecznie się udało. Naszym oczom ukazała się wyszukiwarka AltaVista, a następnie złapaliśmy

zawieszkę, bo nikt nie wiedział, co robić dalej. Nie było jeszcze Kwejka, Pudelka, fejsbuka i PigOuta, więc mówię do ojca, że potrzebuję zdjęcie kota do szkoły, a mając internet, nie będę przecież wycinał ich z gazet jak jakiś plebs. „Superpomysł” – odrzekł staruszek, po czym wpisał w okno przeglądarki „kot”. Wyszukiwarka zaczęła mieć zapytanie i zaledwie po kilku minutach wypluła komunikat: „Sorry, nothing found”. Wzięliśmy to na miękko i podjęliśmy kolejną próbę, wpisując „cat”. Coś tam wyskoczyło, ale bez szału, więc padre zrobił podejście numer trzy, wklepując „pussy”. No i to był już koniec mojej przygody z netem tamtego dnia. Za dużo nie zdążyłem zobaczyć, ale doskonale pamiętam, jak ojciec heroicznie rzucił się na monitor, żeby zasłonić go ciałem, a nie mogąc w panice namierzyć przycisku power, zaczął wyrywać przypadkowe kable z komputera. Mama przez kilka dni bardzo chwaliła internet, twierdząc, że przynajmniej ma ojca na oku, a ten czasami nawet odpowie na zadane pytanie, więc znowu czuje się jak mężatka. Niestety po tygodniu, kiedy kolejny raz próbowała zadzwonić do babci, ale nie mogła, bo po podniesieniu słuchawki odzywały się podejrzane dźwięki modemu, coś w niej pękło i kazała ojcu spadać do piwnicy bawić się radiostacją. Szalone lata dziewięćdziesiąte. Swoją drogą, spodziewałem się, że twórcom internetu przyświecała jakaś większa idea, tymczasem okazuje się, że od początku chodziło o porno.



2

NAJSŁODSZA KIMKA EVER

Dawno dawno temu, jakoś w okolicach 1992 roku, parentsi poszli na bal sylwestrowy, pozostawiając mnie i starszego brata samych na chacie. Supersprawa, bo oznaczało to brak kontroli rodzicielskiej na telewizor, a do tego do dyspozycji mieliśmy wypełnioną po brzegi lodówkę, czyli party hard. Budzę się następnego dnia, patrzę, a na nadgarstkach mam odcisnięte wielkie dłonie. „Dziwne” pomyślałem, ale whatever, na cholere drażyć temat? Wstaję, idę na poranny standardzik, ale po drodze trafiam na coś nietypowego, na wyważone drzwi wejściowe. Odruchowo zarzuciłem do staruszków cytaty z Tedego: „To chyba jeden z eleganckich bali był” hehe. Spojrzenie, które dostałem w odpowiedzi, mówiło więcej niż tysiąc słów. „Milczenie owiec” może się schować. Okazało się, że w nocy wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze mi i bratu wypadła najśłodsza kimka ever, a po drugie zostawiliśmy klucz w drzwiach, uniemożliwiając tym samym otwarcie ich od zewnątrz. Nie reagowaliśmy na pukanie, łomotanie, dzwonienie telefonu stacjonarnego i napieprzanie kamieniami w okna. Nie wybudził nas nawet hałas wyważanych drzwi i szarpanie ojca, kiedy wbił się już do środka. Stąd te odciski na nadgarstkach.

Wczoraj historia zatoczyła koło. Przyjechał kuzyn z Gdańska. Plan był prosty, po wyjściu z dworca miał jechać na kwadrat do młodszego brata i czekać do momentu, aż zjawie się z wódką. Młody został wprowadzony w sytuację i mimo że zapewniał, że o tej porze od dawna będzie już na nogach, na wszelki wypadek miał zostawić otwarte drzwi. Zgadnijcie, co się stało? Kuzyn zgodnie z planem zameldował się u niego o 9.00, nacisnął klamkę i dupa, zamknięte. Zaczął pukać, łomotać piąchą, dzwonić z komórki, domofonu i mesendżera. Nic, zero reakcji. Z braku lepszych pomysłów kazałem mu pójść do pobliskiego Maczka i wrzucić coś na ząbek dla ugrania odrobiny czasu, a równolegle obaj mieliśmy wydzwaniać do młodego z częstotliwością co 30 sekund, tak długo, aż w końcu odbierze.

Taaaaki chuj. Po godzinie rzuciliśmy ręcznikiem. Wezwałem kuzynowi taryfę, ściągnąłem do siebie na chatę, gdzie posiedzieliśmy do 13.00, po czym ponownie pojechaliśmy do młodego. Tym razem z kluczami, więc miał być luzik. Podbijamy na miejsce, a tam wtopa, bo okazuje się, że kiedy drzwi są zamknięte na zasuwę od środka, to od zewnątrz nawet z kluczem niczego się nie działo. Stoimy, zastanawiając się, jak można być aż tak niekompetentnym, wtem zdaję sobie sprawę, że minęła już 14.00, co z automatu wpędza mnie w panikę. Ja naprawdę rozumiem, że ktoś lubi pospać, ale 14.00 to już przesada, zwłaszcza jeśli nie pracuje się na nocną zmianę, ani nie jest to Nowy Rok. Zaczynam uprawiać czarnowidztwo, że na pewno coś się stało, jakiś czad albo gorzej. Z układania czarnych scenariuszy wybija mnie dźwięk otwieranych drzwi. W progu staje młody. Rozczochrany, zawinięty w kołdrę, ze śpiochem w oku i jak gdyby nigdy nic pyta: „Czy się, kurwa, pali, że tak napierdalacie od rana?”. Wspominałem już, że jest studentem? Dwie rzeczy są pewne, karma wraca, a młody zdecydowanie nie został podmieniony w szpitalu.



3

PSIA SUBKULTURA

Kiedy zaczynasz coś robić lub stajesz się czegoś posiadaczem, chcąc nie chcąc dołączasz do pewnej subkultury. Weźmy na ten przykład biegaczy. Kiedy biegacz popyła przez park i mija innego biegacza, pokazuje mu „hejkę”, czyli symbol oznaczający „jesteś swojak”. Piesi ani rowerzyści swojakami nie są, więc o hejce mogą zapomnieć. Kolesie w rurkach puszczają oczko do innych kolesi w rurkach, bo to taki ich znak rozpoznawczy. „Prawdziwego patriotę” poznasz po odzieży z orłem i husarią, zdewastowanym przystanku autobusowym oraz po tym, że bije kolesia w rurkach, zwłaszcza jeśli ma inny kolor skóry. Przemoc nie jest obca również fanom jednośladów, którzy uważają, że mają moralne prawo spoliczkować każdego, kto nazywa motocykl motorem. Metalowiec zrobi ci dwugodzinny wykład o różnicy pomiędzy grungem a glam rockiem, z kolei nadrzędnym celem istnienia wegan jest zamęczenie mięsożerców obciążającymi historiami o niehumanitarnym traktowaniu krów, zanim staną się hamburgerami. Trochę więcej miłości można znaleźć w grupie posiadaczy Golfów trójek, którzy tuningując swój pussy wagon dywanikami z Tesco, z miejsca stają się atrakcyjną partią dla panienek w białych kozaczkach. Tak to właśnie działa i na tej samej zasadzie przygarniając w zeszłym roku psa, z automatu dołączyłem do subkultury psich właścicieli.

Przynależność do tego elitarnego klubu objawia się tym, że o 6.30 rano wychodzi się z psem na spacer, po czym spotyka się innego właściciela i w tym miejscu następuje ten okropny moment, kiedy psy zaczynają wachać się po tyłkach, co chwilę trwa i wtedy słabsi psychiczne właściciele nie wytrzymują niezręcznej ciszy i wyskakują ze small talkiem w stylu:

- Pan też z pieskiem?
- Ano.
- A pana pies nie ma rozwolnienia, bo moja sunia ma i sąsiadki spod trójki też. Chyba jakaś bakteria grasuje po osiedlu.

Mimo że o tak wczesnej porze mam jeszcze zaklejone oko śpiochem

i chodzę w rozwiązanych butach, bo nie mam czucia w rękach, zbieram w sobie całą energię wszechświata i zmuszam do pociągnięcia tego totalnie nieatrakcyjnego tematu, pyrgając równocześnie Churchilla nogą, bo ten niczym Łysy z Brazzers już się ładuje na napotkaną sunię, na co drugi właściciel mówi: „Pan zostawi, przecież tak ładnie się bawią”. I tak dzień w dzień, rano, po południu i wieczorem. Dla ułatwienia sobie życia warto na spacerzy zabierać tabliczkę z następującymi informacjami:

1. Pies.

2. Churchill.

3. Rasa nieznana, ale podejrzewam, że jest to owoc romansu owczarka niemieckiego z lisem.

4. Około 12 miesięcy.

5. Tak, szczepiony.

6. Tak, wykastrowany.

7. Nie, nie gryzie.

Rok bycia w klubie psich właścicieli pozwolił mi również zebrać wiedzę niezbędną do napisania książki pt. „Po co sprzątać po psie, czyli poradnik, jak skutecznie udawać, że nie widzę, że mój pies właśnie dwójkuje?”. Kreatywność właścicieli w tej materii nie zna granic. Jeden udaje, że pisze SMS-a, drugi akurat patrzy w drugą stronę, trzeci nagle interesuje się liściem, który leży na trawniku, czwarty pali głupa, że pies uciekł i nawołuje go pod publiczność, chociaż i tak wszyscy widzą, że Azor „staje na rękach” dwa metry dalej. Czy naprawdę tak trudno podprowadzić z działu warzywnego w Biedrze rolkę woreczków foliowych i zbierać w nią dwójkę po swoim futrzaku? Jeśli ja dam radę, to wy tym bardziej.



4

PIGOUT U FRYZJERA

Od rana strasznie targa mną poczucie winy. Wszystko przez osiedlowego fryzjera. Miałem pod blokiem zakład fryzjerski prowadzony przez zawadiackiego waginosceptyka. Śmieszny koleś, w rurkach i apasce w panterkę, z przerysowaną mimiką i specyficzną manierą. Kiedy do niego trafiłem, gość zaczął ochać i achać, że mam taaakie super cool gęste włosy, z którymi „da się poszaleć”.

- Mam wizję. Oddaj mi się - powiedział.

- Yyy... Co planujesz? - zapytałem zmieszany.

- Zrobimy ci szalowy look. Z przodu krótko, z tyłu długo, na środku irokez, z prawej tapir, z lewej zaczes. Zobaczysz, będzie super. Wchodzisz?

- No w sumie brzmi zachęcająco, ale chyba jednak postawię na klasykę.

Przez klasykę rozumiem zwilżenie włosów spryskiwaczem do paprotek i szybki objazd maszynką. Jego klasyka trochę się różniła. Zaserwował mi mycie głowy we wrzątku, półgodzinne wklepywanie odżywki, niekończące się skracanie, wyrównywanie i kolejne skracanie z przerwami na masaż skroni, który naruszał mają strefę intymną. Kolejnym grzechem, który popełnił, była próba wciągnięcia mnie w rozmowę. Nazwijcie mnie gburem, ale nie lubię, kiedy fryzjerzy podejmują konwersację. Zazwyczaj trafiam do nich, kiedy jestem totalnie wyorany psychicznie i ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, jest rozmowa. Moglibyśmy posiedzieć w ciszy. On strzyże, a ja w tym czasie próbuję w lustrzanym odbiciu rozczytać teksty na dyplomach albo skład szamponu z etykiety, płacę i wychodzę. Perfekcyjna usługa. Niestety, nie tym razem. Gość wyraźnie chciał się zaprzyjaźnić. Zaczął wypytywać o różne rzeczy, ale kiedy dostawał w odpowiedzi tylko „yhym” i „ehe”, zmienił taktykę. Przeszedł na monolog. Gdy wysłuchałem całego jego dramatycznego życiorysu, w końcu strzyżenie dobiegło końca. Efekt nie był najgorszy i zbrukanie rozmową też jakoś przetrwałem. W sumie uznałem gościa za całkiem sympatycznego geja. Do czasu. Chwilę później powiedział, że do zapłaty jest 45 zł, przez co automatycznie przeobraził się

z zabawnego geja w „jebaną ciotę”.

Postanowiłem, że moja noga więcej tam nie postanie. Niestety jakiś czas później musiałem wrócić. Pilnie potrzebowałem zrobić się na bóstwo, a wszyscy inni fryzjerzy byli obłożeni. Przygotowałem się psychicznie na specyficzną „usługę” i pogodziłem ze stratą 45 zeta, lecz tym razem usłyszałem, że do zapłaty jest 55 złotych, co znowu obudziło we mnie zespół Tourette'a. Koleś zaliczył kolejny awans w homohierarchii i tym razem w głowie zwymyślałem go od „pedałów”. Wiem, wiem, niefajnie, ale to był impuls, niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto zachowałby zimną krew na moim miejscu.

W każdym razie dziś w drodze do pracy mijałem jego zakład i zauważyłem, że coś jest nie tak. W środku panowały egipskie ciemności, zniknęło całe wyposażenie, a na szybie wisiała karteczka „sprzedam”. Mimo że zakład budził we mnie skojarzenie „wyłomotania z kasiory”, zrobiło mi się jakoś żal typu. Po pierwsze dlatego, że nie poradzi sobie w „normalnej” pracy. Ludzie złamią go psychicznie. A po drugie kolejny raz uświadomiłem sobie, jaką dziwką jest życie. Koleś jest tak samo ciepły i charakterystyczny jak pewien znany stylistka i podobnie jak on mógłby zarabiać kupę kasy na pseudostylizacjach, ciesząc się renomą najlepszego homofryzjera wśród okolicznych wielbicielek kotów, niestety życie rozdało mu znaczne karty. Gość trafił na osiedle pełne ludzi tak samo przyjaznych, jak Clint Eastwood w „Gran Torino”. Sam w tej historii jestem ciemnogrodem, który nie rozumie „artyści” i przyczynił się do upadku jego lifestylowego imperium, za co chciałbym z tego miejsca powiedzieć mu serdeczne „sorry!”.

Gdybym mógł coś doradzić, polecam otworzenie zakładu przy „wegetariańskiej burgerowni” (te dwa słowa nigdy nie powinny być użyte razem) w centrum. Przejeżdżałem tam setki razy na rowerze i nigdy, ale to nigdy nie widziałem w pobliżu człowieka z „klasyczną” fryzurą. Same freaki à la Maria Peszek i „Piąty element”, czyli istny raj dla homofryzjerów. Z kolei do mnie na osiedle zapraszam jakiegoś Turasa, który nie brzydzi się baraniną i glutenem. Właśnie zwolnił się lokal.



5

POSTANOWIENIA NOWOROCZNE

Jak tam wasze tegoroczne postanowienia noworoczne? Łudzicie się, że coś z nich jeszcze będzie? Osobiście odczuwam jakiś dziwny, nawet jak na moje standardy, spadek formy. Może to ten smog, o którym tyle nadają w telewizji, może Maybeline, w każdym razie w nowym roku planowałem być ostry jak papryczka chili, tymczasem standardowo jestem rozlazły jak ślimak. Najgorsze, że poprzeczka nie była zawieszona znowu tak wysoko. Obiecywałem sobie, że zacznę regularnie publikować na blogu, przykręcę śrubę z angielskim, wznosząc się w końcu ponad konstrukcję „my pen is huge as fuck”, no i oczywiście, że wytnę się jak Gerard Butler do filmu „300”, coby Agata Młynarska nie czuła zażenowania w razie przypadkowego spotkania w Juracie. Taaaki chuj. Na chwilę obecną realizacja moich postanowień noworocznych przypomina mecz Legii z Borusią Dortmund w Lidze Mistrzów, czyli niby coś tam klepię w środku pola, a jednak z niewyjaśnionych przyczyn dostaję 0-6 w plecy. Z angielskiego już dwa razy dałem nogę, w blogowaniu zgubiło mnie podejście pt. „OK, dzisiaj piszę na pełnej kurwie, ale najpierw zaaplikuję sobie jeden odcineczek na Netflixie”. Równie dobrze mogłem stworzyć czekoladę i liczyć, że skończy się na jednej kostce. Impossible.

Najgorzej jednak sprawy mają się w kwestii gubienia budyniu z brzucha. Co prawda w styczniu na siłowni byłem aż trzy razy, ale jeśli mam być uczciwy, to muszę się przyznać, że dwa razy kręciłem się bez sensu, a raz poszedłem tylko dlatego, że miałem akurat kolędę i z dwojga złego wolałem spędzić popołudnie z Sebkami-pakerami niż na robieniu uników przed serią niewygodnych pytań od ojca prowadzącego („I chcecie mi powiedzieć, że tak sobie po prostu tutaj mieszkacie razem, bez ślubu?”, „A ostatnia spowiedź to kiedy była?”, „O, widzę odbiornik telewizyjny, a abonament opłacony?”). Szczerze? Nic mnie tak nie unieszczęśliwia, jak wizyta na siłce. Niektórzy twierdzą, że po ciężkim dniu nie ma nic lepszego niż pięciokilometrowa przebieżka na bieżni, że niby wtedy endorfiny się

uwalniają i w ogóle w organizmie schodzi większa magia niż w Hogwarcie. Bullshit. Osobiście uważam, że podwójny kebab na cienkim i zimny browarek sprawdzają się lepiej. Bieżnia wyzwała we mnie tylko pokłady nienawiści, o których istnieniu nawet nie miałem pojęcia. Jestem wtedy jak Arya Stark powtarzająca listę śmierci przed snem. Już samo wejście na siłkę jest traumatyczne.

Przykładowo ostatnio wbijam na szatnię, rozglądam się, a tam tylko trzech typów, czyli całkiem zajebiście. Spoglądam na kluczyk i już wiem, gdzie jest haczyk. Wszyscy czterej mamy sąsiadujące szafeczki, co oznacza, że muszę czekać, aż koleś, który przyszedł przede mną, przebierze się, rozplącze słuchawki, zrobi białkowego szejka, łyknie trzy jaja na surowo, nażeluje łeb i wrzuci samojebkę na Instagrama. Minimum 30 minut z życia. Na waszych siłowniach foczki z recepcji też tak trollują z kluczykami do szafek, czy to tylko moja karma? Ciekawe, czy to ich inwencja własna, czy jeżdżą na specjalne warsztaty pt. „Jak skutecznie doprowadzić człowieka do załamania psychicznego?” prowadzone przez babki z dziekanatu? Druga rzecz to koksy, którzy prawdopodobnie tam mieszkają. Nieważne, kiedy przyjdiesz, oni już tam są i zostają jeszcze długo po twoim wyjściu. Wkurzają mnie, bo to nie są typy, którzy zrobią trzy szybkie serie i pójdą dalej. Nope, oni przyklejają się do ławeczki na minimum 2 godziny i sądząc po jękach, uprawiają tam ostre tarło ze sztangą. Kiedyś nawet chciałem podejść i zapytać, czy mogę się przyłączyć, porobić z nimi na zmianę, ale jak pomyślałem o tych oceniających spojrzeniach, kiedy będę się kaleczył, zrzucając ich stukilowe talerze, po czym założę swoje piętnastki, z którymi stoczę tak heroiczny bój, że wara wykrzywi mi się bardziej niż Sylwkowi Stallone, kiedy w „Rockym” krzyczał „Edrjen!”, stwierdziłem, że nie warto. I właśnie przez takich gości moje pierwsze dwa treningi były totalnie z dupy. Okupowali wszystkie najlepsze sprzęty, więc moje „pakowanie” skończyło się jedenastoma ćwiczeniami na plecy i dwoma brzuskami. Co prawda przy trzeciej wizycie przypomniało mi się, że w ramach karnetu mam darmową konsultację z trenerem personalnym, ale znowu padłem ofiarą trollingu recepcjonistki. Przysłała mi koleś, który był bardziej zalany niż Wrocław w 1997 roku. Spojrzałem na jego brzuch i już wiedziałem, że jedyny zestaw, jaki może mi polecić, to powiększony z McDonalds’a. Serio nie kumam, jakim cudem dostał tę robotę? To tak jakby leczyć zęby u dentysty z ujebaną jedyką. Niby można, ale cholera wie, jak to się skończy. Podsumowując,

świat ewidentnie nie chce, żebym był szczupły, mnie z kolei nie chce się walczyć ze światem i w ogóle pierdolę, nie robię. Zapuszczam Netflix'a.



6

PIĄTEK TRZYNASTEGO

Wstaję, spoglądam w kalendarz, a tam piątek trzynastego. „Oho, urodziny mojej karmy. No dawaj życie, zaskocz mnie!” – przykozaczyłem w myślach. Nie minęło nawet pięć minut, wtem odkrywam, że nigdzie nie ma telefonu, czyli gra już dawno rozpoczęta. Ok, challenge accepted. Szukam jak szalony po całym mieszkaniu, zaglądam pod sofę, zrzucam poduszki, wstrząsam psem i pościelami, wywracam kieszenie w kurtce, nic, ani śladu. „Tylko spokój może cię uratować. Usiądź, weź głęboki oddech i przeanalizuj ostatnią aktywność, to powinno pomóc” – nakazuje mi głos w głowie. No więc siadam i w tym momencie słyszę trzask głośniejszy niż tysiąc bomb. Serce zamiera, czoło się rosi, w głowie gonitwa myśli, ogólnie panika milion. Na szczęście okazało się, że to tylko kręgosłup mi strzelił. Telefon ostatecznie znalazłem w drugich spodniach. Wnioski? Piątek trzynastego to zabobon, zdecydowanie bardziej przeraża mnie poniedziałek szesnastego, a poza tym róbcie przysiady, zdrowie ma się tylko jedno.



7

MASZ TYLKO JEDNĄ SZANSĘ NA ZWYCIĘSTWO

Mam teorię, według której każdemu raz w życiu pisane jest wygrać. Niestety karma nie jest sprawiedliwa i działa tak, że jeden trafi szóstkę w totka, a drugi HIV od bezdomnej prostytutki, patrz Charlie Sheen. Za młodu wyobrażałem sobie, że trafię do tej pierwszej grupy i to najlepiej jeszcze przed ukończeniem studiów, żeby zostać rentierem, zanim przyjdzie ten niezręczny moment, kiedy trzeba będzie zbrukać się pracą. Niestety nie wyszło tak, jak to sobie zaplanowałem, jednak po kilku latach obsuwy los postanowił w końcu się do mnie uśmiechnąć. Przed chwilą, podczas płacenia za wachę na Orlenie, dostałem zdrapkę i okazało się, że wydrapałem trzy takie same symbole, czyli zwycięstwo. W nagrodę dostałem plastikową pieczętkę w kształcie R2D2 z „Gwiezdných Wojen”. Szaleństwo. Nie mam pojęcia, do czego mógłbym ją wykorzystać, przeczytałem za to na dołączonej ulotce, że ludzie z mniejszym fartem też mogą taką mieć... za 14,99 złotych. I tym sposobem mój jedyny los na życiowej loterii został zmarnowany na chińszczyznę za 14,99 złotych. Zajębiście, zwłaszcza że tusz to tej cholernej pieczętki jest płatny extra. Cóż, scenariusz, w którym wskakuję na biurko szefa i robię moonwalka na odchodne, na razie się nie wydarzy, mimo wszystko pocieszam się myślą, że i tak wylosowałem lepiej niż Charlie Sheen. Chociaż optymiści powiedzą, że w sytuacji Charliego też jest jakiś pozytywny.



8 DAMSKIE TOREBKI VS MĘSKIE PLECAKI

Dzisiaj karma postanowiła oddać mi z nawiązką za wszystkie podśmiejuchki z damskich torebek. Wiecie, suchary typu „otchłań bez dna” i „nawet Explorer szybciej wyszukuje w internecie niż kobieta w torebce”. Prawda jest taka, że damska torebka to pikus przy męskich plecakach. Przeciętny, szanujący się samiec alfa nosi w plecaku towar pozwalający przetrwać w każdej sytuacji:



6 rolek papieru, bo nigdy nie wiesz, kiedy ukłuje cię w okrężnicy;



puszkę tuńczyka i krzemień na wypadek, gdyby przyszło utknąć na dworcu w Radomiu lub miał się powtórzyć scenariusz z „Zagubionych”;



syczoryk, bo nie wiadomo, czy akurat nie trafi się zombie apokalipsa lub promocja w Media Markt, a przecież tam wszystko jest w blistrze;



zapalniczkę, bo ani browar sam się nie otworzy, ani szlug sam nie odpali;



dezodorant, kąpielówki, czepek, okulary pływackie i Kuboty w razie spontanicznego wypadu na basen;



tonę śmieci i podstawowy zestaw elektroniki w postaci tabletu, Kindle’a, GoPro z selfi kijem, 150-ciu ładowarek, 200-tu przejściówek, 250-ciu pendrajwów, no i do tego obowiązkowo puszka coli plus książka w papierze, gdyby akurat „kundel” zdechł.

Pech chciał, że dzisiaj w drodze do fabryki mój plecak, z którym przemierzyłem trzy kontynenty i w którym „nie takie rzeczy” już

przenosiłem, nagle postanowił odmówić współpracy i wyrzygał całą zawartość. Było tak. Jadę sobie z rana ZTM-em, standardowo ścisk jak w puszcze sardynek, co przystanek trzeba wysiadać, żeby wypuścić trochę babć, które uznały, że 7.00 rano to idealny moment na wyprawę na drugi koniec miasta po margarynę w promocji, po czym znowu wsiadanie i zabawa w ludzkiego Tetrisa. Przy którymś z cykli „wysiadanie-wsiadanie” w plecaku zrywa się zamek i wszystko wypada, ale tak niefortunnie, że połowa towaru ląduje w autobusie, a pozostała część szura po ulicy. Dla podkreślenia dramaturgii w tym samym momencie odzywa się dźwięk, który zwiastuje zamknięcie drzwi. Żeby uratować dobytek, muszę zagrać w Twistera: noga zostaje na schodku, aby przyblokować drzwi, a sam wyciągam się po najbardziej oddaloną rzecz na ulicy. Żenuła poziom milion, jednak pilatesowe wygibasy wcale nie są najgorsze w całej sytuacji. Najgorsza jest ta niepewność, kiedy zbierając towar, równolegle przeprowadzam w głowie wirtualną inwentaryzację i analizuję, czy aby na pewno w środku nie miałem czegoś, czego nie da się racjonalnie wytłumaczyć i co mnie totalnie pogrąży. W końcu dostało się różne popieprzone rzeczy na 18-stkę i chodziło na wieczory kawalerskie, a towar typu taśma izolacyjna, zatraski do kołpaków i karabińczyki od czasu „50 twarzy Greya” nie jest już tak niewinny jak kiedyś. Ogólnie rzecz biorąc, przeżywam panikę jak nastolatka, która odkrywa, że ktoś przeczochnął jej tajny pamiętnik i wie, komu dałaby buzi. Na szczęście tym razem zwycięstwo. O ile nie liczymy oceniających spojrzeń współpasażerów. Wygląda na to, że byłem kiedyś na tyle rozsądny, żeby przenieść wszystkie maski konia i heheszkowe 18-tkowe stringi do innej „dziupli”. Mnie się udało, ale to jest ten moment, kiedy warto się upewnić, czy przypadkiem w waszych plecakach nie ma niczego obciążającego, co by później nie trzeba było świecić oczami. To trochę jak z majtkami: dobrze mieć czyste, bo nigdy nie wiadomo, czy akurat dziś nie trafi się seksniespodzianka tudzież intymna wizyta u lekarza. Przezorny zawsze ubezpieczony.



9

QUO VADIS, MODO MĘSKA?

Ciężkie jest życie heteroseksualisty. Byłem z Madzią na zakupach. Żeby było śmieszniej, sam ją podpuściłem. Naczytałem się hejtów pod adresem Reserved, House'a, i tego typu sieciówek, że niby uciekli z podatkami na Cypr, przerzucili produkcję do Indonezji, gdzie zmuszają do szycia małe dzieci, oferując w zamian miskę ryżu i w końcu, że jest ogólnonarodowy foszek po tym, jak marka wypuściła kampanię reklamową podszywającą się pod viralowy filmik, na którym fajna dzaga z czekoladową karnacją szuka Wojtka poznanego w Warszawie przy okazji jakiegoś koncertu. Pół internetu wkręciło się w poszukiwania tego Wojtka, zanim wyszło na jaw, że to fejk. Uznałem, że to moja szansa. Skoro wszyscy kładą na nich lachę, to pójdę i obkupię się jak baba na bazarze. Bez kolejek i za psie pieniądze. W końcu jeśli nikt już u nich nie kupuje, to muszą być zdesperowani, co nie?

Zaczęliśmy w H&M, bo Madzia miała tam coś upatrzone. Poszła w babską alejkę, a ja miałem udać się do działu męskiego i tam poczekać. No to poszedłem. Ledwo przekroczyłem próg, a już dowiedziałem się, czym tak naprawdę jest dyskryminacja. Patrząc w prawo: kolekcja Love Parade, patrząc w lewo: kolekcja Drag Queen. Spojrzałem w stronę kas, a tam dwóch typów z brwiami odrysowanymi od szklanki. Robię szybki obchód i nic. Okazuje się, że w H&M nie ma ani jednego ciucha dla chłopców, którzy robią siku na stojąco. Wszystko na długość do pępka i z dekoltem też do pępka. Na wszystkim brokaty, grochy albo cekiny. Lipa. Nie tego się spodziewałem, ale nie załamuję rąk, przede mną jeszcze Reserved i House. Docieramy na miejsce. Akurat te dwa sklepy są pod jedną strzechą, więc zapowiada się szybka akcja. Rozglądam się i niby lepiej. Są neutralne T-shirty i bluzy. No może nie do końca neutralne, ale też nie krzyczą z daleka „lubię w kakao”. W końcu namierzam T-shirt ze spoko wzorem. Szukam rozmiaru. XS, XS, S, S, M, XS, koniec. Kolejny wzór to samo. Nosz kurwa, jak to w dziale męskim XS? Przecież Reserved ma dział Kids i tam powinni

wrzucać ciuszki dla hobbitów, a nie zajmować przestrzeń przeznaczoną dla samców alfa! Szukam dalej, szukam, bingo! Jest XL. Przymierzam. Dziś, prawie rozerwałem ją jak Bruce Banner podczas przemiany w Hulka. Ja nie wiem, jaki oni mają szablon pod XL, ale na pewno nie jest to Jason Statham. Raczej ktoś z zapadniętą klatą i obwodem bicka jak u anorektyka. Prawdopodobnie Robert Pattinson. Robię ostatnie podejście i znajduję granatowe polo XXL bez żadnych aplikacji z dupy i nawet cena promocyjna. Idealnie. Przyglądam się bliżej, no i jakżeby inaczej, na wysokości pępka plama wielkości Księstwa Monako. Pierdolę. Wywieszam białą flagę. Zakupy w sklepie stacjonarnym nie są na moje nerwy. Wracam do internetu, chociaż nie wiem, czy jest po co? Ostatecznie projektują to ci sami ludzie, którzy z niewiadomych powodów gardzą prostymi, stonowanymi ubraniami. Jak kurtka, to obowiązkowo błyszcząca niczym wór na śmieci i z fałdkami à la ludzik Michelin. I jeszcze te oczojebne kolorki. Jak znalazł, jeśli ktoś pracuje w Zakładzie Oczyszczania Miasta. Buty? Trumniaki, wiadomo. Swetry? Nawet spoko, jeśli jesteś Krzysztofem Kononowiczem. Koszulki? Wycięte w serek, z jakimiś dziwnymi aplikacjami, bezsensownymi napisami i przypadkowymi numerkami. Jedno pranie i kurczą się o trzy rozmiary. Spodnie? Podobne do tych ze sklepowych wieszaków, nosiła moja babcia 20 lat temu, jak chodziła hakać na działkę. Idź pan w chuj, panie projektancie, z taką modą.



10 MĘSKI „SPALONY”

Straciłem moralne prawo do żartowania z dziewczyn dopytujących „którzy to nasi?” podczas oglądania meczów. Otóż zostałem poproszony przez Madzię, żebym przy okazji wizyty w centrum handlowym wszedł do Rossmanna i kupił karmę dla psa. Teoretycznie akcja prosta jak sprzedaż dopalaczy gimbusom, tymczasem wykręcam pięć pełnych kółek po sklepie, a karmy ni widu, ni słychu. Podbijam do typa przy kasie i grzecznie pytam, gdzie trzymają Pedigree, bo nie mogę znaleźć, na co typ odpowiada, że chyba coś mi się pomyliło, bo oni asortymentem dla zwierząt nie handlują, na co ja, że chyba mu się coś pomyliło, bo już tu kiedyś kupowałem i w ogóle w telefonie mam rozpiskę od Madzi, a tam jak byk: „Kup 4 mokre karmy w Rossmannie”. Pokazuję typowi, dumny z siebie, że go zaorałem, a ten mi wyjeżdża z tekstem, że może faktycznie powinienem sprawdzić w Rossmannie, na co ja: „A niby co właśnie robię?”, na co typ pokazuje mi plaketkę, a tam SuperKurwaPharm. Dalej był już tylko spacer wstydu.



11

ODROBINA TAKTU NIE ZASZKODZI

Ludzie to są jednak straszni. Wyobraźcie sobie, że w ciągu ostatniego tygodnia zostałem brutalnie obrażony i to aż dwa razy. Pierwszy atak frontalny miał miejsce we włoskiej knajpie, gdzie zamówiłem carbonarę i colę zero. Pseudokelner prawie złamał ołówek w swoim głupim notesiku, kiedy po „A do picia cola” dodałem „zero”. Tak oceniającego spojrzenia w życiu na sobie nie miałem, a na tym wcale nie koniec, bo dalej była jeszcze wycieczka osobista:

- Przepraszam, chciałbym się upewnić, czy dobrze zrozumiałem, do ciężkiego makaronu z megakalorycznym sosem chce pan colę zero?

- Jup, dokładnie tak.

- No taaa, przecież to oczywiste.

Jego reakcja wskazywała, że nie muszę się hamować, bo to i tak niczego już nie zmieni. Idąc za tą logiką, ludzi z raną postrzałową nie warto ratować, lepiej strzelić jeszcze kilka razy dla pewności.

Druga trauma dopadła mnie w ostatnim miejscu, gdzie jej oczekiwałem, czyli w gabinecie ortopedy. Kolo zapytał, co mnie do niego sprowadza, na co zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że urządziłem sobie maraton „Rocky’ego” i kiedy Sylwek wbiegał po schodach w rytm „Final Countdown”, nagle też zapragnąłem być fit, więc wstałem i poszedłem spontanicznie pobiegać. Niestety po 50 metrach coś mi strzeliło w kolanie. Gość patrzy to na mnie, to na kolano, w monitor, znowu na mnie, po czym drapie się po głowie, aż w końcu po dwuminutowej zawieszce stwierdza: „Hmm, nie wygląda pan na maratończyka”.

Da fuq? To ja się przed nim otwieram, a w zamian dostaję szyderę? Serio? Poza tym on też nie wyglądał jak Dre, a twierdził, że jest doktorem. Pozory myślą, bucu!

Moi drodzy, życzę wszystkim więcej taktu. Duże misie też mają uczucia, a tak się składa, że słowa potrafią ranić mocniej niż tureckie sztylety.



12 MÓZGU, PRZESTAŃ!

Kurde, ludzki mózg to jest jednak popieprzony narząd. W momentach, kiedy naprawdę by się przydał, na przykład podczas egzaminu gimnazjalnego, rozmowy kwalifikacyjnej, czy choćby sondy ulicznej prowadzonej przez Filipa Chajzera, potrafi ot tak wyjść sobie na papierosa i bez wyrzutów sumienia pozwolić, żebyś zaliczył większą kompromitację intelektualną niż Jola Rutowicz w „Big Brotherze”. Z kolei, kiedy chciałbyś go wyciszyć i zasnąć, jak na złość zaczyna podrzucać genialne pomysły: „Hej, wymyśliłem zajebistą apkę”, zadawać pytania egzystencjonalne: „Czy pingwiny mają kolana?” i wykopywać z zakamarków pamięci najbardziej zawstydzające wspomnienia. Przykładowo wczoraj wieczorem musiałem pilnie zrobić przelew, kwestia życia i śmierci. Standardowo wszedłem na stronę banku, ale jak tylko pojawiło się okno logowania, nagle dopadło mnie totalne zaćmienie umysłu. Za cholerę nie mogłem sobie przypomnieć numeru ID, a przecież tylko w tym tygodniu wpisywałem go minimum sto razy. Możecie to nazwać początkami Alzheimera, ja trzymam się wersji, że to zwykły trolling ze strony mózgu. Wiem, bo jeszcze tego samego dnia chciałem wcześniej się położyć. Z samego rana czekał mnie kurs na lotnisko, więc uznałem, że nie ma co kusić losu maratonem „Singielki” na Playerze. Po wieczorynce grzecznie złożyłem swoje sponiewierane całym dniem zwłoki do łóżka, odpuściłem nawet paciorek, żeby sztucznie nie odwlekać snu i co się stało? Surprise, mózg uznał, że to idealny moment, aby wyświetlić mi film z najbardziej żenującymi momentami mojego życia.

SCENKA NR 1

Rodzinne miasto, sto lat temu. Spotykam kumpla, który kupił sobie szpanerski, nieprzyzwoicie drogi rower. „Daj się karnać” mówię. Dał, ale z zastrzeżeniem, że bym uważał, bo manetki od hamulców są podłączone

odwrotnie niż w standardowym bajku. W sensie, że tylny jest przednim, a przedni tylnym. „Rilaks, rozmawiasz z profesjonalistą” – odpowiadam, chociaż prawdę mówiąc, nigdy nie zwracałem uwagi, który hamulec jest który, to raczej kwestia instynktu. W następnej scenie robię salto przez kierownicę, a rower po trzech efektownych koziołkach wpada w drift i sunie na boku przez pół ulicy, krzesząc przy tym iskry jak Bear Grylls podczas jednej ze swoich survivalowych wypraw. Kumpel na widok zdrapanego lakieru doznaje zapaści, a ja zamiast jakoś go pocieszyć, wyjeżdżam z tekstem: „Ale jaja. Zrobiłem tak jak mówiłeś i sam widzisz, co się stało. Wychodzi na to, że w moim rowerze hamulce też są odwrotnie podłączone, hehehe”.

SCENKA NR 2

Początki pracy zawodowej. Do mojego biurka podbija ówczesna szefowa i mówi: „Bla, bla, bla, do mojej kanciapy za pięć minut”. „Ok, robi się” – odpowiadam bezrefleksyjnie, po czym dociera do mnie, że byłem tak bardzo zaabsorbowany układaniem pasjansa, że totalnie się wyłączyłem i nie mam pojęcia, o co babka prosiła. Pytam kumpla siedzącego obok, ale on też myślami był gdzieś daleko. „Masz coś przynieść, ale nie wiem co” – odpowiada. Z niewyjaśnionych przyczyn po słowach „masz coś przynieść” w głowie pojawia się wspomnienie rozmowy, w której ekszefowa mówi: „Przynieś mi ten wielki dziurkacz, wiesz który”. Wspomnienie jest tak wyraźne i namacalne, że biorę ten wielki, przedwojenny dziurkacz, idę z nim do biura wyższej kadry zarządzającej i jak gdyby nic podkładam pod twarz szefowej, dodając nonszalanckie „Proszę”. W podzięcie dostaję spojrzenie, po którym bez słów wiem, że dziurkacz był ostatnim przedmiotem na jej liście rzeczy do przyniesienia. Spojrzenie pod tytułem „Co ty mi tu przytachałeś? Ochujałeś? Matka wie, że ćpiesz?”. Nigdy nie dowiedziałem się, o co konkretnie chodziło, nie miałem śmiałości zapytać, ale ten nieszczęsny dziurkacz ciągnie się za mną do dzisiaj.

SCENKA NR 3

Kościelisko albo Murzasichle, wycieczka szkolna. Wchodzę do góralskiego sklepu, takiego, gdzie kupisz mydło i powidło, w oczy wpada mi

półka z zajebistymi, ręcznie rzeźbionymi procami:

- Przepraszam, po ile te proce?
- To są Jezuski na krzyżu!

SCENKA NR 4

Sam środek wydm obok Łeby. W którą stronę nie spojrzę, wszędzie tylko turyści i piach. Dużo turystów i jeszcze więcej piachu, zero naturalnej zaslony, a akurat w tym momencie czuję, jak czoło oblewa mi pot, a okrężnica doznaje największego ukłucia w moim życiu. Odliczanie do dwójki rozpoczęte. Przysięgam, że jak ruszyłem wtedy z kopyta, to nawet Usain Bolt by mnie nie ścignął. Pięć kilometrów dzielące mnie do linii lasu pokonałem w kwadrans. Wszystko byłoby spoko, gdyby nie fakt, że świadkami tego dramatu byli znajomi i teraz przy każdej popijawie muszę wysłuchiwać wspomnień, jak to z wydm koło Łeby zrobiłem największą kuwetę na świecie. 20 lat minęło, a im się nadal nie znudziło.

SCENKA NR 5

Poprzednie wspomnienie przywołało kolejną scenę z „dwójką” w roli głównej (głupi, bardzo głupi mózg). Na szczęście nie ja byłem tutaj bohaterem, ale oberwałem rykoszetem i ostatecznie też znalazłem się w niezręcznej sytuacji. Sto lat temu, rodzinna miejscowość. Stoimy z kumplem na dworcu PKP i czekamy na pociąg do Bydgoszczy. Palimy papieroski, zapodajemy suchary, wtem ziom prostuje się jak struna i z prędkością karabinu wyrzuca z siebie przypadkowe na pierwszy rzut oka słowa: okrężnica, ukłucie, mało czasu, to nie są ćwiczenia.

„Człowieku, zły moment. Nasz dworzec nie dorobił się jeszcze własnego toi toia, a nawet jakby jakiś był, to i tak wisiałaby na nim karteczka „out of order” – odpowiadam. „Bądź dużym chłopcem i wytrzymaj do przyjazdu pociągu”.

Kumpel mnie ignoruje. Widzę, że jest już w totalnie innym wymiarze, gdzie toczy walkę na śmierć i życie z fizjologią. Wygląda, jakby w jego ociekającej potem głowie odbywał się właśnie największy proces myślowy od czasu narodzin. Chodzi na maksymalnych obrotach, ale w końcu doznaje olśnienia. „Wiem, w dworcowym budynku, na pierwszym piętrze są

prywatne mieszkania. Moja koleżanka z klasy tam mieszka. Idziemy” – wykrzykuje.

I teraz **niezręczność nr 1:**

- Puk, puk!
- Czego? – odzywa się głos w drzwiach.
- Dzień dobry, jest Marysia?
- Nie, nie ma!
- A, ok, to przepraszam.

Drzwi się zatrząskują i już mamy odchodzić, ale kumpel ewidentnie przeżywa drugą falę klucia, co sprawia, że gwałtownie odwraca się na pięcie i znowu zaczyna łomotać. W tym miejscu następuje **niezręczność numer 2:**

- Puk, puk!
- Czego?
- Czy byłaby taka możliwość, żebym... no wie pan... – (szeptem) – skorzystał z toalety, bo jest taka sytuacja...

I teraz wchodzę ja, cały na biało:

- Można powiedzieć, że podbramkowa, hehe.
- Wejda – odpowiada głos w drzwiach.

Wchodzimy. Kumpel znika, zanim zdążą zamknąć się drzwi, a ja stoję jak kulek w korytarzu i nie wiem, co ze sobą zrobić. Co gorsza, gospodarz też stoi i przeszywa mnie wzrokiem. Każda sekunda ciągnie się jak godzina. Próbuję przerwać niezręczną ciszę, zarzucając klasykiem: „Ale, że Dudka nie wzięli na mundial...”. Niestety trafiam na ścianę niezrozumienia. Jestem wielką zestresowaną plamą potu, która obmyśla, jaką metodą zabić kumpla, wtem cała chałupa zaczyna trząść się niczym epileptyk na pokazie laserów. Filiżanki podskakują, regały się telepią, mną rzuca, tymczasem właściciel stoi niewzruszony i bez emocji burczy: „17.10, „Kujawiak” z Piły do Warszawy”. To była **niezręczność nr 3.**

Korzystając z okazji, chciałbym zwrócić uwagę, jak krótka potrafi być ludzka pamięć i cienka granica między wdzięcznością a szydzeniem. Kiedy wyszliśmy z nawiedzonego domu, a kumpel był już zupełnie innym człowiekiem, że tak powiem wolnym od trosk i zmartwień, zaczął chamsko nabijać się z gościa, który dopiero co uratował mu życie, którego w podzięce powinien dozgonnie nosić na rękach. Niewdzięcznik. Najpierw śmiał się, że koleś nie miał papieru toaletowego, przez co musiał podcierać się programem telewizyjnym i od teraz tytuł „To & Owo” nabiera dla niego

zupełnie nowej głębi. Później dorzucił jeszcze anegdotkę o trzęsącej się chacie podczas przejazdu pociągu. Mówił, że w kulminacyjnym momencie trzęsło tak bardzo, że musiał trzymać się muszli, chociaż z drugiej strony dopiero teraz wie, co znaczy porządnie się wypróżnić. I właśnie takie rzeczy podrzuca mi mózg o 3.44.



13

MĘSKIE CHOROWANIE

Drogi Czytelniku, w tym miejscu pierwotnie miałeś przeczytać najlepszy tekst tej książki. Niestety ambitne plany związane z pisaniem pokrzyżowała mi choroba. Gdybyś tylko widział, jaki katar i kaszel wczoraj mnie dorwał. No po prostu masakra. Zmierzyłem temperaturę i wszystko stało się jasne. 36,8 stopni, czyli wyrok. Madzia z miejsca zadzwoniła po pogotowie, ale wyobraź sobie, że te Janusze medycyny w ogóle nie wzruszyły się moim cierpieniem. Powiedziały, że nie przyjadą, bo akurat wszystkie karetki są w terenie. Ponoć jakiś karambol był. Kolumna rządowa zderzyła się z Seicento, w wyniku czego pani premier i kilku oficerów BOR-u musiało zostać hospitalizowanych. „A kierowca Seicento?” – spytała Madzia. „Wyszedł bez szwanku”. Taaa, jasne. Serio, mogliby wymyślić coś bardziej wiarygodnego, jak już zrzucają ludzi na bambus. Mało tego, powiedzieli, że nawet jakby mieli karetkę pod ręką, to i tak by jej nie wysłali, bo nie ma bezpośredniego zagrożenia życia. I na to idą moje podatki? No cycki opadają. Uniosłem się dumą i stwierdziłem, że CHWDNFZ, nie potrzebuję ich, sam to zwalczę. Niestety jak już Madzia przebrała mnie w piżamę, zniosła na rękach do łóżka i zawięta kołdrami w ludzkie buritto, mój stan jeszcze bardziej się pogorszył. Kichnąłem aż pięć razy z rzędu. Prawie ryja mi urwało. Resztką sił poprosiłem, żeby pobiegła po księdza, bo tuż ostatnie chwile, a sam drżącą ręką wyciągnąłem z szuflady pióro i kawałek pergaminu, coby prawomocnie rozdzielić moje gry na PlayStation i kolekcję DVD. Same białe kruki łowione przez lata z marketowych koszy. Kiedy skończyłem, przypomniało mi się, że ja w sumie za dużo nie grzeszę, więc póki nie było jeszcze za późno, sięgnąłem po telefon i wysłałem Madzi SMS-a: „Olej księdza, przynieś kebsa. Podwójnego. #Ostatni posiłek”. Nie wiem, czy to cud, moje ciało z żelaza, czy raczej podwójna porcja baraniny, ale ostatecznie udało mi się przetrwać noc. Niesiony falą optymizmu, z rańca nafaszerowałem się Rutinoscorbinem i jeszcze przed południem doszedłem do łazienki na własnych nogach.

Wieczorem było już git. Śmiertelna bakteria została oficjalnie zwalczona i to pomimo jednoznacznych rokowań i bez pomocy łapówkarzy z NFZ-u. To się nazywa oszukać przeznaczenie. Brawo ja.



14 MĘSKI WIECZÓR

Mamy z Madzią rytuał, który przebiega mniej więcej tak: mówię jej, że idę robić flaszeczkę z ziomeczkami, co trochę potrwa, więc niech nie czeka, na co ona, że spoko luzik, ale mam być grzeczny, bo jeśli przyszloby mi do głowy, żeby wywijać z jakimiś foczkami, to... Tu następuje lista gróźb wraz ze szczegółowymi opisami, na co odpowiadam: „Mała plizz, spójrz na mnie i powiedz, co może się stać? ”, po czym wybuchamy śmiechem i trwa to tak długo, aż w końcu wychodzę. I teraz sytuacja z wczoraj. Siedzę z kolegami na schodach nad Wisłą i grzecznie osuszamy butelkę, aż tu nagle dzwoni Madzia z tekstem, że ona już skończyła meeting z koleżanką i że w sumie jeszcze młoda godzina, szkoda byłoby wracać do domu, więc jeśli nie mam nic przeciwko, to do nas dołączy. Zgadzam się, bo w zasadzie decyzja i tak już zapadła, a do wygrania jest tylko foszek. I tak sobie siedzimy, drinkujemy wpatrzeni w Stadion Narodowy, aż Madzia wyskakuje z oświadczeniem, że idzie w jedno miejsce w wiadomej sprawie i zaraz wróci. No i idzie, a tu przypał, bo akurat w tym dniu i akurat w momencie, kiedy męski wieczór zamienił się już w babsko-męski wieczór, następuje koniunkcja planet, co wywołuje falę tsunami w Japonii, która efektem motyla doprowadza do absurdalnej sytuacji, polegającej na tym, że podbijają do nas dwie dziewczyny szukające przygody i pytają, czy mogą się przysiąc, po czym siadają, zanim pada odpowiedź.

Nas mrozi, bo szczerze mówiąc, takie przygody nie zdarzają nam się zbyt często, w związku z czym nie jesteśmy odpowiednio przeszkoleni. Każdy przeżywa gonitwę myśli: ja, bo usiadły obok mnie i wiem, że jest to typowa sytuacja z kategorii „Kochanie, to nie jest tak, jak myślisz”, ziomy, bo są żonaci, a Madzia zna ich połowice, ogólnie tego typu lęki. Ciszę przerywa pytanie ze strony dziewczyn o plany na resztę wieczoru. Kolega odruchowo odpowiada im żarciem, na co dziewczyny zaczynają heheszkować, puszczać oczka i zalotnie kręcić loki, co z boku może wyglądać, jakby była

między nami superchemia i że „dziś w klubie będzie bang”. Ja też się śmieję, ale tak bardziej nerwowo. Z tego wszystkiego straciłem rachubę czasu, więc szybko się odwracam, żeby sprawdzić, czy na tyłach nadal bezpiecznie, a tam surprise w postaci Madzi. Nasze spojrzenia się spotykają. Jej mówi: „Dobrze się bawisz? To zajebiście, bo już nigdy nie wyjdiesz z domu”, moje odpowiada: „Kochanie, to nie jest tak, jak myślisz”.



15

OCENIANIE FILMÓW „NA MADZIĘ”

W mojej działalności blogerskiej często zastanawiam się, jaki system oceniania powinienem wykorzystać przy recenzjach filmowych, tak żeby było jak najbardziej obiektywnie. Skalę od 1 do 10? Pięciogwiazdkowy rating? Wypisywać wady i zalety? Każda metoda ma swoje minusy, ale chyba właśnie odkryłem złoty środek, czyli system oceniania „na Madzię”. Największą jego zaletą jest fakt, że Madzia do każdej produkcji podchodzi z tzw. „czystą głową” i bez uprzedzeń. No dobra, do każdej poza sci-fi. Do sci-fi faktycznie jest uprzedzona, ale cała reszta na legalu. Totalnie wisi jej, kto jest reżyserem i jaki był budżet, po prostu chce obejrzeć dobry film. Po czym poznać, że film daje radę według percepcji Madzi?

1. Siedzi w skupieniu przez całą projekcję – Film wymiata.
2. Wyjście na siku ze spacją (czyli ze stopklatką) – Film bardzo dobry/Interesujący.
3. Wyjście na siku bez spacji – Film ok, ale trochę przydługi.
4. Sprawdza, co na fejsie – Film ostro przynudza.
5. Odpala Candy Crush na ajfonie – Film ssie.
6. Pyta, czy chcę herbatę – Film do dupy! Daje do zrozumienia, że nie planuje dalej brnąć w tego gniota.
7. Kimka – Film tak nudny i męczący, że pada, zanim w ogóle zdąży pomyśleć o zaproponowaniu herbaty.
8. Podejrzliwe i oceniające spojrzenie – Właśnie odkryła, że ją oszukałem i włączyłem sci-fi.

Jak się ten system sprawdza w realu? Tak się składa, że siedzimy właśnie na sofce i oglądamy „Kac Wawę”. Aktualnie na ekranie rozgrywa się prześmieszna scena, w której prostytutka dosypuje Michałowi Milowiczowi proszki na rozwolnienie, przez co ten przeżywa straszny dramat, bo bardzo chciałby ukłuć panią wykonującą najstarszy zawód świata, ale nie może, bo

bulgocze mu w brzuszku. Ostatecznie musi szybko biec do wiadomego miejsca, gdzie strasznie jęczy i stęka (wiedzowie w kinie pewnie w tym miejscu umarli ze śmiechu), po czym po powrocie zaciera ręce, by w końcu zrobić to, po co przyszedł do przybytku rozpusty. Niestety zanim zabiera się do sprawy, bierze łyeczka drinka, totalnie nie zdając sobie sprawy, że ten ponownie został podsypyany anty-Stoperanem przez damę lekkich obyczajów. Cała historia zaczyna się od nowa, a później jeszcze raz i jeszcze raz. No komizm w czystej postaci, tymczasem Madzia zamiast się śmiać, wstaje i pyta, czy nie chcę herbaty. Mówię, że nie, a ona mimo to twierdzi, że i tak pójdzie zrobić... i to tygodniowy zapas, żeby zeszło jej dłużej w kuchni. Herbata = film do dupy. Hmm, wygląda na to, że ten system faktycznie działa.



16

ZROBIŁEM TO Z CHODAKOWSKĄ

Jak już wiecie, mam teorię, zgodnie z którą świat nie chce, żebym był szczupły. Powaga. Na dowód zapodaję moje statystyki z Endomondo z okresu marzec-lipiec 2016: 22,5 km wyrobione na basenie, 157,5 km wybiegane, 1200 km wyjeżdżone na rowerze, do tego jakieś pojedyncze squashe, siłownie i ustawki na Orliku. Łącznie 146 treningów, które w sumie trwały 4 dni 22 godziny i 23 minuty. Liczba spalonych kalorii: 98 tysięcy pięćset sześćdziesiąt kurwa osiem! Jak to się przełożyło na spadek wagi? Wcale. Mogę przez cały tydzień odżywiać się jak Dżoana Krupa... chociaż, wróć, ona na bank jest wege. Po prostu uznajmy, że kiedy naprawdę się zmotywuję, potrafię gigantyczne schabowe zamienić na cycki kurczaka z ryżem i ograniczyć do jednego słoika Nutelli dziennie, a mimo to waga ani drgnie, ale jak tylko przechodzę kryzys i w chwili słabości zassę jednego Tic Taca, z miejsca brzuszko wylewa mi się ze spodni niczym Wisła z koryta podczas wiosennych roztopów. Prawdopodobnie jestem jedynym człowiekiem, który faktycznie ma grube kości.

Pech chciał, że przez te wyżej wspomniane biegi doprowadziłem się do kontuzji, co z kolei dało mi wygodną wymówkę, żeby znowu przez jakiś czas nie ćwiczyć. Ponownie zaczęły się przechujwielkieburgery i piątkowe wieczorki przy wódeczce. Przez chwilę próbowałem nawet wrócić do diety, ale zbieg okoliczności sprawił, że zbiegło się to z Międzynarodowym Dniem Pizzy, przez co zaliczyłem lekki falstart. Otóż wybrałem się do młodszego brachola z wizytą, a że byłem już od dwóch dni na wycince, Madzia przed wyjściem powiedziała mi tak:

- Tylko nie jedz pizzy! Jak wrócisz, będzie kasza.
- Oczywiście, malutka, że nie zjem, przecież wiesz, że jak sobie coś postanowię, to choćby skały srały i mury pękały, nie ma opcji, żebym się złamał.

Tymczasem po wejściu do brachola:

- Yo, dobrze, że jesteś, akurat cztery pizze zamówiłem, piesz się?

- Nie, no co ty, na wycince jestem. Z drugiej strony dziś Dzień Pizzy, a dzień święty wypada święcić, więc w sumie slajsa mogę wciągnąć. Przecież mały trójkącik jeszcze nikogo nie zabił, co nie?

9 slajsów, 12 szotów i 1,5 godziny kimki później:

- Redzi, co się stało? Zaliczyłem zjazd węglowodanowy? Która godzina? O fuck, jestem już godzinę spóźniony, kuskus stygnie!

Tak upływał mi czas na jedzeniu i piciu, a ja nadal łudziłem się, że wszystkie przyjęte kalorie spalę podczas spacerów z psem, aż w zeszłym miesiącu wybrałem się do fryzjera, gdzie chcąc nie chcąc, przez ponad pół godziny musiałem patrzeć na swoje odbicie lustrzane. Mój Boże, jeśli Olek Kwaśniewski miałby tak nalany kieliszek, jak ja ryj, byłby chyba najszcześliwszym człowiekiem na świecie. W przeciwieństwie do mnie. Zmierzam do tego, że to już naprawdę ostatni moment, żeby się ogarnąć, zanim Greenpeace wciągnie mnie na listę swoich celów statutowych i postanowi wpuścić z powrotem do oceanu. Traf chciał, że akurat w czasie, kiedy po cichu rozkminiałem ten problem, Madzia wystrzeliła z tekstem: „Od dzisiaj startuję z treningami Chodakowskiej”. Z miejsca zapaliła mi się lampka w głowie. Wpadłem na szatański plan, że się podłączę. A co, przecież nikt się nie dowie. Taki mały sekrecik między mną, Madzią i Ewą. Poza tym, co to za wyzwanie? Skoro pulchniutkie foczki dają radę przebrnąć przez jej ćwiczenia, to ja, swego czasu szkolna gwiazda piłki nożnej, chyba tym bardziej, no nie?

Cóż, jeden trening wystarczył, żebym skorygował myślenie i odszczekał wszystkie obelgi, którymi kiedykolwiek rzuciłem w Chodakowską. Babka co prawda jest szalona, ale okazuje się, że jej „skalpele” to nie ściema. Żeby je przetrwać, trzeba mieć uszkodzony błędnik i totalnie wyjebane na podstawowe prawa fizyki. Było tak. Zapusciliśmy jej trening na jutubie, ale początek wyglądał mało ekscytująco, ot same jakieś dziwne pozy i oddechy, toteż swój udział ograniczyłem do szyderczego komentowania i podśmiejeków. Aktywnie dołączyłem dopiero na etapie brzuszaków, tzn. wydaje mi się, że to były brzuszki. W każdym razie trzeba było leżeć na plecach z uniesioną dupą i jedną nogą, a później wykonywać nią (nogą, nie dupą) jakieś dzikie ruchy. Góra, dół, na boki, kołowrotki, etc. Mniej więcej po pięciu sekundach przestało mi być do śmiechu. Takiego skurczu nogi i pośladka w życiu nie zaznałem. Łydka płonęła żywym ogniem, a pośladki totalnie wykręciło albo na odwrót. Ze zmęczenia krew przestała dopływać mi

do mózgu, więc się pogubiłem. Przez chwilę unosiłem się jeszcze ambicją, ale kiedy zobaczyłem, że w kolejnym ćwiczeniu Chodakowska złamała się jak scyzoryk i chce, żebym zrobił to samo, doszedłem do wniosku, że bycie grubym to nie koniec świata. Jak się dobrze nad tym zastanowić, to nie tak znowu daleko mi do hollywoodzkiej sylwetki, patrz Jonah Hill, Zach Galifianakis, a ostatnio nawet Russell Crowe!

*

Wbrew powyższej puencie, wcale nie skończyłem z Chodakowską po pierwszym treningu. Po kilku dniach, kiedy odpuściły już zakwasy, postanowiłem dać jej drugą szansę. Wszystko przez Madzię, która wymyśliła taki sprytny motywator, że jeśli wytrwamy dwa tygodnie „skalpeli”, to w nagrodę zrobimy sobie cheat day w tłusty czwartek, czyli jutro. Ostatkiem sił, ale wytrwaliśmy. Wizualizacja pączków okazała się kluczowa. Szczerze mówiąc, trochę niepokoi mnie moja nadmierna ekscytacja tłustym czwartkiem. Nawet urodzinami Jezuska tak się nie jarałem. Od kilku dni fantazjuję o pączkach, układam strategię zakupową: ile kupić i z jakim nadzieiem, zastanawiam się, ile trzeba zjeść, żeby pobić rekord świata i czy dam radę być pierwszym, który obróci sztukę bez oblizywania się. Mimo wszystko treningi z Chodakowską odcisnęły na mnie jakieś piętno, bo chwilami czuję wstyd za własne myśli. Na szczęście moja podświadomość się nie daje, chociaż ta walka dobra ze złem i mentalnej Ewki z nadchodzącymi kaloriami wywołuje we mnie dziwne sny. Wczoraj na przykład śniło mi się, że wbijam z kartonikiem na jej trening i w momencie, kiedy salę wypełnia zapach świeżych, jeszcze ciepłych pączków, wszystkim foczkom w jednej chwili odwala. Puszczą im motywacja i szew legginsów w kroku od gwałtownego wstawania, po czym idą na mnie z wyciągniętymi rękami, jak zombiaki w „Walking Dead”. Gdzieś tam w tle słychać Ewkę: „Ej, dziewczyny, a skalpel?”, ale w odpowiedzi słychać tylko „Sama se rób, chłopaki i tak nie lubią wieszaków”. W tym momencie budzę się zlanym potem. Tak sobie myślę, że to trochę przez wygłodzenie, ale chyba też chęć nadrobienia, bo tak się złożyło, że dwa poprzednie tłuste czwartki praktycznie mi przepadły. Akurat byliśmy wtedy w Tajlandii, a tam trzeba się nachodzić, żeby zdobyć pączka na słodko. Większość jest nadziewana kurczakiem, rybą czy czymś, co kiedyś miało oczy. W tym roku zimę

spędzamy w kraju, więc skoro musimy już marznąć, to przynajmniej odkujemy się w pączkach.



17

ZNOWU ZAPOMNIAŁEŚ

Większość kobiet całkiem niesłusznie wychodzi z założenia, że notoryczne zapominanie przez facetów o ważnych datach, typu rocznica i urodziny, to kwestia lenistwa i braku starań. Bullshit. To odgórny błąd genetyczny, na który nie mamy wpływu. Po prostu męski błędnik dostaje pierdolca od nadmiaru cyferek i się przegrzewa. Przeciężny samiec alfa jest w stanie zapamiętać swój numer buta, pin do karty, pojemność silnika i ewentualnie moc poszczególnych trunków wysokokowych. Dalej zaczynają się już schody i osobiście jestem za tym, żeby ułomność w zapamiętywaniu dat podciągnąć pod grupę inwalidzką i wypłacać rentę. Przykładowo wczoraj wypełniałem wnioski ubezpieczeniowe dla siebie i (prawie) małżonki. Szło świetnie, aż w pewnym momencie trafiam na pytanie o daty urodzenia, czyli wiedzę, co do której nie mam pewności. Na fejsbuku nie znalazłem, a wprost strach pytać, bo to większy samobój niż hurtowe przyjmowanie uchodźców przez Angelę Merkel. Na szczęście pod ręką miałem Mentosy, więc szybko zjadłem jednego i już po chwili wpadłem na szatański pomysł posłania do (prawie) małżonki SMS-a z koniem trojańskim: „Hej, myszko, wypełniam właśnie wnioski ubezpieczeniowe i w jednym punkcie muszę wyskoczyć z PESELU, podeślij swój, plizz”. Kilkanaście sekund później dostaję odpowiedź: „77889, sześć pierwszych cyferek znasz <emotka z buziaczkiem>”. Szach mat.



18

HAJTNAŁBYM SIĘ, ALE SZKODA MI SOBOTY

Nie wiem, z czego to wynika, ale ostatnio moi znajomi zaczęli masowo się hajtać. Albo się zmówili, albo rząd faktycznie zdelegalizował pigułki antykoncepcyjne. W każdym razie byliśmy na weselu tydzień temu, idziemy dzisiaj i jeszcze dwa razy w przyszłym miesiącu. To nie jest tak, że nie lubię ślubów. Sam bym się chętnie hajtnął z Madzią, z tym że trochę szkoda mi soboty. Powaga. Czasami podczas rowerowych przejażdżek mijam kościół, pod którym młoda para zbiera akurat gratulacje i na ich widok z automatu w głowie rodzi mi się myśl: „Kurde, taki ładny dzień, a tak epicko zmarnowany”. I mówię to z punktu widzenia gościa, który od rana lata jak kot z pęcherzem, bo trzeba koszulę wyprasować, kwiaty odebrać, ciocię zgarnąć po drodze do kościoła i jeszcze na koniec wyskoczyć z kilku setek do koperty. Młoda para ma o wiele bardziej przegwizdane. Najpierw kombinowanie, kogo zaprosić. Skoro jest wujek Zdzisiek, to żeby było sprawiedliwie, wypada jeszcze zaprosić stryjka Ambrożego, no ale jak ciocia Halina się dowie, że Ambroży dostał zaproszenie, a ona nie, to w rodzinę jebnie większe tsunami niż swego czasu w Tajlandię, więc ją też trzeba wziąć. Zapraszają więc dla bezpieczeństwa jeszcze kilka Halinek, po czym ogarniają, że zrobiło się już ponad 200 osób. „Trudno, w końcu ile razy człowiek się hajta?” – pytają sami siebie. Cóż, młodzi i zakochani naprawdę wierzą, że tylko raz.

Tak czy siak, mają już listę gości, więc pozostaje wysłać zaproszenia i znaleźć salę, a tu znowu schody, bo okazuje się, że wszystko już zarezerwowane na dwa lata do przodu, a jeśli nawet coś się trafi, to zazwyczaj jest brzydkie, drogie i z fatalnym cateringiem. Człowiek jest już na skraju załamania psychicznego, a to ledwie początek. Teraz trzeba znaleźć didżeja, fotografa i wodzireja. Ogarnąć świadków, zaliczyć nauki przedmałżeńskie, pójść na kurs tańca, no i oczywiście znaleźć „tę” suknię i „ten” frak. Kilka miesięcy i kilkadziesiąt tysięcy złotych później, kiedy wydaje się, że wszystko jest już zapięte na ostatni guzik, niespodziewanie wypada zespół.

Oficjalnie twierdzą, że na przeszkodzie stanęły nagłe sprawy rodzinne, w rzeczywistości zostają podkupieni przez innych nowożeńców. Wyłamuje się też część gości, która na etapie zaproszeń szybciotko potwierdziła przyjazd, bo była ogłuszona wizją darmowego chłania i żarcia, ale im bliżej terminu, tym bardziej zaczęło do nich docierać, że to wcale nie jest taka znowu darmochą. Trzeba się ubrać, dojechać, kopsnąć do fryzjera, no i oczywiście szarpnąć na prezent, a to łącznie generuje kupę siana. Ostatecznie stwierdzają, że taniej wyjdzie, jeśli sami zrobią sobie de volaille'a i kupią do niego flaszkę, a ze ślubu wymiksują się, sprzedając bajeczkę o przeziębionych dzieciach. Tym sposobem młoda para zostaje z 200-osobowym lokalem, w którym faktycznie zasiądzie osób pięćdziesiąt. O zwrocie kosztów mogą pomarzyć, ale ponoć nie o to w tym chodzi.

Mnie w weselach dodatkowo stresują tańce. Zawsze kombinuję, jakby tu sobie skołować fejkowy gips na nogę, coby mieć dobre alibi do legalnego odpuszczenia tańców, bo z góry wiadomo, jak to się skończy. Będzie presja, żebym wyszedł na parkiet, na co powiem, że nie chcę, bo nie lubię i nie umiem tańczyć. W odpowiedzi usłyszę, że każdy umie i w ogóle nie ma co się stresować, bo to nie jest „Taniec z gwiazdami”, na co zabraknie mi argumentów i faktycznie pójdę na ten cholerny parkiet, z miną, jakbym szedł na skazanie. Z moim szczęściem oczywiście okaże się, że trafiłem akurat na 11-minutową piosenkę, przez co w sekundę wytrzeźwieję i ze stresu puszcze tak obfite soki, że plama pod pachą sięgnie do pępka, a żeby odwrócić uwagę partnerki od jej notorycznie przydeptywanych stóp, zapewne zacznę bredzić od rzeczy jak potłuczony, czyli pełna kompromitacja. Naprawdę wolałbym sobie tego oszczędzić. Jeśli przyjmiemy teoretycznie, że taniec jest mięsem, to ja jestem absolutnym weganinem. Nie mam w sobie za grosz poczucia rytmu, nienawidzę weselnej muzyki i nie chcę w tym uczestniczyć. Koniec, kropka, pl.

Nie lubię też wypełniać kartek z życzeniami, o czym przekonałem się przy okazji zeszłotygodniowego ślubu. Na samo wspomnienie, z zażenowania mam ochotę zapaść się pod ziemię. Chodzi o to, że kartkę kupiliśmy w ostatniej chwili i nie było za bardzo czasu na jej wypisanie. Pomyślałem „luzik”, podjadę pod kościół, odpalę internet i coś się podpatrzy. Niestety ślub był na wygwizdowie, poza zasięgiem neta, a czas naglił, więc trzeba było improwizować. Są dwa rodzaje ludzi: ci, co życzenia zapodają trzynastozgłoskowcem i podczas świąt przesyłają wierszyki o choince,

Mikołaju, jajkach i zajęczkach oraz ci odpowiadający „nawzajem”. Ja należę do tych drugich. Nie wiem czemu, ale mój mózg nie jest w stanie urodzić niczego miłego, ot, sam sarkazm, cynizm i ironia. Preferuję dyskretniejszą i subtelniejszą uprzejmość, taką, jaką serwujemy sobie w pracy, np. kiedy ktoś kicha i wszyscy burczą pod nosem „zynazdrowietwojamać”, na co kichający odburkuje „yyydziekiijawasteż”. Tak lubię, niestety tym razem musiałem dać z siebie więcej.

W akcie desperacji sięgnąłem do popkultury, co jeszcze nie byłoby najgorsze, gdybym uderzył na przykład w Nicolasa Sparksa. Niestety podryfowałem bardziej w stronę DC Comics. Początek jebnąłem z wysokiego C: „Tak jak Batman potrzebuje Robina, tak wy potrzebujecie siebie”. Ja pierdołę, jaki ciężar! I to nawet, kiedy pominiemy homoseksualny wątek i przemilczymy fakt, że Batman bez Robina radzi sobie zdecydowanie lepiej. Dalej było jeszcze gorzej. Zapodałem coś o rodzinie i cannoli z „Ojca Chrzestnego”, a na koniec już totalnie poszedłem po bandzie i rzuciłem cytatem z „Happysad” – coś tam o pluszowym misiu i kiedy jedno spada, drugie ciągnie je ku górze. Po prostu rozpacz. Jeśli znajomi faktycznie to przeczytają, między nami już nigdy nie będzie tak jak kiedyś. Żeby było gorzej, te życzenia nie chcą wyjść mi z głowy. Czuję się, jakby Tomasz Knapik wszedł do mojej czaszki i regularnie co pięć minut recytował to, co naskrobałem. Jedyna rzecz, która mnie pociesza, to fakt, że byłem na tyle sprytny, żeby siebie podpisać jako drugiego. Przy dobrych wiatrach znajomi pomyślą, że Madzia jest autorką i cały splendor spłynie na nią.

Rozgadałem się o akcji sprzed tygodnia, tymczasem dzisiaj kolejny ślub, a ja znowu ślęcę nad pustą kartką i głowię się, co by tu napisać. Bóg mi świadkiem, że tym razem nie czekałem do ostatniej chwili. Przejrzałem w necie ponad 100 różnych wierszyków, problem w tym, że żaden się nie nadaje. Każdy jest dziwaczny niczym fryzura Sarsy, mdły jak szpitalne żarcie i tandetny jak... pamiętacie jeszcze, jak Doda prowadziła się z Majdanem? No to prawie tak tandetny jak ich stylówki z tamtych czasów. Zacytuję wam jeden, który na stronie ma status najpopularniejszego, a wy mi powiedzcie, czy da się napisać coś bardziej gównianego. Uwaga, lecimy: „Niech (tutaj wpisz imiona młodych) razem długo żyją, póki komar i mucha morza nie wypiją, a ty mucho, ty komarze, pijcie wodę powoli, aż się Państwo Młodzi nażyją do woli”. No kuźwa chemioterapia gwarantowana po takim tekście. Stwierdziłem, że już lepiej będzie, jeśli sam coś ułożę. Niestety tutaj też

porażka. Zabrakło mi rymu do „kredyt”. W poszukiwaniu pomocy wszedłem nawet na stronę, która podpowiada rymy hip-hopowcom, ale szafu nie było. Pierwsze słowo, które wyskoczyło to „praodbyt”. I co ja niby mam z tym zrobić? „Połączył was kredyt, scementował praodbyt”? Interesujące, nie powiem, ale chyba jednak nope. Dalej było jeszcze gorzej: „kulochwyty” i „plumbokalcyty”. Hmm, chyba nie tędy droga. Kolejna strategia polegała na wykorzystaniu aforyzmów, ale nie tych sucharów od internetowych Vaness i Dżesik, tylko takich dopełnionych przez znanych wieszczów i uznanych myślicieli. Niestety znowu pudło. Okazuje się, że instytucja małżeństwa nie cieszy się zbyt dużym szacunkiem wśród filozofów. Zresztą sami spójrzcie:

W małżeństwie najgorszą rzeczą po teściowej jest... żona.

JACQUES TATI

Gdyby małżonkowie nie mieszkali razem, dobre małżeństwa byłyby częstsze.

FRYDERYK NIETZSCHE

Małżeństwo jest niewolnictwem, któremu nadano bardziej cywilizowaną postać.

ALBERT EINSTEIN

Małżeństwo jest złem, ale jest to zło konieczne.

MENANDER

Małżeństwo, jak kalectwo, należy znosić cierpliwie.

KAROL BUNSCHE

Małżeństwo, jak każda sztuka, nie może się obejść bez scen.

JERZY JURANDOT

Kto chce żyć spokojnie w małżeństwie, niech się nie żeni.

ALOJZY ŻÓŁKOWSKI

Małżeństwo zawsze jest związkiem dwojga ludzi gotowych przysiąc, że tylko to drugie chrapie.

TERRY PRATCHETT

W tym miejscu skończyły mi się pomysły, a że Madzia krzyczy mi z łazienki, żebym się zbierał, bo zaraz wychodzimy, postanowiłem przywrócić do łask popkulturowe życzenia z Batmanem, Robinem, Ojcem Chrzestnym i cannoli. Wygląda na to, że jeszcze nikt nie wymyślił niczego lepszego. Pozostaje mi liczyć, że nowożeńcy ograniczą studiowanie kartek do wyciągania banknotów. Ja bym tak zrobił.



CZEŚĆ 4

ŚWINIA W PODRÓŻY



1

OVERBOOKING TO NAJLEPSZE, CO MOŻE CIĘ SPOTKAĆ

Dzisiejszym hitem dnia okazał się filmik pokazujący, jak ochroniarze linii United Airlines brutalnie wywlekają z pokładu samolotu zakrwawionego Chińczyka. Temat w mig podchwyciły wszystkie liczące się serwisy i rozpętały niezłą gównoburzę, dopytując, jak szanująca się firma może tak fatalnie traktować swoich pasażerów? Pokrótce chodzi o to, że przewoźnicy prowadzą specjalne statystyki, które jasno pokazują, że niemal przy każdym locie do odprawy zgłasza się mniej pasażerów, niż wynika to z liczby sprzedanych biletów. Nie ma w tym nic dziwnego. W końcu bilety zazwyczaj kupuje się z dużym wyprzedzeniem i zanim nadejdzie dzień podróży, w życiu potencjalnego pasażera wiele planów może ulec zmianie. Przewoźnicy, znając tę prawidłowość, wymyślili, że zagrają pokerowo i na każdy lot zaoferują więcej biletów, niż faktycznie jest miejsc w samolocie. W 99% takie podejście się sprawdza. Pozostały 1% to przypadek, kiedy wszyscy stawiają się na lot, a tu niemiły surprise, bo dla kogoś zabraknie miejsca. Zjawisko takie nazywa się „overbookingiem” i niekoniecznie musi oznaczać złą wiadomość. Otóż kiedy linia już wie, że chętnych na lot jest więcej niż foteli, szuka ochotników gotowych na rezygnację z podróży, oferując w zamian bilet na kolejny samolot, opłacony nocleg, jeśli zachodzi taka konieczność oraz łapówkę w gotówce. Przeważnie nie ma większych problemów ze znalezieniem chętnych, a nawet jeśli nikt się nie zgłasza za pierwszym razem, przewoźnik delikatnie podbija ofertę i tyle wystarczy, żeby ludzie zaczęli łamać się jak zapalki. Pieniądze czynią cuda. W przypadku American Airlines sytuacja wyglądała trochę inaczej. Pasażerów było dokładnie tylu, ile miejsc w samolocie, więc standardowo wszystkich wpuszczono na pokład. Problem pojawił się tuż przed odlotem, kiedy okazało się, że United musi pilnie przetransportować czwórkę swoich pracowników, aby na miejscu przylotu obsłużyli inny lot. Zaczęły się negocjacje, jednak nikt się nie zgłosił na ochotnika do odsprzedaży swojego

miejsca. Linia podbijała ofertę, aż w końcu doszła do swojej górnej granicy, a tu zonk, bo nadal nikt nie wystąpił z tłumu. Sprawę wziął w swoje ręce kapitan, uznając, że skoro nie udało się po dobroci, to niech los zadecyduje. Zamknął oczy, po czym zaczął sunąć paluchem po liście pasażerów, aż w końcu drugi pilot powiedział „stop”. Tym sposobem wytypowano czterech przegrywów, którzy musieli przymusowo opuścić samolot. Jednym z nich był wspomniany Chińczyk, który kategorycznie sprzeciwił się takiej decyzji. Zaczął krzyczeć, że jest lekarzem i ma następnego dnia spotkanie z pacjentem, więc nie ma bata, żeby wysiadł. Kilkukrotne prośby ze strony załogi pokładowej nie odniosły skutku, więc do gry wkroczyła ochrona. Ciosem w grdykę ogłuszyła Chińczyka, następnie przeciągnęła go przez pokład niczym worek kartofli, aż w końcu wywlekła delikwenta na zewnątrz.

Całość oczywiście została nagrana przez jednego z pasażerów i udostępniona w internecie. No kto by się spodziewał, że w 2017 roku ktoś będzie miał przy sobie smartfona z aparatem 4K? Na pewno nie United Airlines. W każdym razie po publikacji filmu, który w samej Azji został obejrany przez 80 milionów ludzi, rozpętało się piekło. Przez cały dzień wszyscy piszą, jak bardzo gardzą United Airlines i współczują Chińczykowi. A wiecie, jaka była moja reakcja? Zazdrość. Serio. No dobra, przyznaję, że koleś jeden wieczór miał zmarnowany, ale to szczegół, biorąc pod uwagę, co się teraz stanie. Są tylko dwie możliwości rozwiązania tej sytuacji. Albo Chińczyk da się ugłaskać przez United Airlines i przytuli okrągłą sumkę plus 10 lat darmowych lotów w biznes klasie, albo ich pozwie i przytuli jeszcze okrągłęjszą sumkę, czyli jakby nie patrzeć opcja win-win. Na jego korzyść przemawia amerykański system sądowy. Jeśli jesteś obywatelem USA i zjesz klocek Lego, nie tylko nie nazwą cię idiotą, ale wypłacą jeszcze 10 milionów dolarów odszkodowania i nikt nawet nie zapyta, czy przeczytałeś instrukcję. Wyobraźcie sobie, co się stanie, jeśli ława przysięgłych obejrzy film, na którym dwóch koksów wywleka zakrwawionego Chińczyka, krzyczącego „Ratunku, Niemcy mnie biją”. Jak nic nakryją się nogami z przerażenia. W zasadzie United Airlines już może ogłaszać bankructwo. Chińczykowi zazdroszczę tym bardziej, że sam kiedyś zostałem wskazany jako osoba, która nie polecie. Wiercie mi, najłatwiej zarobiony hajs ever. Opowiem wam, jak to było.

Zdarzyło wam się kiedyś zaspać w tramwaju? Powiedzmy, że jechaliście na Wierzbno, a obudziliście się na pętli na Służewcu? Lipa, co? Znam ten

ból. Chciałem do Bangkoku, a trafiłem do Dubaju. Marne cztery tysiące mil różnicy. Zaczniemy jednak od początku. Siedzieliśmy z Madzią na lotnisku w Amsterdamie, właśnie skończyłem pisać status na fejsa, w którym oznajmiałem światu: „No, teraz sobie odpocznę, bo czeka mnie 10-godzinny lot do Bangkoku”, wtem na terminalowej tablicy wyskakuje komunikat o dwugodzinnym opóźnieniu startu. Kilka minut później kolejne ogłoszenie. Tym razem informacja, że nasza maszyna uległa awarii i na jej miejsce zostanie podstawiona nowa, mniejsza, w związku z czym 100 osób nie polecą. Znam już swoją karmę na tyle dobrze, że nawet się nie zdziwiłem, kiedy zostałem wytypowany do odstrzału. Niemniej jednak zrobiło się nieprzyjemnie, bo gdybym nie doleciał do Bangkoku na czas, reszta lotów posypałaby się niczym domek z kart, a łącznie czekało ich jeszcze sześć. Nie pozostało nic innego, jak podejść do stanowiska KLM i trochę ponegocjować. Niestety bardzo szybko zostaliśmy pozbawieni wszelkiej nadziei. Pani z informacji powiedziała, że ona nic nie poradzi, bo o wykluczeniu z lotu decyduje komputer wyposażony w specjalny algorytm i jego decyzja jest święta. Nieoficjalnie udało mi się ustalić, że program wskazywał Murzynów i Polaków, przez co zostałem wskazany aż dwa razy. No i co tu zrobić? Madzia uroniła łzę na myśl o straconych wakacjach, ja padłem na kolana i zacząłem wołać w niebo „Why always me?”, tymczasem zza lady wychodzi pani z KLM, wręcza nam po 600 euro w gotówce i mówi: „Proszę sobie otrzeć tym łzy”. Say what? Nie macie pojęcia, ile mnie kosztowało udawanie smutnego i powiedzenie: „To wszystko? I myślicie, że to załatwi sprawę? Żal”. W rzeczywistości toczyłem wyniszczającą walkę z moim wewnętrznym Kuźniarem, który na widok gotówki zajął się jak sprzęgło w Volkswagencie i z radości gotów był odwalić moonwalka na środku terminalu. Na szczęście utrzymałem go w ryzach. Stało się na tym, że KLM przerzuciło nas na lot do Dubaju, gdzie przez trzy godziny robiliśmy sobie samojebki z Ferrari, Lamborghini i bankomatem na sztabki złota, bo takie cuda można znaleźć na tamtejszym lotnisku, po czym przesiadliśmy się na lot do Bangkoku. Do tego wcześniej wspomniana gotówka na pocieszenie, która przewyższyła koszt naszego wyjazdu. Trzeba przyznać, że całkiem niezły deal. Co ciekawe, jeśli ktoś nie zapyta, czy za przymusowe wyałtowanie z lotu przysługuje jakaś rekompensata, to obsługa sama z siebie raczej niechętnie się tym chwali. Przykładowo przed nami była parka, która na miękko przyjęła wiadomość o wykluczeniu z lotu, pyk pyk,

pani z KLM wystawiła im nowy bilet, dorzuciła do tego kupon na darmową kawę w Maku i nara, a oni odeszli autentycznie zachwyceni ich dobrocią. I jak tu być klientem nieawanturującym się?

Wróćmy jednak do właściwej historii. Po 27 godzinach w końcu dolecieliśmy do Bangkoku i zgadnijcie, co się okazało na miejscu? Nie ma naszych bagaży. Poleciały do Sydney, a to oznacza dwie rzeczy. Po pierwsze, musimy przetrwać dobę bez ciuchów na zmianę, po drugie, przysługuje nam kolejne odszkodowanie. Nieźle, ale na tym nie koniec, bo dodatkowo mieliśmy wykupionego Wojażera, który również obejmował zaginięcie bagażu, czyli zadośćuczynienie po raz trzeci... teoretycznie. Niestety problemem w takim ubezpieczeniu jest obowiązek przedłożenia paragonów za towary pierwszej potrzeby, kupione, aby przetrwać do momentu odnalezienia bagażu. Bez rachunków nie ma hajsu, a niby skąd mam wziąć paragon, skoro Tajowie handlują głównie na ulicach i w życiu nie słyszeli o kasie fiskalnej? O dziwo, pani z ubezpieczeniowego call center wykazała się dużym zrozumieniem dla naszej sytuacji i pozwoliła nam po prostu przesłać maila z listą rzeczy, które kupiliśmy, a oni zwrócą nam szmal. Wstyd się przyznać, ale trochę nadużyliśmy jej zaufania. Na przykład to, co w mailu nazwaliśmy skarpetkami, w rzeczywistości było bezprzewodowymi słuchawkami Beats, pod japonkami krył się głośnik bluetooth, z kolei ręczniki to przykrywka dla wystawnej kolacji i dwóch flaszek ginu. Nie jestem dumny z tego przekrętu, ale ostatecznie ceny aż tak nie podpadały (urok Tajlandii). Wniosek jest taki, że podróże nie tylko kształcą, ale czasami można wyciągnąć z nich drugą pensję. Z kolei overbooking wcale nie musi być złą wiadomością. Wręcz przeciwnie, to najlepsza rzecz, jaka może ci się przydarzyć na lotnisku, o ile ci się szczególnie nie spieszy. Polecam.



2

JAK TRAFIĆ DO TAJSKIEGO WIĘZIENIA

Tekst powstał podczas wyjazdu do Tajlandii. Inspiracją była moja własna głupota.

Duże złoto. Miałem dzisiaj nieprzyjemną przygodę i potrzebuję wsparcia, bo zaczynam wpadać w paranoję. Było tak: jechałem sobie, jak gdyby nigdy nic na skuterku, aż tu nagle na drogę wyskakuje lokalny szeryf i każe mi zjechać na pobocze. W zasadzie to w jednym momencie na ulicy znalazło się kilku tajskich policjantów i zatrzymywali jak leci wszystkich na dwóch kółkach. Zgodnie z instrukcjami zatrzymuję się we wskazanym miejscu i czekam. Po chwili podbija do mnie strażnik Phuket i prosi o okazanie dokumentów. W tym momencie gówno wpadło w wentylator, bo nie miałem prawka. Oczywiście skończyło się mandatem. Na jakiegokolwiek dyskusje czy negocjacje nie było szans. Raz: bariera językowa i dwa: zgodnie z tutejszymi obyczajami miejscowi są wyżej w hierarchii niż turyści i przy ewentualnej różnicy zdań sprawa zawsze zostanie zinterpretowana na ich korzyść, a jeśli sytuacja zbyt mocno by się zaogniła, można sobie tylko niepotrzebnie skomplikować życie. Mówiąc wprost, tajska policja nie pierdoli się w tańcu i bardzo szybko pacyfikuje niepokornych. Przynajmniej takie opinie czytałem na forach poświęconych Tajlandii tuż przed wylotem i szczerze mówiąc, nie czułem się na siłach, żeby je weryfikować. Pokornie przyjąłem mandat, ale na tym nie koniec. Okazuje się, że tutejsze grzywny trzeba zapłacić od ręki i dopiero po okazaniu paragonu można odjechać. Inaczej mówiąc, zarekwirowano mi skuter i postawiono ultimatum – płać, jeśli chcesz go odzyskać. No, co zrobisz? Nic nie zrobisz, trzeba wnieść okup, tym bardziej, że skuter z wypożyczalni.

Podbijam więc do kasy, tu wypada wspomnieć, że łapanka mała miejsce pod komisariatem, a tam kolejka jak za komuny. Wyłapali taką masę „frajerów”, że przed okienkiem utworzył się kilkudziesięciometrowy wąż

poskładany z turystów z całego świata. Dookoła słyhać jazgot złożony z tylu języków, że wieża Babel może się schować. Na mandacie nie było kwoty, ot same „chińskie znaczki”, więc każdy każdego podpytuje, ile taka impreza może kosztować? Plotka głosi, że grzywny dochodzą nawet do 500 złotych, co przy tajskich cenach z daleka śmierdzi przekrętem à la Amber Gold. Wiecie, co można kupić w Tajlandii za 500 peelenów? Wszystko i jeszcze 350 zostanie wam w kieszeni. Stwierdziłem, że skoro już mnie przekręcają lokalną odmianą „metody na wnuczka”, to niech chociaż powstanie z tego materiał na bloga. Może kiedyś, jak już będę sławny, nabiję na nim milion odsłon i z reklam zwrócą mi się koszty. Pokrzepiony tą myślą ustawiam Madzię w kolejce do kasy, a sam wychodzę przed komisariat nagrać niecny przekręt „łapanki” ku przestrodze dla innych. Podbijam na miejsce zbrodni i widzę, że z czterech policjantów został już tylko jeden. Wyczułem krew. Podchodzę do skuterka, udając, że czegoś szukam, wtem doskakuje do mnie gliniarz i wypytuje, czy aby na pewno już zapłaciłem? Nie mogłem powiedzieć, że tak, bo musiałbym pokazać paragon, więc ściemniam, że wróciłem tylko po szmal i daję do zrozumienia, że nie musi sobie zawracać mną głowy, przecież nie planuję niczego głupiego... zupełnie niczego. Naiwniak złapał się na moją smutną minkę i poszedł trzepać innego turystę bez prawka. Wyczekałem do momentu, aż zniknie za winklem, po czym jębs na motorek i dzida w długą. Miałem taką adrenalinę, że wyciągnąłem z pierdziocha jakieś 80 km/h, chociaż fabryka przewidziała max 35 i to z górki. Przejechałem z kilometr albo dwa, skręciłem w boczną uliczkę, tam wtopiłem skuter w inne stojące na parkingu, a sam wskoczyłem w pobliskie krzaki, żeby ukryć się przed pościgiem na rikszach i tuk tukach.

Minął kwadrans, nic się nie działo, stamina trochę opadła, więc postanowiłam się wynurzyć i wybadać teren. Oczywiście musiałem zmienić look, żeby mnie nie rozpoznano. Koszulka na lewą stronę (nadal była szara), przedziałek na prawą, okulary słoneczne do kieszeni i voilà. Może szafu nie ma, ale still better than superman. W nowym outficie zakradłem się do głównej ulicy, gdzie już czekała na mnie Madzia. Okazuje się, że widziała przez okno, jak dałem spod komisariatu i w lot przejrzała mój plan. Na pytanie, ilu gliniarzy ruszyło za mną w pościg, oznajmiła, że pies z kulawą nogą (łapiecie wieloznaczność) nie zainteresował się moją wielką ucieczką. W pierwszym momencie ta informacja trochę mnie rozczarowała, bo w końcu nie po to siedzę kwadrans w krzaczorach, żeby usłyszeć, że nikt nie

dał fucka na moje zniknięcie. Dla wzmocnienia anegdotki przydałyby się jakieś kolczatki i helikoptery, no ale już trudno. Grunt, że się wywinąłem. To mógłby być koniec historii, niestety to dopiero początek.

Przeanalizowałem wszystko i wyszło mi, że jestem uwalony na całego. Gliniarz pod koniec dnia będzie liczył, czy kasa zgadza się z kwitami i wyjdzie mu, że ja nie zapłaciłem. Spisał mój numer rejestracyjny, więc szybko się zorientuje, w którym hotelu go podnajmują. Tam z kolei pokażą mu ksero mojego paszportu i wskażą numer pokoju, czyli tajski detektyw Rutkowski jest w stanie namierzyć mnie szybciej, niż zeszło mi na napisanie tego tekstu. Co teraz ze mną będzie? Wizja tutejszego więzienia to najgorsza wizja ever. Człowiek z moją urodą nie poradzi sobie w kryminale. Tajowie co prawda są drobni, ale każdy z nich może się okazać kolejnym wcieleniem Bruce'a Lee albo Mannym Pacquiao, a poza tym potrafią bardzo szybko dźgać nożami (obejrzyjcie „The Raid”). Nie chcę, żeby ktoś mnie ożenił z kosą. Nie tak to miało wyglądać. Nie chciałbym nikogo obwiniać za zaistniałą sytuację, ale niestety muszę. Podróżnicy pokroju Beaty Pawlikowskiej, blogerzy i inni ludzie, którzy jeżdżą po świecie, a później spisują przewodniki, robią to źle. Kogo obchodzi, ile lat temu powstał jakiś kościółek i jaki jest najlepszy filtr do opalania? Podróżnik amator potrzebuje faktów – co, gdzie, za ile i z kim gadać. Przykładowo ostatnio pisałem na fejsie, że tanie lotnisko w Kuala Lumpur jest zasyfione, a w komentarzach dostałem zarzut, że nieprawda, bo trzy lata temu było czyste jak łąka. Tak się rodzi dezinformacja. Na tej samej zasadzie przed wylotem zapytałem na forum podróżniczym, czy w Tajlandii będę potrzebował prawka, bo po co wozić zbędne dokumenty i ryzykować zgubę? Co usłyszałem? Nie ma sensu zabierać. W Tajlandii polskie prawko nie jest uznawane, poza tym na skuter nie potrzeba, a do wynajmu wystarczy dowód i gotówka. Okazało się, że wszystkie rady to jeden wielki bullshit. Ten, co to napisał, będzie płacił za mojego adwokata!

*

Moja zabawa w chowanego z tajską policją trwała 24 godziny. 24 godziny wypełnione stresem i nerwami, tym bardziej że do zarzutów o ucieczkę mogło dojść jeszcze oskarżenie o zniszczenie mienia. Otóż kiedy spotkałem się już z Madzią i mieliśmy wrócić do hotelu, byłem tak bardzo rozchwiany

emocjonalnie, że upuściłem skuter podczas zdejmowania stópki, a ten tak niefortunnie upadł, że przewrócił jeszcze jeden stojący obok, po czym powstał wielki efekt domina, który zakończył się wywrotką łącznie pięciu jednośladow. Jak się wali, to się wali. Nie jestem z tego dumny, ale musiałem zostawić je w takim stanie i odjechać. To nie był dobry moment na poczucie winy. Do pieca dołożyła też moja mama – polonistka, która o przygodzie dowiedziała się z fejsbuka i w pierwszym kroku ochrzaniła mnie za gwałt na języku polskim. Ponoć w mojej relacji ort gonił orta, zignorowałem masę przecinków, a to, co zrobiłem z przyimkami, to już w ogóle woła o pomstę do nieba. Musiałem przeprosić i obiecać, że to się więcej nie powtórzy, bo nie chcemy przecież, żeby koleżanki mojej mamy patrzyły na nią wzrokiem pt. „No pięknie, matka polonistka, a syn analfabeta”. Kiedy odhaczyliśmy już lekcję gramatyki, przeszliśmy do tematu dnia, czyli mojego konfliktu z tajskim prawem. W tym miejscu mamusia wykazała się olbrzymią empatią, mówiąc, że trzyma kciuki, żebym nie dał się złapać i fajnie by było, gdybym sobie poradził sam, bo ojca od kilku dni boli kolano, w związku z czym raczej nie dadzą rady po mnie przyjechać. Ewentualnie mogą wspomóc mnie finansowo na adwokata, ale też niechętnie, bo planują zrobić remont kuchni, a kafelki, które wpadły im w oko, trochę kosztują. Pokrzepiony tą rozmową uznałem, że jest tylko jedno wyjście, żeby zakończyć tę sprawę: stać się niewidzialnym dla tajskich służb. Tak więc zwróciłem skuter, następnego dnia rano wycheckoutowałem się z hotelu i przenieśliśmy do innego, gdzie meldunek zrobiliśmy na dowód Madzi, a sam już do końca pobytu unikałem wszelkich sytuacji, które wymagałyby pokazania dokumentów. Udało się.



3

PING PONG SHOW

Tekst powstał podczas wyjazdu do Tajlandii. Inspiracją była moja własna głupota (ponownie).

Idź na Ping Pong Show, mówili. Będzie fajnie, mówili. Bez tego wyjazd do Tajlandii się nie liczy, to tak jak pojechać do Szczecina i nie zjeść paprykarza, mówili. Ten ostatni argument mnie przekonał. Poszedłem.

Od wczoraj nic już nie jest takie jak kiedyś. Mój zmysł wzroku został zbrukany, a umysł wypaczony. To, co zobaczyłem, na zawsze wypaliło piętno. Inwestycja w alkohol i próby wymazania pamięci nie powiodły się. Napiszę, co widziałem ku przestrodze dla innych, ale wcześniej niech wszystkie matki ukryją dzieci.

To działa tak: uderzasz na ulicę nierzędu i rozpusty, gdzie wszyscy wyglądają jak uczestnicy dowolnego programu z „shore” na końcu. Następnie pozwalasz złowić się pierwszemu lepszemu naganiaczowi, który przekonuje, że to właśnie w jego lokalu tańczą najbardziej gibkie lachony, a po chwili lądujesz w schowanym w bocznej uliczce klubie go-go. My akurat byliśmy na Phuket, czyli najbardziej imprezowej azjatyckiej wyspie, ale podobne atrakcje znajdziecie w każdym tajskim mieście, do którego przyjeżdża przynajmniej jeden turysta. Wstęp teoretycznie jest darmowy, w rzeczywistości udział w show wymaga zamówienia kolorowego drina. Ten pierwszy kosztuje między 50 a 100 złotych, zależy od prestiżu lokalu, kolejne są już w standardowej cenie, czyli 10-30 złotych.

Robiliśmy dwa podejścia. W pierwszym klubie była masa podejrzanego elementu i wcale nie mam tu na myśli atmosfery wiszącego w powietrzu wpierdolu, jaka panuje w barach dla harleyowców. Wręcz przeciwnie, za dużo zakazanej miłości w jednym miejscu. Wyglądało, jakby wszyscy goście przyszli prosto z przemarszu Love Parade. Same Rafalale, Conchity Wurst i Jole Rutowicz. Wszyscy poubierani w lateksowe kostiumy z krojem à la

Borat, do tego biżuteria w postaci srebrnego łańcucha przepuszczonego przez sutki i pępek plus fryzury w stylu Coolio w „Gangsta’s Paradise”. Spanikowaliśmy. Druga melina nie była lepsza. Atmosfera niby zupełnie inna, ale równie odrzucająca. Mała ciemna sala z delikatną poświatą fioletowych neonów, pośrodku długi wybieg z rurami, dookoła skórzane sofy. Wśród gości tylko jakiś podstarzały grubas, któremu nadskakiwały dwie młodzieńki Tajki, a on w rewanżu miział je banknotami. Klimat bardzo niepokojący, coś jak w filmie „8 mm” z Nicolasem Cage’em. Już miałem dawać Madzi sygnał do ucieczki i całkowicie wykreślić Ping Pong Show z listy „do zaliczenia w Tajlandii”, wtem do lokalu wchodzi dwie parki o europejskich rysach. Nie dało się nie zauważyć, że pierwsze wrażenie też ich odrzuciło, ale kiedy nas zobaczyli, nabrali pewności siebie i postanowili zostać, przynajmniej tak miemam po dyskretnym skinieniu głowy, które wymieniliśmy. Nam ich obecność też dodała skrzydeł. Uznałem, że jeśli Azjatom zaczęłoby odwalać, to jako Europejczycy naturalnie uformujemy się w drużynę i spuścimy im łomot ich własnymi dildami. Zostaliśmy.

Rozsiadamy się, zamawiamy driny i czekamy. Jest niezręcznie. Na wybiegu sześć bezcyckowych Tajek niemrawo wygina się przy rurkach. Raczej nie wkładały w to całego serca. W myślach chyba planowały, co jutro ugotują na obiad, tudzież rozkminiały, czy aby na pewno wyłączyły żelazko. Tak czy siak, zero zaangażowania z ich strony. Nudy. Żałowałem, że nie wziąłem tableta, pograłbym w „Angry Birds” albo rozpykał jakieś sudoku. Agonia trwała jakieś 20 minut. W tym czasie do lokalu dobiło jeszcze kilka osób, a ja z jednym tańczącym „lachonem” przypadkowo złapałem kontakt wzrokowy. Oblizła się i puściła mi oczko. To chyba miało być sexy, niestety bardziej przypominało nerwowy tik.

Po tym nieudanym flircie ze wstydu i żenady zamknąłem się w sobie i do głównego występu siedziałem ze wzrokiem wbitym w podłogę. Trochę to trwało, ale w końcu się doczekałem. Na scenę w końcu wyszła ona, „gwiazda” wieczoru. Dżizas, że też byłem takim idiotą i nie przeczytałem wcześniej żadnej recki w necie. Wiek emerytalny (i to co najmniej od 15 lat), brzuszek jak u Ferdka Kiepskiego, a do tego wyczuwalna aura pogardy i nienawiści niczym u pani z dziekanatu. Jedyne pozytyw to fakt, że biodra miała przewiązane chustą, dzięki czemu strategiczne miejsca były zasłonięte. Tyle mi wystarczyło, żeby uznać, że przyście tutaj było jednym z moich głębszych pomysłów ever. Przysięgam, że chciałem się ewakuować,

ale w lokalu rozbrzmiała akurat muzyka, co mnie trochę rozproszyło i chcąc sprawdzić, skąd dobiega, nieopatrznie spojrzałem tam, gdzie nie powinienem. Pech chciał, że w tym samym momencie jej przepaska podwiąła się do góry... „Oh God, Oh Why?!” Tu naprawdę nie ma nic śmiesznego, takie widoki zostawiają traumy na całe życie. Ale to i tak było jeszcze nic.

Show zaczął się z naprawdę wysokiego C, bo w powitalnym triku babcia wyciągnęła sobie z wiadomego miejsca 20 metrów wstążki. Trochę taki mix Davida Copperfielda z kopalnią „Wujek”, czyli i magia, i górniczy zapierdół w jednym. Jak się później okazało, cały pokaz wyglądał jak casting do „Mam Talent”, z tym że nie można było go przerwać, wciskając czerwony guziczek.

Akurat tak się złożyło, że dzień wcześniej rozmawiałem ze znajomą o Tajlandii i pytałem, czy podczas swojego pobytu widziała żółwie, bo ja bardzo bym chciał, ale jakoś do tej pory się nie udało, a wszyscy dookoła twierdzą, że jest ich tutaj od cholery. Naprawdę nie spodziewałem się, że moja zachcianka spełni się po zaledwie 24 godzinach. Niestety okoliczności trochę kijowe, żeby nie powiedzieć z dupy. Otóż w drugim numerze babcia „wypluła” z siebie dwa małe żółwie. Chociaż czy małe, to kwestia sporna. Jeśli trzeba je schować w sobie, z miejsca zmienia się perspektywa. Tak czy siak, był to najbardziej popierdolony numer ever. Kolejny trik to strzelanie do celu. Konkretnie rzutkami z ostrym końcem i do baloników zawieszonych dookoła wybiegu. Zaliczyła dwa headshoty. 100% skuteczności. Dzięki Bogu, bo jeden balonik był zawieszony w takim miejscu, że w razie pudła mógłbym stracić oko. Następnie przyszedł czas na palenie papierosów. Skubana odpaliła dwa jednocześnie. Spaliła w czterech machach i przypominam, że choć zaciągała się wargami, to nie tymi osadzonymi na twarzy. Ten pokaz w przeciwieństwie do metody Allena Carra faktycznie zniechęca do palenia.

Jako clue programu: piłeczki do ping-ponga. Różne kombinacje. Bezdotykowe aplikowanie z szyjki butelki, zwrot do szklanki z wodą, zawody w strzelaniu na odległość i tego typu konkurencje. Wstyd się przyznać, ale w tym momencie nawet się zaśmiałem. Nic nie poradzę, towarzyszące dźwięki i pozy były naprawdę zabawne. No i w sumie to już był koniec, a przynajmniej tak mi się wydawało. W rzeczywistości okazało się, że tajskie tancerki wracają jeszcze z bisem. I to nawet jeśli nikt o niego nie prosił. Gorzej, że bis nadal nie był końcem. Nope, po zejściu ze sceny babcia założyła na siebie przezroczystą halkę i uzbrojona w pojemnik próżniowy,

wiecie, taki jak na drugie śniadanie, ruszyła w tournée po widowni, zbierać napiwki. Azjaci wyskakiwali z banknotów jak szaleni, za to białasy siedzieli nieporuszeni niczym skała. Żaden nie dał. Nie dziwota, nikt przy zdrowych zmysłach nie sypnie groszem za coś tak żenującego i niesmacznego, po czym zostają blizny na całe życie. Ja tym bardziej nie planowałem. Postanowiłem, że kiedy przyjdzie moja kolej, będę patrzył w podłogę i ignorował ją, do momentu, aż sobie pójdzie. Plan zacny, ale nie przewidziałem, że babcia okaże się tak wytrwałą zawodniczką i spędzi pełne dwie minuty z pojemnikiem próżniowym przystawionym do mojej twarzy. Ze stresu zrosiłem się lekko na czole, ale ostatecznie dopiąłem swego i przetrwałem tę nierówną walkę (cebula na 100%). Poddała się i na fochu poszła w długą, jednak nie obeszło się bez zgrzytu. Na odchodne oberwałem tajską obelgą. Głowy nie dam, ale mogło to być coś w stylu: „Patrzeć to by każdy jeden chciał, ale płacić to nie ma komu”. No i teraz to już naprawdę był koniec. Nie licząc tego, że przez następne kilka miesięcy moja intymna znajomość z Madzią ograniczała się do przybijania piątek, można powiedzieć, że wyszedłem z tego bez szwanku.

Niestety robienie zdjęć w takich miejscach jest stanowczo zabronione. Złamanie zakazu wiąże się z karną opłatą 1000 euro i utratą czucia w kończynach na wieki, w związku z czym nie posiadam odpowiedniej dokumentacji foto. Musicie uwierzyć na słowo.



4

PIGOUT NA HAJU

Tekst powstał podczas wyjazdu do Holandii. Jak zwykle okazałem się zbyt ciekawski.

Od pięciu dni jesteśmy w Holandii. Zostały jeszcze dwa i trzeba będzie wracać do domu, więc powoli zaczynamy myśleć o pakowaniu oraz o tym, że trzeba zutylizować ciasteczka z haszem, które kupiliśmy w Amsterdamie. Do Polski ich przecież nie weźmiemy, z moją karmą lepiej nie ryzykować. Specjalnie zwlekałem z ich zjedzeniem do momentu przeniesienia się do Vlissingen, bo mimo że za bardzo nie wierzę w ich działanie, na wszelki wypadek wolę skonsumować je w kontrolowanych warunkach, bez tłumu gapiów z kamerkami HD dookoła. Ostatnie, czego potrzebuję, to zostać na haju gwiazdą jutuba. Vlissingen jest do tego idealne. Mała portowa miejscowość nad Morzem Północnym, w której nie ma tłumów, w dodatku mamy 3-piętrowy apartament tylko do swojej dyspozycji, więc w razie czego jest gdzie się zaszyć.

Postanowiliśmy, że dziś jest ten dzień. W końcu zrobiła się dobra pogoda, wyszło słońce, popłażowaliśmy trochę z rana, wysączyliśmy kilka drinków i ogólnie wprowadziliśmy się w dobry klimat na ciasteczka. Na pierwszy ogień poszedł klin tortu bananowego. Sprzedawca ostrzegął, że bezpieczna ilość to po pół porcji na głowę. Zdając się na opinię specjalisty, z chirurgiczną precyzją przecięliśmy ciacho i zgodnie z instrukcjami każde przyjęło swoją „działkę”. Było pyszne, wróć, było obłędnie pyszne. Smakowało jak z najlepszej cukierni, a nie z kiosku prowadzonego przez wydziaranych kolesi w krótkich szortach, klapkach i z dredami. Nabraliśmy apetytu na więcej. Można powiedzieć, że łakomstwo okazało się silniejsze niż strach przed przedawkowaniem. Zignorowaliśmy ostrzeżenia na opakowaniu o możliwym odczuciu haju dopiero po upływie godziny, uznając, że to tylko taka ściema dla turystów. Przecież coffee shopy muszą brać poprawkę na gimbusów, którzy dla szpanu zjedzą dziesięć ciastek

naraz, po czym prawdopodobnie padliby jak dłudzy przy ladzie, co nie? Komu potrzebny taki skandal? To mogłoby rzucić cień na holenderską turystykę. „Na pewno dodają do ciastek tylko jakieś śladowe ilości THC, a reszta to autosugestia i efekt placebo” – pomyśleliśmy. Uspokojeni taką dedukcją zjedliśmy jeszcze po muffinku i przekonani, że totalnie nic nam nie grozi, ruszyliśmy w miasto w poszukiwaniu jakiejś szamki.

Vlissingen słynie z muli. Jest tu megaprestiżowa knajpa serwująca właśnie mule, do której co chwila przyjeżdżają kucharze w stylu Makłowicza i kręcą odcinki swoich programów. Madzia bardzo chciała spróbować i w sumie ja też byłem otwarty na nowe smaki, więc się do niej udaliśmy. Lokal oporowo elegancki, obrusy, świeczniki, kelnerzy z ręczniczkami przewieszonym przez rękę, tego typu tematy. Siadamy w ogródku na zewnątrz, zamawiamy mule i wiener schnitzel, słońce świeci, ptaszki ćwierkają, morze faluje, ogólnie jest superprzyjemnie. Do czasu. Kelner przynosi Heinekeny, a ja w tym momencie czuję, że drętwieją mi dwa palce u ręki, bezwładnie opada warga i nie domyka się jedno oko. Oho, już wiem, co jest grane – naprałem się! Mówię Madzi, że chyba muffiny jednak działają i może lepiej będzie wrócić do domu albo przynajmniej oddalić się od miejsca publicznego. Madzia na to, że „bitch, plizz!”, że coś sobie ubzdurałem, bo jej nic nie jest, a zjadła tyle samo i w dodatku jest mniejsza. Przekonany taką argumentacją, stwierdziłem, że chyba faktycznie wkładam sobie film i tak naprawdę nic się nie dzieje, nie ma co panikować. Postanawiamy zostać. No i siedzimy, a ja czuję, że mój stan jeszcze bardziej się pogłębia, ale przed Madzią poker face i udaję, że jest ok. Jestem megaświadomy, ale ciało ewidentnie nie chce współpracować. Co chwilę drętwieje mi ręka albo noga. Pół twarzy sparaliżowane, więc gadać też nie za bardzo mogę, w dodatku siedzimy przy stolikach opartych na jednej nodze, które nie do końca są stabilne, co wpędza mnie w ostrą paranoję. Dręczą mnie myśli, że podczas próby krojenia sznycla na bank stracę równowagę i polecę ze wszystkim na glebę. Ogarnia mnie panika, pot zalewa plecy, w głowie przeprowadzam różne analizy i ostatecznie postanawiam, że najbezpieczniej będzie wszamać sznycla bez krojenia. I to jest plan! Niestety duma z własnej przebiegłości nie przekłada się na uczucie ulgi, bo już po chwili dopada mnie kolejny lęk. Tym razem myślę sobie, że to nie jest dobry moment na debiut z mulami. Nie wiem, jak je otworzyć ani jeść, no

i chwilowo koordynacja pozostawia wiele do życzenia, a ostatnia rzecz, jakiej teraz chcę, to wzbudzenie sensacji. Rozpatruję wszystkie czarne scenariusze, które mogą się wydarzyć podczas jedzenia i nagle zdaję sobie sprawę, że minęło już dobrych kilka minut, kiedy pochłonięty rozkminkami, nie dawałem żadnych oznak życia. Ogarniam się, patrzę, co u Madzi i widzę, że u niej też już się zaczęło. Oczy jak pięć złotych, niedowład nogi, trochę uśmiech, trochę panika, przy stoliku jest tylko ciałem, a mentalnie przeżywa fazę gdzieś daleko stąd. W tym momencie koszmar stał się faktem. Dwójka, zdawałoby się, odpowiedzialnych osób siedzi naprzeciwko w najbardziej eleganckim lokalu we Vlissingen, czekając na garnek muli i nikt nie wie, jak to się potoczy dalej. Kurtyna.

*

Długo zastanawiałem się, czy w ogóle opowiadać dalszy ciąg naszej przygody na haju. Wszystko przez to, że w pewnym momencie przestało być zabawnie i zrobiło się trochę straszno, trochę żenująco. Kiedy kelnerka przyniosła nam jedzenie, przy stolikach byliśmy już praktycznie tylko ciałem, mentalnie zaliczaliśmy inny wymiar. Jak przez mgłę pamiętam, że nadziałem sznycla na widelec i wszamałem go jak Big Milka. Strach przed wywrotką z całym stolikiem był naprawdę silny. Coś tam mi się jeszcze kołatało, że Madzia co jakiś czas wpychała mi do buzi mule na spróbowanie, ale ich smaku za cholerę nie kojarzę. Wiem tyle, że zrobił mi się po nich taki suchar w pysiu, że browca wychyliłem duszkiem, po czym uznaliśmy, to już ostatni moment na ewakuację z lokalu, jeśli na kwadrat chcemy wrócić o własnych siłach. Opadająca warga stanowiła spory dyskomfort, ale jeszcze jakimś cudem udało mi się wyartykułować „Czek plizz”. W tym miejscu muszę oddać szacunek kelnerce, która świadoma naszej niedyspozycji (nie dało się nie zauważyć), nie piętrzyła problemów i nie kręciła afery, że takie rzeczy nie przystoją w tak ekskluzywnym miejscu. Dyskretnie przyniosła rachunek, pyknąłem płatność zbliżeniową i nara. Zero oceniania i zbędnych pytań.

Po wyjściu złapaliśmy się z Madzią pod ramię i pokuśtykaliśmy w stronę naszego apartamentu. Słowo pokuśtykać jest tu jak najbardziej na miejscu. Wspominałem już, że kiedy dopadła mnie faza, co rusz traciłem władzę nad losowymi częściami ciała? Na wyjście padło akurat na prawą dłoń, czyli nie

najgorzej. Pech chciał, że pomyślałem wtedy: „Uff, jak dobrze, że wysiadła mi tylko ręka, a nie noga, bo nie mógłbym chodzić”. Autosugestia zadziałała błyskawicznie i chwilę później jedną kończynę ciągnąłem za sobą niczym worek kartofli. I tak sobie kuśtykamy, kuternoga i wpełprzymna panna. Dla przechodniów musieliśmy wyglądać jak dwójka uciekinierów z Monaru. Do przebycia mieliśmy nie więcej niż kilometr, a i tak nie obyło się bez kilku postojów na przypadkowych murkach. Ostatecznie po godzinie dotarliśmy do mieszkania, gdzie po przekroczeniu progu zaczęły się schody. Dosłownie i w przenośni. Nie wiem, czy to typowa holenderska zabudowa, ale nasz apartament był trypoziomowy, a na każdy prowadziły ekstremalnie ostre schody. Prawie kąt prosty, do tego bardzo drobne stopnie. Szczerze mówiąc, nawet na trzeźwo trzeba było uważać, żeby się z nich nie spieprzyć, więc wyobraźcie sobie, jakie stanowiły wyzwanie dla ludzi nafaszerowanych muffinkami z haszem i podlanymi kilkoma piwami. Żeby było trudniej, musieliśmy wdrapać się na poziom trzeci, bo właśnie tam ulokowana była sypialnia. Drugi stanowiły salon, kuchnia i łazienka. Wchodziliśmy na czworakach. Madzia przodem, bo była w o wiele gorszym stanie, ja zabezpieczałem tyły.

Wspinaczka wyglądała tak, że co trzy stopnie Madzia zaczynała panikować, że wyżej wejść nie da już rady: „Kręci mi się w głowie i nie czuję nóg. Idź sam, ja tu zostanę” – mówiła. Jako najlepszy chłopak na świecie nie brałem takiej opcji pod uwagę. „Siedzimy w tym razem i razem z tego wyjdziemy” – odpowiadałem. Po mniej więcej 30 minutach dopełzliśmy do sypialni, gdzie w końcu zalegliśmy na upragnionym wyrku. Myślałem, że teraz pójdzie już z górki, wtem Madzia zaczęła przechodzić kolejny atak paniki. Tym razem miała haluna, że łóżko ją wciąga. Znacie to uczucie, kiedy po pijaku wydaje wam się, że spadacie w przepaść i trzeba jedną nogę zakotwiczyć na podłodze albo skończy się womitem? Madzia miała coś w tym stylu, tyle że w jej wizji dryfowała na materacu w otchłań. Próbowałem ją wyciszyć, niestety bez większych sukcesów. Ostatecznie stanęło na tym, że chciała do łazienki. Wiecie, co to znaczy? Znowu czekała nas przeprawa schodami, tym razem na poziom numer dwa. W dół było jeszcze trudniej niż do góry – nie dość, że na czworaka, to jeszcze na wstecznym. Madzia zamknęła się w łazience, a ja korzystając z chwili wolnego, zaległem na kanapie w salonie, gdzie w końcu mogłem oddać się własnej fazie. Dziwne uczucie tak leżeć napruty, kiedy za oknem jeszcze widno, z drugiej strony

nad Morzem Północnym zachód słońca wypada latem dopiero około 22.00, więc nawet gdybym zjadł te nieszczęsne ciasteczka cztery godziny później, efekt byłby identyczny. W każdym razie leżałem bez ruchu, patrzyłem w okno i rozkminiałem wiele dziwnych kwestii. Przekiwnałem kwadrans, albo dwa, po czym zbudziłem się niczym rażony prądem, z zaślinionym pysiem i paniką, gdzie jest Madzia? Na jednej nodze wpadam do łazienki, patrzę, a Madzia jak gdyby nigdy nic kima sobie w półprzysiadzie na podłodze, obejmując jedną ręką wannę i muszlę drugą. Wybudzam ją, pytam „what the fuck”, na co ona odpowiada, że nie wiedziała, w którą stronę sprawy się potoczą, więc na wszelki wypadek zajęła strategiczną miejscówkę. W następnej scenie znowu wdrapujemy się na czworakach po tych cholernych schodach do sypialni, na szczęście tym razem po dotarciu do wyra udaje nam się zasnąć bez większych turbulencji. Następnego dnia wstaliśmy na kacu, jakiego nie życzyłbym nawet największemu wrogowi. Ten łomot w głowie i Sahara w pysiu, pamiętamy [*].

Okolo południa dojechali do nas znajomi, którzy od kilku lat mieszkają na stałe w Holandii i którzy użyczyli nam mieszkania. Zaaferowani opowiadamy im o naszej przygodzie, po czym uroczyście składamy na ich ręce pozostałe muffinki i ciasteczka z haszem, dodając przy tym, że Holandia faktycznie bardzo fajna, ale dragi to jednak nie nasza bajka. Wyśmiewają nas, że dragów to my na oczy nie widzieliśmy, po czym od ręki zjadają otrzymane ciasteczka i muffinki, dobijają jointem, którym nawet Snoop Dogg by nie pogardził, na to podlewają się jeszcze browarkiem, a po wszystkim luzacko pytają, w co dziś idziemy: palenie czy picie? „Chcecie jeszcze pić i palić? Ochujeliście? Jak was ten towar za godzinę zwali z nóg, to macie co najmniej dwa dni z głowy!” – mówię przerażony, na co w odpowiedzi dostaję tylko „Buehehe” i „Bitch, plizz”. Okazuje się, że to, co nas prawie zabiło, dla nich jest poranną rozbiegówką, coś jak kawa i pierwszy papieros dla palacza. Nie wiem i chyba nie chcę wiedzieć, ile trzeba trenować, żeby dojść do takiej formy. Jeśli chodzi o mnie, od tamtej przygody narkotyką mówię stanowcze „chyba nie”.



5

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

Wraz z Redzim wyskoczyliśmy na kilka dni do Szwajcarii, gdzie chwilowo mieszka nasz starszy brat. Obiecywał nam wakacje życia, tymczasem siedzimy na kwadracie, patrzymy w przestrzeń i czekamy, aż gospodarz wróci z pracy, po czym zamawiamy pizzę, rozpijamy butelkę i idziemy w kimkę. Powtórzyć codziennie. No po prostu moc wrażeń. Widząc, że najstarszy nie przygotował dla nas żadnych rozrywek, postanowiliśmy z Redzim wziąć sprawy we własne ręce. Odpaliliśmy Google Maps i zaczęliśmy rozglądać się za jakimiś atrakcjami turystycznymi. Padło na Hoher Kasten. Przyjemna górka, 1800 m n.p.m, położona w Prealpach Szwajcarskich, pół godziny samochodem od dziupli brachola. Normalnie weszlibyśmy na nią z buta (heh, sam siebie rozśmieszyłem), ale niestety byliśmy mocno poturbowani po wczorajszym zderzeniu czołowym ze szwajcarską wódką, w związku z czym musieliśmy skorzystać z kolejki. Chodzą plotki, że Niemiec płakał, jak sprzedawał. Nie wiem, nie widziałem. Wiem za to, że Polak płakał, jak kupował bilet wjazdowy. True story. W okienku za przejazd kazali nam zapłacić po 38 franciszków od głowy. W przeliczeniu na złotówki to równowartość golfa trójki. Redzi był w takim szoku, że odruchowo pociągnął kasjerkę za włosy, żeby sprawdzić, czy to przypadkiem nie Tusk w masce. O dziwo, nie. Na górze było epicko, ale przy okazji okazało się, że jesteśmy takimi samymi łosiami, jak niedzielni turyści w Tatrach, którzy wbijają w Crocsach na Rysy i później trzeba ich ściągać helikopterem. My dla odmiany wjechaliśmy na totalnym luzaku, w krótkich gaciach i cienkich bluzach, jak na końcówkę sierpnia przystało, tymczasem na górze przywitało nas żałosne 6 stopni Celsjusza i urywający głowę wiatr, 150 km/h minimum.

Gdy tak siedzieliśmy, podziwiając niesamowite widoki i równocześnie wycierając zgrabiętymi rękami gile z ciekących nosów, przypomniało nam się, jak w wagoniku pan kolejkowy-operator zarzucił jakiegoś suchara po niemiecku, od którego wszystkim wjeżdżającym na szczyt (poza nami)

niemal pourywało dupy ze śmiechu. Teraz już wiemy, że nabijali się z nas i naszych lekkich wdzianek. Cała reszta była w polarach i spodniach narciarskich, co z kolei w tamtym momencie nam wydawało się megaśmieszne. Z ciekawostek, na Hoher Kasten poza kozackimi widokami jest jeszcze knajpa, która w 2010 roku, przez jakiś kulinarnych ważniaków, została okrzyknięta najlepszą szwajcarską restauracją 2013 roku. Niestety nie zweryfikowaliśmy, czy tytuł był zasłużony. Powiedzmy, że mając 50 zł, w helweckiej walucie of course, można w niej dostać jedynie szklankę wody i to przy założeniu, że przyszło się z własną szklanką. To była pierwsza rzecz, której nauczyliśmy się o Szwajcarii: jest piękna, ale przy okazji niemiłosiernie droga. Zdecydowanie nie na polską średnią krajową.

Podczas reszty pobytu dowiedzieliśmy się jeszcze, że Helweci poza stanem posiadania różnią się od nas jeszcze sposobem spędzania wolnego czasu. Konkretnie nie piją... aż tyle. Serio. W przeciętnym szwajcarskim sklepie najmocniejszym napitkiem jest płukanka do pysia. Reszta ma max 16%. Za prawdziwą wódką trzeba trochę się nachodzić. Kolejna niesamowita rzecz, to brak kradzieży. Już w Biblii było napisane, że każdy naród, który nie pije, nie jest godny zaufania, tymczasem Szwajcarzy notorycznie zostawiają pootwierane garaże, fury, chałupy i nic się nie dzieje. Dzieciaki porzucają na noc rowery pod trzepakiem, na trawnikach, na środku chodnika, a jakimś cudem rano nadal tam są. Wciąż mnie to szokuje. Mój rower stał w Polsce na strzeżonym parkingu, zabezpieczony łańcuchami lepiej niż Harry Houdini w swoim popisowym numerze, a mimo to podpierdolili mi go w biały dzień. Zaskakujące jest również podejście Szwajcarów do koni. Owszem, kochają je, ale nie tak jak my, kiedy hasają po polanie, tylko podane na talerzu. Nie uważają, żeby były lepszymi zwierzątkami niż świnie czy krowy (no chyba że pod względem smaku) i wysyłają je równie często pod nóż. Mówiąc krótko: najlepsze szwajcarskie kiełbasy są z konia. To też szokujący fakt, bo dotychczas koninę jadłem tylko raz i to nieświadomie, ale wystarczyło, żebym czuł się winny. Zamówiłem kiedyś w Ikei klopsiki, a kilka tygodni później z radia dowiedziałem się, że to był kucyk. Zresztą w mediach wybuchła wtedy spora afera, przez co jedzenie w Ikei przez długi czas było passé. Gdyby taka „afera” wybuchła w Szwajcarii, Ikea dostałaby aplauz niczym pilot Ryanaira po udanym lądowaniu. Szwajcaria to nie kraj, to stan umysłu.



6

NIGDY NIE ZASYPIAJ W KOMUNIKACJI PUBLICZNEJ

Kilka lat temu polecałem ze starszym bratem do Barcelony tanią linią Clickair. Akcja jest tego typu, że w trakcie lotu brachol zasnął oparty pysiem o okienko, po czym się obudził, startł ślinę i zaczął panikować, że teraz na bank wyjdzie mu liszaj na twarzy, bo spanie na okienku to tak, jakby wytrzeć twarz o muszlę klozetową na Orlenie albo poślizgnąć się w woodstockowym toi toiu i podczas upadku dotknąć... czegokolwiek. Śmiałyśmy się jak dzicy, bo to w sumie całkiem rześki skeczyk, ale w rzeczywistości nikt nie brał tego na serio. Tymczasem następnego dnia otwieram oko, patrzę, a obok głowy coś mi dynda. Okazało się, że bracholowi faktycznie nie uszła na sucho ta kimka w samolocie, z tym że syf ominął twarz i rzucił się na płatek od ucha, który wydłużył się pięciokrotnie, świecił na czerwono jak lampka rowerowa i pulsował rytmicznie niczym serce. A to dyndanie przy mojej twarzy wzięło się stąd, że w hostelu spaliśmy na wyrze piętrowym, ja na dole, a on na górze i w nocy, jak się przekręcał, ten płatek musiał mu się zsunąć i zawisł w powietrzu, tuż przed moją facjatą. Ja pierniczę, ale się uśmieiałem na tym wyjeździe. Gdybyście mogli zobaczyć, jak on ciągnął ten płatek po La Rambli, zdecydowanie najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Na cześć samolotu nazwaliśmy jego schorzenie „Clickair syfem”. Chyba domyślacie się, do jakiego punktu zmierza ta historia? Owszem, po latach dorwała mnie karma za tamte heheszki. Od rana płatek ucha pulsuje mi jak pojebany, a przed chwilą, kiedy próbowałem zjechać w korpo z drugiego piętra na parter, nie chciały się domknąć drzwi od windy. Wciskam wszystkie guziczki, próbuję zaciągnąć drzwi ręcznie, niestety bez większych efektów. Rozglądam się w poszukiwaniu przyczyny, no i oczywiście okazało się, że płatek blokował czujnik. Puenta jest taka, że linia lotnicza Clickair już od dawna nie istnieje, ale Clickair syf nadal ma się zajebiście. To będzie ciekawy weekend. Miałem pojeździć na rowerze, bo zapowiadają rześką

pogodę, ale boję się, że ucho wkręci mi się w szprychy. Jak żyć? Mam jeszcze takiego suchara-zagadkę - czy jeśli wyrośnie mi jęczmień na oku i dam buzi komuś uczulonemu na gluten, to będzie to pocałunek śmierci?



7

MĘSKI WYPAD

Jak tam wasze plany na weekend? Ja właśnie pakuję graty i zaraz ruszam z ziomeczkami na Słowację, w celu zażycia białego szaleństwa. To znaczy taki był plan mniej więcej trzy miesiące temu, kiedy jeden kolega ni z gruchy ni z pietruchy wyjechał z tekstem: „Ej, a może byśmy skoczyli na narty? Słyszałem, że Jasna Chopok jest spoko”, a reszta zamiast powiedzieć: „Na narty? Ziom, ochujałeś?”, odrzekła: „Ok, czemu nie”. Jeszcze tego samego dnia klepnęliśmy tani nocleg na Bookingu, po czym temat umarł i zmartwychwstał dopiero wczoraj, kiedy zaczęliśmy sprawdzać, ile kosztuje karnet na Chopoku. Kuźwa, 37 ojro za dzień! Tyle wystarczyło, żeby jeden ziomek przypomniał sobie, że on to właściwie nie może jeździć, bo ma permanentnie złamane biodro, z kolei drugi odpadł, bo ponoć mole wszamały jego spodnie narciarskie z kolekcji „Aspen 1974”, które dostał kiedyś w spadku po wujku Romanie, a teraz jest już za późno, żeby zorganizował inne. Generalnie wychodzi na to, że jedziemy w 7-godzinną trasę tylko po to, żeby zaszyć się w jakiejś kwaterze ulokowanej w bezpiecznej odległości od cen w euro i zrobić się wódką kupioną w warszawskim Tesco. Typowo męska logika, ale wiecie co? Ani trochę nie rozpaczam nad bezsensownością tego planu. Jest takie niepisane prawo, zgodnie z którym facet powinien minimum raz w roku, na co najmniej 24 godziny, wybić z chaty w celu totalnego zezwierzecenia się. Móc swobodnie beknąć, puścić bąka, podrapać się po mosznie i dać porządnie w palnik z ziomeczkami. Zresztą, kto ogląda serial „Wikingowie”, ten wie, że ich główną motywacją do podbijania obcych krajów nie była wcale chciwość i ciekawość, co jest po drugiej stronie wody, a wizja zaznania chwili oddechu od swojej starej. Dziewczyny, to nic osobistego, chodzi o zdrowie psychiczne i trochę przestrzeni. Koniec końców wrócimy z podkulonym ogonem, głodni, brudni, zmarznięci i stęsknieni.

Niestety zorganizowanie męskiego wypadu to nie jest znowu taka prosta sprawa. Za dowód niech posłuży „Dzień Dobry TVN”, które w poprzedni

weekend wyemitowało akurat materiał o męskich wyjazdach. Jedną z przepytanych osób był Dawid Woliński, czyli miłośnik selfiaków w windzie i projektant mody w jednym.

- Dawid, co robicie na męskich wyjazdach?

- Mniej więcej to, co w Warszawie, czyli najpierw idziemy na sushi, a później gadamy.

Mój Boże, jaki fail. Szanujący się samiec alfa nigdy nie przyzna się przed innym samcem, że lubi sushi. I jeszcze gadają do tego. Zapewne przy herbatce, którą popijają z odgiętym palcem. Nie, nie i jeszcze raz nie. Nie o takie męskie wypady chodzi. Widzę, że jest zapotrzebowanie w narodzie, więc powiem wam, jak to się robi prawidłowo.

Pierwszą kwestię stanowi pytanie, dokąd jechać i jak ogarnąć logistykę? Spieszę z odpowiedzią. Najlepiej do Berlina. Z Warszawy to tylko 550 kilometrów autostradą, z Poznania jeszcze bliżej, czyli szybka akcja i koszty też do przeżycia, o ile wachę podzieli się na pięciu. Jako bonus można zahaczyć o Świebodzin i strzelić sobie epickiego selfiaka pod pomnikiem Dżizusa. Gwarantowane +50 do fejmu na fejsie. Dodatkowy plus Berlina stanowi możliwość legalnego spożywania napojów wysokowych w miejscach publicznych. Żadna tam patologia, ot lajtowy sobotni chillout. W Polsce jesteśmy tak zaszczuci, że przy ewentualnym piwku w plenerze od ciągłego monitoringu otoczenia można nabawić się zwyrodnienia szyi. Jest jeszcze jeden argument „za” Berlinem. Niemki są brzydsze niż Dworzec Zachodni, więc drugie połówki nie będą miały lęku, że wyjazd ma podwójne dno. Ok, mamy ustalony kierunek, co dalej?

Kolejnym i prawdopodobnie najważniejszym krokiem jest zapewnienie alibi, czyli błogosławieństwa swojej lubej. Najlepiej będzie, jeśli powiesz, że jeden z kolegów wpadł na pomysł wyjazdu, który został w lot podchwycony (pomysł, nie kolega) przez kolejnych trzech ziomów. Ty jesteś ostatnim ogniwem, od którego zależy powodzenie całej operacji. Nie zapomnij wspomnieć, że tobie w sumie średnio się chce, zdecydowanie wolałbyś z nią posiedzieć i pooglądać „Taniec z gwiazdami”, ale z drugiej strony czułbyś się winny, gdyby przez ciebie nie pojechali. W tym miejscu zapewne zostaniesz zapytany o plan wyjazdu. No to lecisz: Alexanderplatz, Brama Brandenburska, Charlie Checkpoint, stadion Herthy itd. Pamiętaj, aby przy każdej opisywanej atrakcji robić skwaszoną minę i dodawać, że naprawdę wolałbyś „Taniec z gwiazdami”. Najlepiej wypadniesz, kiedy położysz sobie

dłoń wierzchnią stroną na czoło, spojrzysz w sufit i zaczniesz narzekać, że jesteś totalnym idiotą, dając się wciągnąć w takie bagno. Nie zapomnij o tonie męczennika. Przykładowo mówisz tak: „Uważam, że pomysł pójścia po meczu do knajpy o nazwie Dom Stu Piw jest beznadziejny. W ogóle ten wyjazd zapowiada się megasłabo. Chyba jednak zrezygnuję i zostanę z tobą”.

Jeśli to, co piszą psychologowie w swoich podręcznikach, jest prawdą, to w tym momencie twoja połowica powinna zacząć cię namawiać, żebyś jednak się przełamał i pojechał: „Chyba nie chcesz wystawić kolegów? Jedź. »Tańcem z gwiazdami« nie musisz się martwić. Nagram i obejrzymy, jak wrócisz”. Niechętnie zgódź się z jej argumentacją, po czym powoli, bez wzbudzania podejrzeń, wyjdź z pokoju i upewnij się, że nikogo nie ma w pobliżu. Teraz możesz sobie pozwolić, aby ten ordynarny, bananowy uśmiech, który wstrzymywałeś przez całe negocjacje, zagościł w końcu na twoim pysiu. Bierzesz telefon, wykręcasz ziomów i jedziesz klasyką: „Yo, to ile kartonów wódki bierzemy?”.

Po zatwierdzeniu wyjazdu przez płec piękną reszta idzie już z górki. Jeszcze w Polsce ogarniacie noclegi, kierując się dwoma parametrami: tanio i blisko metra. Tanio, bo pijanemu wszystko jedno, czy plama na ścianie to reprodukcja Picassa, czy pozostałość po poprzednim lokatorze. Nie ma sensu przepłacać. Bliskość metra, bo Berlin podobnie jak Bangkok i każde inne miasto po godzinie 23.00 wciąga. Im bliżej do hotelu w drodze powrotnej, tym lepiej. Reszta to już czysta improwizacja. Wróc, jeszcze jedna ważna rzecz. Wbrew pozorom i na przekór liczbie osiedlonych Turasów, Berlin wcale nie jest potęgą w temacie kebabów. Lepiej przykładać wagę do wyboru knajpy, bo zła decyzja może skończyć się autografem analnym w przypadkowym toi toiu. Sprawdzone info. I pamiętaj, co się dzieje w „Vegas”, zostaje w „Vegas”.

Copyright for the Polish Edition
© 2017 Edipresse Polska SA

Copyright © 2017 by PigOut
Edipresse Polska SA
ul. Wiejska 19
00-480 Warszawa
Dyrektor ds. książek: Iga Rembiszewska
Redaktor kreatywna projektu: Magda Mazur
Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska
Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51)
Beata Trochonowicz (tel. 22 584 25 73)
Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Biuro Obsługi Klienta
www.hitsalonik.pl
e-mail: bok@edipresse.pl
tel. 22 584 22 22
(pon.-pt. w godz. 8.00-17.00)
www.facebook.com/edipresseksiazki
www.instagram.com/edipresseksiazki

Redaktor: Karolina Głogowska
Korekta: Lidia Ścibek
Projekt okładki i layoutu: Paweł Palikot
Ikona: www.freepik.com

ISBN: 978-83-8117-042-0

Prezentowane w książce opinie są prywatnymi poglądami Autora, Wydawnictwo nie ponosi za nie odpowiedzialności.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.